

AGATHA CHRISTIE

NOC I CIEMNOŚĆ

PRZEŁOŻYŁA: ANNA MENCWEL

TYTUŁ ORYGINAŁU „ENDLESS NIGHT”

AGATHA CHRISTIE

NOC I CIEMNOŚĆ

PRZEŁOŻYŁA: ANNA MENCWEL
TYTUŁ ORYGINAŁU „ENDLESS NIGHT”

*Każdego ranka, każdej nocy
Dla męki ktoś na świat przychodzi.
Każdego ranka, każdej nocy
Dla szczęśliwości ktoś się rodzi
Jedni się rodzą dla radości,
Inni dla nocy i ciemności
(Wiliam Blake, „Wróżby niewinności”, przeł. Zygmunt Kubiak)*

Norze Prichard, która pierwsza opowiedziała mi legendę Cygańskiego Gniazda

Część pierwsza

I

„U mojego początku jest mój kres...” Tak mówią. To cytat. Brzmi ładnie, ale co właściwie znaczy?

Czy kiedykolwiek możemy wskazać palcem i stwierdzić: „To zaczęło się właśnie wtedy, w tamtym miejscu, od tamtego wydarzenia”?

Może początku mojej historii należy szukać w dniu, kiedy to ujrzałem na ścianie pubu Pod Świętym Jerzym i Smokiem zapowiedź przetargu posiadłości o nazwie Wieże. Przeplatały się tam liczby podające akry i mile, a opis Wież, mocno naciągnięty, pasował w najlepszym razie do okresu ich świetności, czyli czasów sprzed osiemdziesięciu, stu lat.

Nie miałem nic szczególnego do roboty, dla zabicia czasu wałęsałem się po głównej ulicy w Kingston Bishop, niczym nie wyróżniającej się miejscinie. Traf chciał, że spojrzałem na anons o sprzedaży Wież. Przekleństwo losu? Uśmiech szczęścia? Można na to popatrzeć i tak, i tak.

Albo, powiecie, wszystko zaczęło się wtedy, kiedy poznałem Santonixa i wiodłem z nim długie rozmowy. Zamykam oczy i widzę jego płonące policzki, pałające oczy, ruch jego silnej, a zarazem delikatnej dłoni, kiedy kreśli plany i elewacje domów, a szczególnie jednego domu. Piękny dom, który cudownie byłoby mieć na własność!

Wtedy to zakiełkowała we mnie tęsknota. Zateęskniłem za wspaniałym domem, takim, na jaki nigdy w rzeczywistości nie mogłem mieć cienia nadziei. Rozkoszne marzenie, które snuliśmy wspólnie: Santonix zbuduje dla mnie dom, jeśli życia mu starczy...

Dom moich marzeń, w którym mieszkałbym ze swoją ukochaną, w którym, jak w bajce dla dzieci, żylibyśmy długo i szczęśliwie. Czysta fantazja, chimera, a jednak wyzwoliła we mnie falę tęsknoty. Tęsknoty za czymś, co było zupełnie nierealne.

Albo inaczej... Jeśli jest to historia miłosna - a przysięgam, że jest - dlaczego nie zacząć od chwili, kiedy po raz pierwszy ujrzałem Ellie stojącą w cieniu jodeł w Cygańskim Gnieździe?

Cygańskie Gniazdo. Tak, powinienem chyba jednak wrócić do tego momentu, gdy odwróciłem się od tablicy z ogłoszeniem, zadrzałem lekko, bo czarna chmura właśnie przesłoniła słońce, i od niechcienia zapytałem miejscowego wieśniaka, który w pobliżu niedbale przycinał żywopłot:

- Co to za dom te Wieże?

Wciąż widzę nieprzeniknioną twarz starego. Spojrzał na mnie spode łba i mruknął:

- My tu tak nie mówimy. A o co chodzi? - I po chwili burknął niechętnie: - Szmat czasu będzie, jak ktoś tam mieszkał i mówiło się Wieże. - Znowu się zachnął.

Zapytałem go, jakiej on w takim razie używa nazwy. Jego oczy w pomarszczonej twarzy spoglądały gdzieś poza mnie. Chłopi mają taki dziwny sposób rozmowy: nie zwracają się wprost do ciebie, ale patrzą ci przez ramię albo w bok, jakby widzieli coś, czego ty nie widzisz. Odparł:

- Tutaj powiadamy Cygańskie Gniazdo.

- Skąd się wzięła ta nazwa?

- Ano, krążą opowieści... nie wiem dokładnie. Jedni gadają to, drudzy tamto. - I dodał: - Zresztą co tu dużo mówić. Tam się zdarzają wypadki.

- Samochodowe?

- Różne. Teraz to przeważnie samochodowe. Paskudny zakręt, powiadam panu.

- No tak - rzekłem na to. - Skoro jest tam paskudny zakręt, trudno się dziwić, że tak często zdarzają się wypadki.

- Rada gminna ustawiła tam znak ostrzegawczy, ale to wszystko mało. Wypadki, jak były, tak są.

- No dobrze, ale co mają z tym wspólnego Cyganie? Znowu spojrzał w bok i odparł mętnie:

- Różnie gadają... Ale podobno kiedyś była to ziemia Cyganów. Wygnano ich, a oni rzucili na ziemię klątwę.

Roześmiałem się.

- Może pan się śmiać - rzekł. - Ale są miejsca wyklęte. Tacy miastowi cwaniacy jak pan nic o tym nie wiedzą. Ale my tutaj wiemy, że są miejsca wyklęte, i to jest właśnie takie miejsce. Dlaczego zginęli ludzie przy pracy w kamieniołomie? A stary Geordie, który obsunął się tam kiedyś po ciemku i skręcił kark?

- Był pijany? - podsunąłem.

- Może i był. Lubił się napić, nie powiem. Ale pijacy często się przewracają, i to paskudnie, a przecież nic im się nie dzieje. Tymczasem Geordie skręcił kark. Tam - pokazał za siebie na porośnięte sosnami wzgórze - w Cygańskim Gnieździe.

Tak, tak się chyba wszystko zaczęło. Wtedy był to dla mnie incydent bez znaczenia. Po prostu zapamiętałem go, i tyle. Myślę - oczywiście jeśli się porządnie zastanowię - że go sobie trochę podkoloryzowałem. Nie pamiętam, w jakim momencie - wcześniej czy później - zapytałem starego, czy w okolicy są jeszcze jacyś Cyganie. Odparł, że niewielu się teraz kręci. Policja ich zawsze przegania.

- Dlaczego nikt nie lubi Cyganów? - zagadnąłem znowu.

- Złodziejskie plemię! - prychnął, po czym spojrzał na mnie bacznie. - A pan może też jaki Cygan? - zapytał mierzając mnie surowym wzrokiem.

Odparłem, że nic mi o tym nie wiadomo. Prawda, wyglądałem trochę jak Cygan. Chyba dlatego zaintrygowała mnie nazwa Cygańskie Gniazdo. I kiedy tak stałem, uśmiechając się do starego wieśniaka, ubawiony naszą rozmową, przyszło mi do głowy, że może rzeczywiście mam w żyłach kroplę cygańskiej krwi.

Cygańskie Gniazdo. Ruszyłem krętą drogą, która wiodła z miasteczka pod górę, wijąc się pośród ciemnych drzew. Wreszcie stanąłem na wierzchołku wzgórza, skąd rozpościerał się wspaniały widok na morze i statki. Wtedy, jak to bywa w takich razach, pomyślałem sobie: „A gdyby Cygańskie Gniazdo było rzeczywiście moje?...” Ot, tak mi po prostu przyszło na myśl... Kupa śmiechu...

Kiedy wracałem tą samą drogą koło żywopłotu, wieśniak rzucił w moją stronę:

- Jak pan chce spotkać Cyganów, to niech pan idzie do starej Lee. Mieszka w domu, który dostała od majora.

- Kto to taki ten major?

- No jakże, major Phillpot! - odparł zgorzony. Nie posiadał się z oburzenia, że zadaję takie pytania.

Domyśliłem się, że major Phillipot jest miejscowym bogiem. Stara Lee musiała być w jakiś sposób na usługach majora, a co za tym idzie, pod jego pieczęcią. Phillipotowie mieszkali tu zapewne przez całe życie i niewątpliwie wodzili rej w miasteczku.

Stary powiedział mi jeszcze na odchodnym:

- Ona mieszka w ostatnim domu, na samym końcu ulicy. Pewno będzie na dworze. Nie lubi siedzieć w czterech ścianach. Oni już tacy są, ci Cyganie.

Szedłem więc sobie, pogwizdując i rozmyślając o Cygańskim Gnieździe. Słowa wieśniaka wyleciały mi już niemal z pamięci, kiedy naraz ujrzałem wysoką czarną staruchę, która gapiała się na mnie zza żywopłotu. Domyśliłem się, że to właśnie stara Lee. Przystanąłem więc i odezwałem się do niej:

- Pani podobno wie wszystko o Cygańskim Gnieździe? Popatrzyła na mnie spod rozczochranej czarnej grzywy i odparła:

- Trzymaj się od tego miejsca z daleka, młodzieńcze. Pamiętaj. Boś chłopak do rzeczy. A nic dobrego nikogo tam nie spotka. Nigdy.

- Cygańskie Gniazdo wystawiono na sprzedaż.

- Tak, tak, ale tylko głupi je kupi.

- A są jacyś chętni?

- Jest jeden budowniczy. I są inni. Pójdzie za tani pieniądz. Zobacysz.

- Dlaczego ma iść tanio? To piękna posiadłość. Nie odpowiedziała.

- No dobrze - podjąłem. - Przypuśćmy, że jakiś budowniczy ją kupi. Za tani pieniądz. Co dalej?

Zachichotała pod nosem. Był to śmiech nieprzyjemny, złośliwy.

- Co dalej? Oczywiście zrówna z ziemią starą rudere i zacznie się budować na nowo. Ale niech się buduje do woli, klątwa jak była, tak będzie.

Puściłem mimo uszu ostatnie słowa kobiety i powiedziałem zgodnie z własnym przeświadczeniem:

- Byłaby to szkoda. Wielka szkoda.

- Niech cię o to głowa nie boli. Z Cygańskiego Gniazda nie będą mieli pożytku ani ci, co je kupią, ani ci, co będą kłaść cegły i cement. Ktoś się obsunie z drabiny, rozbije się ciężarówka z ładunkiem, dachówka spadnie komuś z góry na łeb, zerwie się wichura i powrywa drzewa. Zobacysz! Nic dobrego z tego nie wyniknie. Trzymaj się z dala. Sam zobacysz, zobacysz... - I z przekonaniem kiwała głową. - Po czym powtórzyła cicho, jakby do siebie: - Cygańskie Gniazdo nikomu szczęścia nie przyniosło. Tak jak nie przyniosło...

Roześmiałem się. Zareagowała gwałtownie.

- Nie śmieję się, chłopcze. Bo może niezadługo twój śmiech w płacz się obróci. To pechowe miejsce. I ten dom, i cała ta ziemia.

- Co tam się stało? - spytałem. - Dlaczego dom był tak długo nie zamieszkały? Dlaczego popadł w taką ruinę?

- Ci, co mieszkali w nim ostatni, pomarli. Wszyscy co do jednego.

- Jak umarli? - nie mogłem się powstrzymać od pytania.

- Lepiej do tego nie wracać. Dość że nikt już potem nie chciał tam zamieszkać. Dom zostawiono na pastwę losu, zbutwiał i zgnił. Teraz nikt już o nim nie pamięta. I tak jest najlepiej.

- Ale pani może mi opowiedzieć. Pani przecież wie o nim wszystko - przypochlebiałem się.

- Nigdy nie biorę na język Cygańskiego Gniazda, zapamiętaj. - I nagle zmieniła ton. Mówiła teraz

falszywym, proszącym głosem jak żebraczka. - Powróżyć, kochanieńki, powróżyć... Włóż mi do ręki srebrną monetę, a powiem ci, co cię czeka. Widzę po tobie, że daleko możesz zajść w życiu.

- Wróżby to brednie - stwierdziłem. - Zresztą nie mam srebrnych monet. W każdym razie na zbyciu.

Zbliżyła się i podjęła przymilnie:

- Sześć pensów starczy. Tylko sześć pensów. Powiem ci za szóstaka. Co to za pieniądz? Śmieszny pieniądz. Powróżę ci za szóstaka, boś ładny chłopak, wygadany, i masz podejście do ludzi. Możesz zajść daleko.

Wyjąłem w końcu z kieszeni sześciopensówkę, nie dlatego, że wierzyłem w te głupie przesady, ale dlatego, że z jakiegoś powodu czułem sympatię do starej oszustki, którą przejrzałem na wylot. Zgarnęła monetę i powiedziała:

- Daj mi rękę. Obie ręce.

Ujęła moje dłonie w swoje, stare i zwiędłe, po czym przyglądała im się chwilę w skupieniu. Raptem wypuściła je gwałtownie, niemal odepchnęła od siebie. Cofnęła się o krok i zawołała ostrym głosem:

- Wiesz, co masz robić? Zostaw Cygańskie Gniazdo w spokoju, bierz nogi za pas, teraz, zaraz, i niech twoja stopa tu więcej nie postanie. Dobrze ci radzę. Nigdy tutaj nie wracaj!

- Dlaczego? Z jakiego powodu?

- Bo czeka cię tu tylko rozpacz, niebezpieczeństwo, zguba. Zgryzota, ciężka zgryzota. Ot, co cię czeka. Zapomnij o tym miejscu. Ostrzegam cię.

- Przecież...

Kobieta jednak już się odwróciła i szła w kierunku domu. Wreszcie zniknęła wewnątrz, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Nie jestem przesądny. Wierzę w szczęście, to jasne, każdy wierzy. Ale nie w brednie o starych domach, na których ciąży klątwa. Mimo to odniosłem przykre wrażenie, że złowieszcza starucha rzeczywiście wyczytała coś z mojej ręki. Odwróciłem dłonie i przyglądałem im się badawczo. Co można wyczytać z ręki? Takie wróżby to wierutna bzdura, chwyt mający na celu wyłudzenie pieniędzy, żerowanie na ludzkiej naiwności. Spojrzałem w niebo. Słońce zniknęło, dzień wydawał się zupełnie inny niż przedtem. Legł na nim jakiś cień, w powietrzu wisiała groźba. Jakby nadchodziła burza, pomyślałem. Zerwał się wiatr, zatargał drzewami, liście poruszały się z szelestem. Dla dodania sobie otuchy pogwizdywałem, idąc ulicą miasteczka.

Spojrzałem jeszcze raz na ogłoszenie. Zanotowałem sobie nawet datę przetargu posiadłości. Nigdy nie brałem udziału w takiej licytacji. Postanowiłem przyjechać. Byłem ciekaw, kto kupi Wieże. Inaczej mówiąc, kto zostanie właścicielem Cygańskiego Gniazda. Tak, chyba tak się to właśnie zaczęło... Uległem fantastycznemu marzeniu. Przyjadę, wcielę się w człowieka, który zabiega o Cygańskie Gniazdo. Stanę do licytacji z miejscowymi inwestorami. Odpadną zawiedzeni, że cena wzrosła.

Kiedy już zostanę właścicielem, pójdę do Rudolfa Santonixa i powiem mu: „Zbuduj mi dom. Miejsce już mam”. Potem spotkam dziewczynę, wspaniałą dziewczynę, i będziemy żyć razem długo i szczęśliwie.

Tego rodzaju marzenia snułem często. Nic z nich oczywiście nie wynikało, ale sprawiały mi radość. Radość! Mój Boże! Gdybym był wiedział!

II

Tamtego ranka znalazłem się w sąsiedztwie Cygańskiego Gniazda zupełnie przypadkowo.

Pracowałem jako kierowca w firmie wynajmującej samochody i wiozłem jakichś klientów z Londynu na wyprzedaż wyposażenia pewnego domu. Był to duży dom na przedmieściu, brzydki jak nieszczęście. Zawiozłem tam starsze małżeństwo, zainteresowane, jak się zorientowałem z ich rozmowy, kolekcją czegoś z papier mâché, cokolwiek to słowo oznacza. Raz tylko przedtem je słyszałem, od matki, w związku z cebrzykiem do zmywania. Mówiła, że cebrzyk z papier mâché jest znacznie lepszy niż plastikowy. Dziwne, że bogaci ludzie jadą taki kawał drogi po to, żeby kupować tego rodzaju rzeczy.

W każdym razie zapamiętałem sobie to słowo i postanowiłem zajrzeć do słownika, gdzieś poszperać, żeby dowiedzieć się dokładnie, co to takiego papier mâché. Musiało to być coś, dla czego warto wynajmować samochody i jeździć na aukcje za miasto.

Lubiłem wiedzieć rozmaite rzeczy. Miałem dwadzieścia dwa lata i posiadałem - choć w różnym stopniu - całkiem sporo umiejętności. Znałem się na samochodach, byłem niezłym mechanikiem i dobrym kierowcą. Kiedyś pracowałem w stadninie koni w Irlandii. Otarłem się o gang handlarzy narkotyków, ale przezornie w porę się ulotniłem. Praca kierowcy w solidnej firmie wynajmu samochodów nie jest zła. Wyciąga się całkiem sporo na napiwkach. I nie trzeba się zbytnio napocić. Ale sama robota to nudziarstwo.

Raz pojechałem latem na zbiór owoców. Praca kiepsko płatna, ale przyjemna. Chwytałem się różnych zajęć. Byłem kelnerem w hotelu trzeciej kategorii, ratownikiem na plaży, sprzedawałem encyklopedie, odkurzacze i inne rzeczy. Zaczepiłem się na pewien czas w ogrodzie botanicznym i poznałem się trochę na kwiatkach.

Nigdy nigdzie nie zagrzewałem długo miejsca. Po co? Prawie wszystko, co robiłem, odpowiadało mi. Zdarzała się i cięższa praca, ale to mi nie przeszkadzało. Nie jestem leniwy. Tylko nie potrafię usiedzieć na miejscu. Chcę być wszędzie, zobaczyć wszystko, spróbować wszystkiego. Coś znaleźć. Tak, właśnie. Chcę coś znaleźć.

Odkąd skończyłem szkołę, to pragnienie mnie nie opuszczało, nie wiedziałem tylko, co by to miało być. Coś - i tyle. Szukałem po omacku, wciąż nie zaspokojony. A przecież owo coś gdzieś było. Prędzej czy później musiałem na to trafić. Może chodziło o dziewczynę... Lubię dziewczyny, ale nigdy dotąd nie zainteresowałem się żadną tak naprawdę. Owszem, niektóre mi się podobały, ale zmieniałem je łatwo i bez żalu. Zupełnie jak moje zajęcia. Bawiły mnie krótko, potem miałem ich dość i chciałem już czegoś nowego. Od kiedy skończyłem szkołę, przeskakiwałem z kwiatka na kwiatek.

Wielu ludzi miało mi za złe, że żyję w taki sposób. Byli to tak zwani życzliwi. Cóż, po prostu mnie nie rozumieli. Chcieli, żebym się ustatkował, miał porządną dziewczynę, oszczędzał, ożenił się i zatrudnił gdzieś na stałe. I tak dzień po dniu, rok po roku, w nieskończoność, amen. Nie dla mnie taka monotonia. Istnieje przecież coś lepszego od nudnej stabilizacji, przykładowego życia w złudnym dobrobycie. Byłem przekonany, że w świecie, w którym człowiek wypuszcza satelity i rozprawia z dumą o zdobywaniu różnych planet, musi być gdzieś coś podniecającego, co przyspiesza bicie serca, czego warto szukać po całym globie.

Pamiętam, jak kiedyś szwendałem się po Bond Street. Byłem wtedy kelnerem i zerwałem się z pracy. Oglądałem wystawę sklepu z butami. Niezłe buty! Jakby żywcem wyjęte z reklam typu: „Elegancki mężczyzna nosi teraz buty...” Reklamie zazwyczaj towarzyszy zdjęcie owego eleganta, który wygląda jak kretyn. Koń by się uśmieiał!

Przeszedłem do następnej wystawy. Sklep z obrazami. W witrynie tylko trzy obrazy, artystyczny

wystrój, na rogach połączanych ram draperie z miękkiego aksamitu w neutralnym kolorze. Było w tym coś babskiego, jeśli tak można powiedzieć. Nie należę do ludzi, co to przepadają za sztuką. Raz zajrzałem do National Gallery, przez ciekawość. Wnerwiająco! Te wielkie, lśniące, kolorowe płótna przedstawiające bitwy w skalistych wąwozach, wynędzniali święci przebici strzałami, promieniejące damy, głupkowato uśmiechnięte, całe w jedwabiach, aksamitach i koronkach! Uznałem wtedy raz na zawsze, że sztuka to rzecz nie dla mnie. Ale obraz, który miałem przed sobą, to co innego. Na wystawie były trzy płótna. Pierwsze przedstawiało pejzaż, ładny, ale zupełnie banalny wiejski widoczek. Drugi - kobietę, wyobrażoną tak dziwacznie, tak nieproporcjonalnie, że trudno ją było uznać za kobietę. To się chyba nazywa art nouveau. Nie wiem zupełnie, o co w tym chodzi. Trzeci obraz to właśnie mój. Właściwie nie było w nim nic specjalnego, był, jakby to powiedzieć?... Prosty. Dużo przestrzeni, kilka wielkich kręgów, coraz większych, okalających się nawzajem, chyba tak można to opisać. Każdy krąg w innym kolorze. Kolory niezwykle, zaskakujące. Tu i ówdzie rzucone barwne plamy, które chyba nic nie wyobrażały. Nie, nie nadają się do takich opisów. W każdym razie człowiekowi okropnie się chciało patrzeć i patrzeć na ten obraz. Więc po prostu stałem i czułem się dziwnie, jakby spotkało mnie coś nadzwyczajnego.

Wrócę teraz do tych eleganckich butów. Przyznaję, że bardzo chciałem je mieć, bo trzeba wam wiedzieć, dbam o siebie. Lubię się dobrze ubrać, robić wrażenie, ale nigdy poważnie nie myślałem, żeby kupić sobie buty na Bond Street. Znam tutejsze ceny! Takie buty mogłyby kosztować z piętnaście funtów. Ręczna robota, czy jak tam to się nazywa, i zaraz z tego powodu cena idzie w górę. Wyrzucony pieniądz. Buty pierwsza klasa, zgoda, tylko za co tyle płacić? Mam jeszcze łeb na karku.

Ale ten obraz! Ile taki obraz może kosztować? A gdybym tak go kupił? Zgłupiałeś zupełnie, powiedziałem sobie. Tak w ogóle nie zależy mi przecież na obrazach. To prawda. A jednak chciałem go mieć... Chciałem, żeby był mój. Chciałem sobie ten obraz powiesić na ścianie, siedzieć przed i wpatrywać się weń do upojenia. Czuć, że należy do mnie. Ja i kupowanie obrazów. Cóż za szaleńczy pomysł! Znowu spojrzałem na obraz. To moje pragnienie jest zupełnie bez sensu, z pewnością nie stać mnie na taki wydatek. Co prawda mam akurat trochę forsy. Powiodło mi się na wyścigach. Obraz musi kosztować niezłą sumkę. Dwadzieścia funtów? Dwadzieścia pięć? A dlaczego nie miałbym się dowiedzieć? Przecież nikt mnie nie zje, jak zapytam. Wszedłem do sklepu, w duchu przybrawszy na wszelki wypadek postawę obronną.

W środku było cicho i uroczyście. Wszystko jakby przytłumione. Ściany w spokojnym kolorze, pluszowa kanapka, z której można na siedząco oglądać obrazy. Wszedł do mnie facet trochę jak z tych reklam o eleganckim mężczyźnie. Mówił także stłumionym głosem, żeby się dopasować do całości. Ciekawe, że nie strugał waśniaka, jak to zwykle bywa w tych wytwornych sklepach na Bond Street. Wysłuchał mnie, wyjął obraz z witryny, ustawił przy ścianie i trzymał tak długo, jak chciałem. Wtedy przyszło mi do głowy - czasem człowiek coś takiego po prostu wie i już - że w świecie obrazów rządzą odmienne prawa niż w świecie innych rzeczy. Do takiego miejsca jak to może na przykład przyjść facet w starych, wytartych ciuchach i okaże się, że to milioner, który chce powiększyć swoje zbiory. Może też zjawić się ktoś ubrany tandetnie, krzykliwie, weźmy, ktoś taki jak ja, a obraz tak go będzie nęcił, że ten człowiek postara się go zdobyć za wszelką cenę, nawet drogą jakichś ciemnych machinacji.

- Prawdziwe dzieło sztuki - rzekł facet, podtrzymując obraz.

- Ile kosztuje? - spytałem szybko. Kiedy padła odpowiedź, zatkało mnie.

Potrafię zachować twarz pokerzysty, więc nic po sobie nie pokazałem. Tak mi się w każdym

razie zdaje. Facet rzucił jeszcze jakieś obco brzmiące nazwisko. Pewnie tego malarza. Dodał, że obraz właśnie trafił na rynek, przedtem wisiał w jakimś domu na wsi, u ludzi, którzy nie wiedzieli, co to za skarb. Dalej odgrywałem swoją rolę. Westchnąłem.

- Duża suma, ale obraz jest jej chyba wart - odezwałem się.

Dwadzieścia pięć tysięcy funtów! Koń by się uśmieł.

- Tak - odparł z westchnieniem. - Na pewno. - Opuścił delikatnie obraz i zaniósł go z powrotem na okno wystawowe. Uśmiechnął się do mnie. - Ma pan dobry gust.

Czułem, że on i ja rozumiemy się. Podziękowałem mu i wyszedłem na Bond Street.

III

Nie znam się za bardzo na pisaniu. Po prostu nie wychodzi mi to tak jak prawdziwemu pisarzowi. Na przykład ten kawałek o obrazie. Tak naprawdę tamten obraz niczego nie zmienił, nie załatwił. Mimo to czuję, że był ważny, że ma swoje miejsce w moim życiu. To jedna z tych rzeczy, które miały dla mnie znaczenie. Jak Cygańskie Gniazdo. Jak Santonix.

Niewiele dotychczas powiedziałem o Santonixie. Santonix był architektem. Chyba już się domyśliliście. Z architektami nie miałem dotychczas do czynienia, ale wiedziałem coś niecoś o handlu nieruchomościami. Santonixa poznałem podczas jednej z moich podróży. Pracowałem jako kierowca, woziłem bogatych ludzi tu i tam. Kilka razy byłem za granicą, dwa razy w Niemczech - mówiłem trochę po niemiecku - raz czy dwa we Francji - francuskiego też liźnałem - i raz w Portugalii. Przeważnie woziłem osoby starsze, u których pieniądze szły w parze z kiepskim zdrowiem.

Jak trochę pojeździć z takimi klientami, człowiek dochodzi do wniosku, że forsa wszystkiego nie załatwia. Bo co forsa pomoże na to, że zaczyna ci nawalać serce, że trzeba w kółko zażywać niezliczone ilości pigułek, że tracisz nerwy w hotelach z powodu obsługi i kuchni. Większość znanych mi bogatych ludzi była raczej nieszczęśliwa. Bogacze też mają swoje kłopoty. Podatki, inwestycje. Jak tak posłuchać ich rozmów we własnym gronie, to gadają tylko o kłopotach. Połowę z nich te kłopoty zabijają. Z seksem też nie najlepiej. Albo mają za żony długonogie seksowne blondynki, które zabawiają się na boku, albo baby-męczydusze, brzydkie jędze, które ich do znudzenia strofują. Nie, już wolę być sobą, Michael'em Rogersem, szwendać się po świecie, pokazać się z ładną dziewczyną, jak mi przyjdzie ochota.

Życie z dnia na dzień, zgoda, ale ja się z tym pogodziłem. Wyznaję zasadę, że życie to dobry ubaw, i chętnie je prze hulam. Przypuszczam, że w każdym układzie bawiłbym się dobrze. Ubaw to rzecz dla młodych. Kiedy młodość przemija, i ubaw się kończy.

We mnie zawsze kryło się jeszcze coś - pragnienie kogoś lub czegoś... Ale wracajmy do rzeczy. Jeździłem kiedyś z jednym starszym gościem na Riwierę. Stawiał tam sobie dom. Sprawdzał, jak postępuje robota. Santonix pracował u niego jako architekt. Nie wiem dokładnie, jakiej narodowości był Santonix. Najpierw myślałem, że jest Anglikiem, chociaż nigdy nie zetknąłem się z tak dziwnym nazwiskiem. Nie, chyba jednak nie był Anglikiem. Może Skandynawem. W każdym razie chorował. To się od razu dało zauważyć. Był młody, chudy, miał bardzo jasne włosy i dziwną twarz, jakby trochę krzywą, bo jedna strona nie pasowała do drugiej. Dla swoich klientów bywał przykry. Wydawałoby się, że skoro tamci płacą, będą rządzić. Tymczasem było wręcz odwrotnie. To Santonix rządził nimi. On zawsze zachowywał się pewnie, oni nie.

Mój facet pienił się ze złości, kiedy po przyjeździe na miejsce zobaczył, jak wszystko wygląda. Ja stałem z boku w charakterze kierowcy i człowieka do wszystkiego - pan Constantine mógł mieć w

każdej chwili atak serca lub zapaść. Więc kiedykolwiek stałem, to i owo z ich rozmowy do mnie dobiegało.

- Nie zrobił pan tego tak, jak panu kazałem! - ryczał Constantine. - Wydał pan za dużo pieniędzy.

O wiele za dużo. To mnie będzie kosztować grubo więcej, niż myślałem.

- Słusznie pan rozumuje - rzekł na to Santonix. - Ale nie ma rady, to musi kosztować.

- Nie i jeszcze raz nie! Panu nie wolno przekroczyć ustalonego limitu, rozumie pan?

- W takim razie nie będzie pan miał takiego domu, jaki by pana zadowolił - stwierdził Santonix. -

Ja wiem, czego pan chce. Pan chce dokładnie tego, co panu buduję. Wiemy to obaj. Więc niech się pan nie użera jak sklepikarz o każdy grosz. Chce pan domu najwyższej klasy i będzie go pan miał. Będzie się pan nim chełpił przed znajomymi, a oni będą panu zazdrościć. Nie mam zwyczaju pracować dla pierwszego lepszego klienta, już to panu mówiłem. Tu chodzi o coś więcej, nie tylko o pieniądze. Ten dom będzie inny niż wszystkie.

- Będzie okropny. Okropny.

- O nie. Cała bieda w tym, że pan nie wie, czego pan chce. Pozornie. Tak naprawdę to pan wie, tylko nie potrafi pan sobie uświadomić. Nie może pan tego wyraźnie zobaczyć. Ale ja wiem za pana. Zawsze wiem, na czym ludziom zależy, czego pragną. Pan potrzebuje pierwszorzędnej jakości. Jaja panu dam.

Tak potrafił przemawiać ten Santonix. Stałem z boku i słuchałem. Sam widziałem, że ten dom pośród sosen, nad morzem, nie będzie tuzinkowy. Połowa domu nie wychodziła na morze, zupełnie nietypowo. Zwracała się w stronę lądu, ku górą, ku skrawkowi nieba wyłaniającemu się zza wzgórz. Było to dziwne, niezwykle, podniecające.

Santonix rozmawiał czasem ze mną, kiedy miałem wolne.

- Projektuję domy tylko dla tych, dla których chcę - powiedział mi kiedyś.

- Czyli dla bogatych?

- Oczywiście, bo biednych na to nie stać. Ale mnie nie chodzi o pieniądze. Muszę mieć zamożnych klientów, bo moje budowle kosztują. Widzisz, sam dom to jeszcze nie wszystko. Dom wymaga oprawy. To bardzo ważne. Jak rubin czy szmaragd. Piękny kamień jest tylko pięknym kamieniem i niczym więcej. Nic nie wyraża, nie ma żadnej formy ani treści, póki nie otrzyma oprawy. Piękna oprawa z kolei wymaga wspaniałego klejnotu, wtedy całość jest coś warta. Ja wykorzystuję naturalną oprawę krajobrazu, tyle że ona sama nic nie wyraża, póki nie umieszczę w niej domu, który lśni tam dumnie jak klejnot. - Spojrzał na mnie i roześmiał się. - Nie rozumiesz?

- Nie bardzo - odparłem powoli. - Chociaż w jakimś sensie rozumiem.

- Możliwe - zgodził się i spojrzał na mnie z ciekawością. Pojechaliśmy raz jeszcze na Riwierę. Dom był prawie gotowy. Nie będę go opisywał, bo mi to nie wyjdzie, powiem krótko: był super... Przepiękny. Nie miałem wątpliwości. Dom, którym można się szczycić przed ludźmi, można być dumnym, że się mieszka pod jego dachem, gdyby jeszcze z odpowiednią osobą u boku! Nagle Santonix powiedział:

- Dla ciebie mógłbym zbudować dom. Wiem, czego byś chciał.

Pokręciłem głową.

- Ja bym nie wiedział - wyznałem.

- Nie szkodzi. Ja bym wiedział za ciebie. Szkoda, że nie masz pieniędzy.

- I nigdy mieć nie będę.

- Nie wiadomo. To, że urodziłeś się biedny, wcale nie znaczy, że biednym pozostaniesz.

Pieniądze to dziwna rzecz. Ciągną do tego, kto ich pragnie.

- Wcale nie jestem taki chciwy.

- Powiedziałbym inaczej: nie jesteś dostatecznie ambitny.

Ambicja w tobie jest na razie uśpiona, ale przyjdzie dzień, że się obudzi.

- No to umówmy się: kiedy przyjdzie ten dzień i zrobię pieniądze, zjawię się u ciebie. Powiem: „Zbuduj mi dom”.

Santonix westchnął.

- Nie mogę czekać... Nie mam czasu. Zostało mi go niewiele. Jeszcze jeden dom... Może dwa. Nic więcej. Człowiek nie chce umierać młodo, ale czasem nie ma wyjścia... Zresztą to chyba bez znaczenia.

- Muszę się pośpieszyć.

- Nie. Jesteś zdrowy, dobrze się bawisz, nie zmieniaj trybu życia.

- Wątpię, czyby mi się to udało.

Tak wtedy rzeczywiście myślałem. Mój sposób życia mi odpowiadał, dobrze się bawiłem, zdrowie mi dopisywało. Znałem wielu ludzi, którzy dorobili się kosztem ciężkiej pracy, a teraz cierpieli na wrzody, chorobę wieńcową czy inne paskudztwa. Wszystko przez tę harówkę. Nie chciałem tyrać. Owszem, mogłem robić to czy tamto przez jakiś czas, ale na tym koniec. I wcale nie miałem ambicji, nie wydaje mi się. Przypuszczam, że Santonix ją miał. To było po nim widać: projektowanie i budowanie domów, to i coś jeszcze, czego dokładnie nie mogłem uchwycić, wyzwalalo w nim ambicję. Nie był silny, trzeba to sobie otwarcie powiedzieć. Czasem przychodziła mi do głowy dziwaczna myśl, że haruje jak wół, wykańczając się przedwcześnie, dla zaspokojenia ambicji. Ja zdecydowanie nie chciałem tak tyrać. Prosta sprawa. Miałem niechęć do pracy, budziła moją nieufność. Uważałem, że człowiek wymyślił to świństwo na swoje utrapienie.

Często myślałem o Santonixie. Mało kto mnie tak zaciekawił jak on. Jedną z najdziwniejszych spraw w życiu jest to, co sobie człowiek zapamiętuje. Chyba robi to wybiórczo. Jest w nim coś, co wybiera rzeczy, które on potem pamięta.

Ja na przykład wybrałem i zapamiętałem Santonixa i jego dom, i obraz z Bond Street, i Wieże, i opowieść o Cygańskim Gnieździe. Zapamiętałem też niektóre dziewczyny i pewne podróże za granicę, miejsca, do których woziłem klientów. Ci klienci byli zawsze jednakowi. Nudni jak flaki z olejem. Zatrzymywali się w podobnych hotelach i zamawiali te same beznadziejne potrawy.

Nadal nie opuszczało mnie dziwne uczucie oczekiwania; jakby miała mi się nadarzyć jakaś okazja, jakby coś się miało stać, nie wiem, jak to wyrazić. Tak naprawdę to chyba szukałem dziewczyny. Odpowiedniej dla siebie dziewczyny. Odpowiedniej nie w rozumieniu matki, wuja Joshuy czy kilku znajomych, a więc porządnej panny, która skłoniłaby mnie do ustatkowania się.

Nie miałem wtedy pojęcia o miłości. Poznałem tylko seks. Wszyscy moi kumple byli pod tym względem do mnie podobni. Za dużo się rozmawiało o seksie, tak myślę, za dużo o nim słyszało i przywiązywało się do niego zbyt wielką wagę. Nie wiedzieliśmy, ani ja, ani żaden z moich kolegów, jak to będzie, kiedy w końcu przyjdzie na nas kolej. Oczywiście chodzi mi o miłość. Byliśmy młodzi, męscy, taksowaliśmy dziewczyny, ocenialiśmy ich tyłki, nogi i to, jak na nas zerkają. Człowiek zastanawiał się: „Da czy nie da? Strata czasu czy nie?” Im więcej dziewczyn zaliczyłeś, tym większy miałeś powód do dumy i tym bardziej rosłeś w oczach cudzych i własnych.

Nie miałem najmniejszego wyobrażenia, że na tym się wszystko nie kończy. Chyba na każdego kiedyś musi przyjść kryzys, i to całkiem niespodziewanie. I jest zupełnie inaczej, niż myślałeś. Nie

mówisz sobie: „Ta dziewczyna jest dla mnie... Będzie moja...” Ze mną w każdym razie było inaczej. Nie wiedziałem, że będzie to absolutnie nieoczekiwane, że powiem sobie tak: „Do tej dziewczyny należę. Jestem jej. Należę do niej i do żadnej innej, całkowicie, na zawsze”. Nie, to przeszło wszelkie moje wyobrażenia. Który to aktor miał w swoim stałym repertuarze takie powiedzonko: „Raz w życiu byłem zakochany i raczej bym wyemigrował, niż miałbym to przeżyć jeszcze raz”? Ze mną było to samo. Gdybym wiedział, gdybym tylko wiedział, jak to będzie, wyemigrowałbym na pewno. Gdybym był mądry.

IV

Nie zapomniałem o przetargu. Miał się odbyć za trzy tygodnie. Przedtem wyjeżdżałem dwa razy za granicę, do Francji i do Niemiec. W Hamburgu przeżyłem ostry kryzys. Przede wszystkim nabrałem gwałtownej niechęci do pary małżeńskiej, której służyłem za kierowcę. Byli niegrzeczni, bezwzględni, robiło mi się niedobrze na ich widok. Poczułem wtedy, że już nie wytrzymuję takiego życia, tej wiecznej usłużności. Byłem jednak przezorny. Wiedziałem, że nie zniosę ich ani dnia dłużej, ale siedziałem cicho. Nie ma co zadzierać z firmą, która cię zatrudnia. Zadzwoiłem do moich klientów do hotelu, powiedziałem, że jestem chory, i wysłałem telegram do Londynu z tą samą informacją. Dodałem, że może będę musiał poddać się kwarantannie i żeby lepiej przysłano innego kierowcę. W ten sposób nikt nie mógł się mnie czepiać. Nie obchodziłem moich pracodawców na tyle, żeby się dowiadywali o moje zdrowie, myśleli pewno, że jestem ciężko chory i dlatego się nie odzywam. Później, w Londynie, uraczyłem ich historyjką, jak to omal nie wykorkowałem, i zniknąłem. To był chyba jednak błąd - ale miałem po dziurki w nosie tego całego interesu.

Mój bunt stanowił punkt zwrotny. Z tego powodu - i z powodu jeszcze innych spraw - znalazłem się na przetargu.

Na tablicy z ogłoszeniem doklejono informację: „O ile nie dojdzie wcześniej do skutku transakcja prywatna”. Nie doszła. Byłem nieprzytomny z podniecenia.

Mówiłem już chyba, że nigdy nie brałem udziału w tego rodzaju sprzedaży. Nastawiłem się na pasjonujące widowisko, ale było ono zupełnie niepasjonujące. Ani trochę. Takiego nudziarstwa dawno nie widziałem. Wszystko odbywało się w półmroku, w licytacji uczestniczyło zaledwie sześć, siedem osób. Prowadzący przetarg był zupełnie inny niż faceci, których widywałem na wyprzedazach, na przykład mebli. Tamci byli sympatyczni, sypali dowcipami. Ten przemawiał ponurym, grobowym głosem. Najpierw zachwalał posesję, podał, jaką ma powierzchnię, i inne tego rodzaju informacje, po czym bez przekonania rozpoczął licytację. Ktoś dał pięć tysięcy funtów. Prowadzący uśmiechnął się z przymusem, jakby usłyszał mało zabawny dowcip. Coś powiedział, po czym padło jeszcze kilka ofert. Znajdujący się tu ludzie wyglądali na ogół z wiejska. Na moje oko był wśród ubiegających się o Wieże jakiś farmer, jeden budowlaniec, paru prawników. Moją uwagę zwrócił pewien facet, najprawdopodobniej z Londynu, dobrze ubrany, pewnie po studiach. Nie wiem, czy złożył ofertę. Prawdopodobnie. W każdym razie zrobił to bardzo dyskretnie.

Licytacja dobiegła końca. Prowadzący ją oznajmił melancholijnie, że nie osiągnięto ceny minimalnej. Zaczęto się rozchodzić.

- Co za nudziarstwo - odezwałem się do idącego obok mnie gościa. Był chyba tutejszy.
- Jak zwykle - zauważył. - Był pan na wielu przetargach?
- Prawdę mówiąc, jestem po raz pierwszy.
- Przyszedł pan z ciekawości. Nie widziałem, żeby pan składał ofertę.
- Tak sobie przyszedłem. Chciałem zobaczyć, jak to wygląda.

- Ano tak to się najczęściej odbywa. Wie pan, o to chodzi, żeby zobaczyć, ilu jest chętnych. Spojrzałem na niego pytająco.

- Naliczyłem trzech - mówił dalej. - Wetherby z Helminster, budowniczy. Dakham i Coombe, przedstawiciele firmy z Liverpoolu, i jakiś facet z Londynu, chyba prawnik, czarny koń. Może jest ich więcej, ale ci się nie liczą. Dom pójdzie tanio. Wszyscy to mówią.

- Z powodu złej sławy?

- Oho, widzę, że już pan słyszał o Cygańskim Gnieździe. Ludzie jak to ludzie, gadają rozmaite rzeczy. Ale powiem panu, na czym sprawa polega: rada gminna powinna była już przed laty inaczej poprowadzić szosę, ten zakręt to śmiertelna pułapka.

- No tak, ale miejsce ma jednak złą sławę?

- Przesady, mówię panu. A wracając do sprzedaży. Rzeczywiście dobiecie targu rozegra się teraz za kulisami. Zainteresowani złożą oferty. Stawiałbym na tych z Liverpoolu. Wetherby nie wepchnie się za wysoko. Uznaje tylko tani zakup. Dzisiaj pełno różnych terenów wystawia się na sprzedaż, pod zabudowę. Mało kto może sobie pozwolić na kupno posesji, gdzie trzeba rozebrać stary dom i postawić nowy.

- Tak rzadko to się zdarza.

- Za dużo mozołu. A podatki? A inne rzeczy? Poza tym trudno tu o służbę. Nie, ludzie wolą raczej zapłacić majątek za luksusowe mieszkanie w mieście, na szesnastym piętrze nowoczesnego wieżowca. Wielkie bezpańskie domy są zawalidrogami na rynku.

- A jednak można by zbudować tam nowoczesny dom - zaprotestowałem. - Nowoczesnymi metodami.

- Można by. Ale to kosztowne przedsięwzięcie. Zresztą kto lubi mieszkać na pustkowiu?

- Znajdą się tacy.

Zaśmiał się i rozstaliśmy się.

Szedłem przed siebie zamyślony. Nie wiedząc, jak i kiedy, znalazłem się na biegnącej pomiędzy drzewami drodze, która wiodła krętym szlakiem na wrzosowiska.

I tak znalazłem się w miejscu, gdzie po raz pierwszy ujrzałem Ellie. Stała, jak mówiłem, pod wysoką jodłą. Wyglądała - jakże to powiedzieć - jakby wyłoniła się dopiero co z drzewa, jakby się przed chwilą zmaterializowała. Miała na sobie ciemnozielony tweedowy kostium, a jej włosy były barwy ciepłego brązu, niby jesienne liście. Tak, było w niej coś nierzeczywistego. Na jej widok przystanąłem. Spoglądała na mnie, lekko rozchyliwszy wargi, zalekciona. Ja chyba też miałem spłoszoną minę. Chciałem coś powiedzieć, ale nie wiedziałem, od czego zacząć. Wreszcie z wysiłkiem wykrztusiłem:

- Przepraszam... Ja... nie chciałem pani przestraszyć. Nie spodziewałem się, że kogoś tu spotkam. Odezwała się, a głos miała miękki, delikatny, głos małej dziewczynki, choć może niezupełnie.

- Nic się nie stało. Ja też nie myślałam, że ktoś tu przyjdzie. - Rozejrzała się i dodała: - Takie odludzie! - Zadrżała lekko.

Czuło się jakiś chłodny powiew. Ale nie byłem pewien, czy to powiew wiatru. Nie wiem. Podeszedłem do niej.

- Stara rudera... To budzi lęk, prawda?

- Wieże - rzekła w zadumie. - Skąd ta nazwa? Przecież chyba nie było tu żadnych wież.

- Po prostu nazwa. Ludzie wymyślają tego rodzaju nazwy dla domów, żeby to brzmiało dumnie.

Zaśmiała się cicho.

- Pewno i w tym wypadku tak było. Wie pan... Może pan słyszał... Ten dom jest wystawiony na sprzedaż. Dziś ma się odbyć przetarg.

- Wiem. Właśnie stamtąd wracam.

- Och! - W jej głosie zadźwięczała obawa. - Czy pan był... jest pan zainteresowany kupnem?

- Nie należę do ludzi, którzy mogą się wpakować w kupno rudery z kilkuset akrami lasu na dodatek. To nie dla mnie.

- A czy ktoś kupił dom? - spytała.

- Nie, nie osiągnięto ceny minimalnej.

- Ach tak - rzekła jakby z ulgą.

- Czyżby pani chciała kupić Wieże?

- Nie, nie, skąd - zaprzeczyła nerwowo.

Zawahałem się, a po chwili słowa same zaczęły cisnąć mi się na usta.

- Prawda wygląda trochę inaczej. Nie stać mnie na kupno, bo jestem goły, ale bardzo się tą posiadłością interesuję. Chciałbym ją kupić. Taka jest prawda. A teraz, proszę, niech się pani ze mnie nie śmieje.

- Nie uważa pan, że taka rudera... - zaczęła niepewnie.

- Oczywiście. Przecież nie chcę domu w takim stanie. Trzeba go rozebrać, do fundamentów. Jest ohydny i ponury. Ale miejsce nie jest ani ohydne, ani ponure. Jest naprawdę piękne. Niech pani popatrzy. Obejdźmy teraz te drzewa. Spójrzmy teraz tam, na wzgórze i wrzosowiska. Widzi pani? Trzeba tylko wykarczować trochę drzew... A teraz chodźmy tędy...

Ująłem ją pod ramię i poprowadziłem w innym kierunku. Nawet jeśli zachowywałem się zbyt śmiało, nie zwróciła na to uwagi. Zresztą nie chodziło mi o te rzeczy. Chciałem jej po prostu coś pokazać.

- Tutaj - podjąłem. - Niech pani spojrzy tam, gdzie widać w dole morze i sterczące skały. Tam leży miasto, zasłonięte wzgórzami. A teraz niech pani popatrzy w drugą stronę, na tę rozległą zalesioną dolinę. Wystarczy wykarczować drzewa, zrobić przesieki, zostawić otwartą przestrzeń wokół domu i ma pani cudowny zakątek. Dom nie powinien stać na dawnym miejscu. Pięćdziesiąt, sto jardów bardziej w prawo, tutaj. Tu jest miejsce na dom, na wspaniały dom, który postawiłby genialny architekt.

- Zna pan jakiegoś genialnego architekta? - spytała z powątpiewaniem.

- Owszem, znam.

I opowiedziałem jej o Santonixie. Siedzieliśmy obok siebie na zwałonym pniu, a ja mówiłem i mówiłem. Mówiłem do dziewczyny przypominającej wiotkie leśne drzewko, dziewczyny, której nigdy przedtem nie widziałem na oczy, i w moje słowa włożyłem wszystko. Zwierzyłem się jej z marzenia, które wcieliło się w dom.

- Ono się nigdy nie spełni. Wiem o tym. Nie ma żadnych szans. Ale niech pani to sobie wyobrazi tak jak ja. Tam wycięlibyśmy drzewa, zostawilibyśmy otwartą przestrzeń, posadzilibyśmy rododendrony i azalie. Przyjechałby mój Santonix. Biedak mocno kaszle, chyba umiera na suchoty, ale zrobiłby to dla mnie. Żeby tylko zdążył przed śmiercią. Mógłby zbudować najwspanialszy dom na świecie. Nie widziała pani jego dzieł. Buduje dla bardzo bogatych ludzi, ale dla takich, którzy chcą tego, co właściwe. Właściwe nie oznacza sztampy. Chodzi o ziszczenie marzeń. O rzeczy wspaniałe.

- Chciałabym mieć taki dom - rzekła Ellie. - Widzę go, czuję... Tak, to rozkoszne miejsce, można by tu żyć. Spełnienie marzeń. Żyć tutaj i być wolnym, swobodnym, wyzwolić się od tych ludzi, którzy

zmuszają cię do rzeczy, na które nie masz najmniejszej ochoty, i pilnują, żebyś nie robił tego, co chcesz. Och, jakże mam dość mojego świata, otoczenia, wszystkiego!

I tak to się zaczęło, nasza historia, Ellie i moja. Z jednej strony byłem ja i moje marzenia, z drugiej - ona i jej bunt przeciwko własnej niewoli.

- Jak pan się nazywa? - spytała.

- Mike Rogers... Michael Rogers - poprawiłem się. - A pani?

- Fenella... - Zawahała się i dodała: - Fenella Goodman. - spojrzała na mnie jakby z lekkim zakłopotaniem.

Niewiele wniosła ta wymiana nazwisk. I tak nie odrywaliśmy od siebie oczu. Pragnęliśmy się zobaczyć znowu, ale nie wiedzieliśmy, jak to zrobić.

V

No więc tak to było. Tak się zaczęła historia moja i Ellie. Toczyła się dalej powolutku, chyba zresztą dlatego, że oboje mieliśmy swoje sekrety. Oboje chcieliśmy zataić przed sobą pewne sprawy, nie mogliśmy być do końca szczerzy. Natrafialiśmy na pewnego rodzaju barierę. Bo jak tu po prostu zapytać: „Kiedy się znowu spotkamy? Gdzie mieszkasz?” Odpowiedzi na takie pytania oczekuje przecież zawsze i druga strona.

Fenella podała mi swoje nazwisko z jakimś lękiem. Myślałem nawet przez chwilę, że jest zmyślane. Ale przecież wiedziałem, że to niemożliwe. Ja podałem swoje prawdziwe nazwisko.

Nie bardzo wiedzieliśmy, jak się mamy rozstać. Sytuacja stawała się kłopotliwa. Zrobiło się zimno, trzeba było iść, ale co dalej? Wreszcie spytałem niepewnie:

- Zatrzymała się pani gdzieś tutaj?

Odparła, że w Market Chadwell. Było to pobliskie centrum handlowe, w którym znajdował się hotel pierwszej kategorii. Potem Fenella zwróciła się do mnie z równie niezręcznym pytaniem:

- A pan z tych stron?

- Nie. Przyjechałem tu na jeden dzień.

Znowu zapadło kłopotliwe milczenie. Zadrżała lekko. Powiał chłodny wiatr.

- Lepiej już chodźmy - powiedziałem. - Rozgrzejemy się. Jak pani... czy pani wraca samochodem, czy autobusem albo pociągiem?

Odparła, że zostawiła samochód w miasteczku.

- Ale to nic - dodała.

Była jakby trochę zdenerwowana. Przyszło mi na myśl, że może chce się mnie pozbyć i nie wie jak. Zaproponowałem:

- Przejdziemy się?

Spojrzała na mnie z wdzięcznością. Szliśmy powoli w dół krętą szosą, na której zdarzyło się tyle wypadków. Kiedy znaleźliśmy się za zakrętem, raptem zza jodły wyłoniła się jakaś postać. Wypadła na nas tak zniecka, że Ellie podskoczyła i krzyknęła: „Och!” Była to starucha, którą przedtem spotkałem w jej własnym ogródku. Stara Lee. Teraz miała wygląd znacznie bardziej dziki, z czarną grzywą powiewającą na wietrze i w szkarłatnym płaszczu na ramionach. Władcza postawa sprawiała, że kobieta wydawała się o wiele wyższa.

- Skąd się tu wzięliście? - zaatakowała nas. - Co robicie w Cygańskim Gnieździe?

- Och, chyba nie wdarliśmy się na cudzy teren? - przeraziła się Ellie.

- Tak jakby. Ongiś była to ziemia Cyganów. Nic tu po was. Wara od Cygańskiego Gniazda.

Ellie nie należała do osób bojowych. Odezwała się delikatnie i uprzejmie:

- Przykro mi. Nie wiedziałam, że nie powinniśmy tu przychodzić. Sądziłam, że ta posiadłość była dziś wystawiona na sprzedaż.

- Nieszczęsny ten, kto ją kupi! - zawołała starucha. - Posłuchaj, ślicznotko, a ładnaś, nie powiem, ten, kto ją kupi, sprowadzi na siebie nieszczęście. Na tej ziemi ciąży klątwa, rzucona dawno, dawno temu. Trzymaj się więc z daleka. Strzeż się Cygańskiego Gniazda. Czyha tu na ciebie niebezpieczeństwo, śmierć. Bierz nogi za pas, wracaj za morze, do domu, i nigdy więcej się tu nie pokazuj. Pamiętaj, ostrzegałam cię.

Ellie, odrobinę urażona, zaprotestowała:

- Przecież nic złego nie robimy.

- Do licha! Niech pani nie straszy tej młodej damy! - wtrąciłem się.

I wyjaśniłem Ellie:

- Pani Lee mieszka w miasteczku. Ma tam domek. Wróży, przepowiada przyszłość. Prawda, pani Lee? - zwróciłem się do niej żartobliwym tonem.

- Posiadam dar - oznajmiła bez ogródek i wyprostowała się jeszcze bardziej. - Posiadam dar - powtórzyła. - To jest we mnie. My, Cyganie, wszyscy to mamy. Powróżę ci, ślicznotko. Połóż mi na dłoni srebrną monetę, a powróżę ci.

- Nie chcę słuchać wróżb - broniła się Ellie.

- Mądrzej zrobisz, jak posłuchasz. Powinnaś wiedzieć, co cię czeka. Czego się strzec, co się stanie, jeśli nie będziesz ostrożna. Dalej, masz kupę pieniędzy. Całe mnóstwo. A ja wiem to, co ty powinnaś wiedzieć.

Myślę, że wszystkie kobiety są pod tym względem jednakowe; pożera je ciekawość własnej przyszłości. Zauważyłem to wielokrotnie u moich dziewczyn. Kiedy zabierałem je na jakiś festyn, zawsze ciągnęły mnie do wróżki. Ellie otworzyła torebkę, wyjęła dwie półkoronówki i wcisnęła je w dłoń starej Cyganki.

- Tak, dobrze, ślicznotko. A teraz posłuchaj, co ci powie matka Lee.

Ellie zdjęła rękawiczkę i położyła swą małą, delikatną rączkę na dłoni kobiety. Tamta wpatrywała się w nią, mruczając do siebie:

- Co tam widać? Co tam widać?

Raptem puściła gwałtownie rękę Ellie.

- Zabieraj się stąd. Jedź i nie wracaj! To, co ci przedtem powiedziałam, to czysta prawda. Twoja ręka ją potwierdza. Zapomnij o Cygańskim Gnieździe. Zapomnij, że je w ogóle widziałas na oczy. Klątwa ciąży nie tylko na domu. Cała ziemia jest wyklęta.

- Ma pani jakąś obsesję - odezwałem się szorstko. - W każdym razie ta dama nie ma nic wspólnego z tym niebezpiecznym miejscem. Wybrała się tu tylko na spacer, nie jest z tych stron.

Cyganka nie zwróciła na mnie uwagi. Podjęła złowieszczo:

- Tak, ślicznotko. Ostrzegam cię. Możesz być szczęśliwa, ale unikaj niebezpieczeństwa. Strzeż się miejsc niebezpiecznych, miejsc wyklętych. Wracaj tam, gdzie cię kochają, gdzie o ciebie dbają, gdzie się tobą opiekują. Musisz pilnować własnego bezpieczeństwa. Pamiętaj o tym. Inaczej... inaczej... - Zadrżała. - Nie chcę tego widzieć, nie chcę tego wiedzieć, co mówi twoja ręka.

I nagle gwałtownym, szybkim ruchem wsunęła w dłoń Ellie dwie półkoronówki. Mamrotała coś do siebie, ledwo było ją słyszeć. Brzmiało to jakoś tak: „To okrutne. Okrutne to, co się stanie”. Odwróciła się na pięcie i szybkim krokiem odeszła.

- Co za przerażająca kobieta! - zawołała Ellie.

- Niech się pani nią nie przejmuję - powiedziałem szorstko, zły na starą Lee. - Jest nieźle stuknięta. Chce panią nastraszyć. Cyganie mają szczególny stosunek do tego skrawka ziemi.

- Czy zdarzyły się tu jakieś wypadki? Nieszczęścia?

- Jak mogło nie być wypadków? Niech pani popatrzy na ten zakręt. Taki zakręt na tak wąskiej drodze. Należałoby rozstrzelać facetów z rady gminnej za to, że nie kiwnęli palcem w tej sprawie. Tu muszą być wypadki. Choćby dlatego, że jest za mało znaków ostrzegawczych.

- Chodzi tylko o wypadki czy... o inne rzeczy?

- Wie pani, jak to jest. Ludzie uwielbiają wyolbrzymiać nieszczęścia. Zawsze i wszędzie można to zrobić. Tak tworzą się legendy wokół pewnych miejsc.

- To dlatego krążą pogłoski, że posiadłość pójdzie za bezcen?

- Chyba tak. Ale tylko wśród miejscowych. Nie sądzę zresztą, żeby to kupił ktoś tutejszy. Raczej ktoś, kto przeznaczy teren pod zabudowę. Ale pani drży. Chodźmy szybciej. - Po chwili dodałem: - Może woli pani, żebyśmy się rozstali, zanim dojdziemy do miasteczka?

- Nie, skąd. Dlaczego?

Wtedy zdobyłem się na desperacki wyczyn.

- Chciałem coś pani powiedzieć. Będę jutro w Market Chadwell. Tylko że... że nie wiem, czy pani do tej pory nie wyjedzie. To znaczy... chciałbym zapytać... czy mogę się z panią zobaczyć?

Zwolniłem kroku, odwróciłem głowę. Musiałem być nieźle czerwony. Ale gdybym tego nie powiedział, jak wybrnąłbym z sytuacji?

- Tak, tak - odparła szybko. - Do Londynu wracam dopiero wieczorem.

- Więc... czy pani... może jestem bezczelny...

- Ależ nie!

- To może wybralibyśmy się razem do kawiarni? Znam taką jedną, nazywa się Pod Niebieskim Psem. Zupełnie przyzwoity lokal... Jakby to powiedzieć? - Nie potrafiłem znaleźć właściwego słowa. Nagle przypomniało mi się określenie mojej matki. - Odpowiedni dla damy - dodałem niepewnie.

Ellie wybuchnęła śmiechem. Cóż, pewnie nikt tak już dzisiaj nie mówi.

- Och, to na pewno sympatyczne miejsce. Dobrze, przyjdę. Może być o wpół do piątej?

- Będę na panią czekał. I... cieszę się.

Nie wyjawilem, dlaczego się cieszę.

Doszliśmy do ostatniego zakrętu, ukazały się pierwsze domy.

- Do widzenia - powiedziałem. - Do jutra. I proszę nie myśleć o tym, co pani nagadała ta stara jędza. Widocznie lubi straszyć ludzi. Jest trochę stuknięta, i tyle.

- Czy to miejsce budzi w panu lęk?

- Cygańskie Gniazdo? Ani trochę.

Stwierdziłem to może zbyt stanowczo, ale od samego początku posiadłość nie budziła we mnie strachu. Uważałem, że to piękne miejsce, piękna oprawa dla pięknego domu...

Takie było nasze pierwsze spotkanie. Następnego dnia pojechałem do Market Chadwell i czekałem na Ellie w kawiarni Pod Niebieskim Psem. Przyszła. Piliśmy herbatę. Rozmawialiśmy. Wciąż jednak nie opowiadaliśmy sobie o swojej przeszłości, o swoim życiu. Mówiliśmy przede wszystkim o tym, co myślimy, co czujemy. Wreszcie Ellie spojrzała na zegarek i oznajmiła, że musi iść, bo o 5.30 ma pociąg do Londynu.

- A co z samochodem?

Była lekko zakłopotana. Powiedziała, że to nie jej samochód. Ale nie zdradziła czyj. Znowu poczuliśmy się skrępowani. Skinąłem na kelnerkę, zapłaciłem, po czym zapytałem Ellie prosto z mostu:

- Czy... czy jeszcze się zobaczymy?

Nie patrzyła na mnie. Utkwiła oczy w blacie stolika.

- Będę w Londynie jeszcze przez jakieś dwa tygodnie - rzekła.

- Więc gdzie się spotkamy? Jak?

Umówiliśmy się w Regent's Park za trzy dni. Pogoda tego dnia była wspaniała. Zjedliśmy coś w restauracji na świeżym powietrzu, potem poszliśmy do Queen Mary's Garden, gdzie usiedliśmy na składanych krzesłach i rozmawialiśmy. Wreszcie zaczęliśmy mówić o sobie. Ja o tym, że co prawda chodziłem do nie najlepszej szkoły, ale do niczego nie doszedłem. Opowiadałem o moich rozmaitych zajęciach, no, może nie o wszystkich, i o tym, że nigdzie nie zagrzewam długo miejsca, że jestem niespokojnym duchem, że skaczę z kwiatka na kwiatek. Ona, o dziwo, słuchała tego z zapartym tchem.

- To wszystko jest takie inne. Tak cudownie inne - mówiła.

- Inne od czego?

- Od tego, co znam.

- Jesteś bogata? Bogate biedactwo? - zapytałem z drwiną.

- A żebyś wiedział. Bogate biedactwo.

I zaczęła opowiadać o sobie. Mówiła o życiu w bogatym domu, o przytłaczającym luksusie, o nudzie. Nie mogła sama dobierać sobie przyjaciół i nigdy nie robiła tego, co naprawdę chciała. Otaczający ją ludzie wyglądali na zadowolonych, ona jednak nie odczuwała radości. Matka zmarła, kiedy Ellie była zupełnie mała, ojciec ponownie się ożenił, a wkrótce potem też zmarł. Wyglądało na to, że Ellie nie przepada za swoją macochą. Ellie mieszkała w Stanach i sporo podróżowała.

Słuchałem oniemiały. Nie chciało mi się wierzyć, że w dzisiejszych czasach są jeszcze dziewczyny, które żyją w tak zamkniętym świecie, w takiej izolacji. Ellie chodziła oczywiście na przyjęcia, bywała tu czy tam, ale miałem wrażenie, że słucham historii sprzed pięćdziesięciu lat. W jej opowieści nie pojawiła się żadna intymna nuta, choćby cień radości. Życie Ellie i moje to były dwa bieguny. Słuchałem jej zafascynowany, lecz jednocześnie chciało mi się śmiać.

- Nie masz własnej paczki znajomych? - spytałem z niedowierzaniem. - Musiałaś chyba mieć swojego chłopaka?

- Zawsze wybierano mi chłopców - wyznała z goryczą. - Zresztą śmiertelnie nudnych.

- Żyjesz jak w więzieniu.

- Nie ma wielkiej różnicy.

- I naprawdę nie masz przyjaciół?

- Teraz mam Gretę.

- Kto to jest Greta?

- Pracowała z początku u nas jako dziewczyna do wszystkiego, no, może niezupełnie w tym charakterze. Najpierw przez rok mieszkała z nami Francuzka, żeby się uczyła francuskiego, a potem przyjechała z Niemiec Greta. Od tej chwili wszystko się zmieniło.

- Bardzo ją lubisz, prawda?

- Pomaga mi. Jest po mojej stronie. Tak wszystko urządza, że wreszcie mogę robić to, na co mam ochotę, jeździć tam, gdzie chcę. Obmyśla różne wybiegi. Gdyby nie Greta, nie mogłabym przyjechać do Cygańskiego Gniazda. Greta dotrzymuje mi towarzystwa i opiekuje się mną w Londynie, kiedy

macocha jest w Paryżu. Wiesz, piszę kilka listów na zapas, a jak wyjeżdżam, Greta wysyła je co parę dni, mają więc stempel pocztowy Londynu.

- Dlaczego chciałaś pojechać do Cygańskiego Gniazda? Po co?

Nie odpowiedziała od razu.

- Wymyśliłyśmy to razem z Gretą. Ona jest niezwykła. Przychodzą jej do głowy różne rzeczy.

Podsuwa pomysły.

- A jak wygląda?

- Och, jest piękna. Wysoka blondynka. Po prostu ideał urody.

- Mnie by się na pewno nie spodobała.

Ellie roześmiała się.

- O, jestem przekonana, że tak. Jest przy tym bardzo bystra.

- Nie lubię bystrych facetek. I nie lubię wysokich blondynek. Podobają mi się niewysokie dziewczyny, o włosach przypominających jesienne liście.

- Oj, chyba jesteś zazdrosny o Gretę.

- Może i tak. Bardzo ją lubisz?

- Bardzo. Zmieniła moje życie.

- I to ona podsunęła ci pomysł, żeby pojechać do Cygańskiego Gniazda? Ciekawe dlaczego? Nie ma tam przecież nic szczególnego. Zagadkowa sprawa.

- To nasza tajemnica - wyznała Ellie z zakłopotaniem.

- Twoja i Grety? Nie zdradzisz jej? Pokręciła głową.

- Muszę mieć swoje sekrety.

- Czy Greta wie, że się ze mną spotykasz?

- Wie tylko, że się z kimś spotykam. Nie dopytuje się. Widzi, że jestem szczęśliwa.

Potem przez cały tydzień nie widziałem się z Ellie. Przyjechała z Paryża jej macocha, a poza tym jeszcze jakiś wuj Frank. Ellie oznajmiła mi niemal obojętnie, że zbliżają się jej urodziny i odbędzie się z tej okazji wielkie przyjęcie w Londynie.

- Nie będę mogła się wyrwać - tłumaczyła. - Nie w przyszłym tygodniu. Ale potem... potem będzie inaczej.

- Dlaczego potem będzie inaczej?

- Bo będę mogła robić to, co chcę.

- Oczywiście dzięki pomocy Grety?

Ellie zawsze się śmiała, kiedy mówiłem o Grecie. Mawiała:

- Śmieszny jesteś z tą swoją zazdrością. Musisz poznać Gretę. Zobacysz, że ją polubisz.

- Nie cierpię dziewczyn, które lubią się szarogęścić i wszystkim rządzić - powtarzałem z uporem.

- Skąd wiesz, że ona taka jest?

- Z tego, co o niej opowiadasz. Stale coś wymyśla, aranżuje.

- Jest bardzo przedsiębiorcza - broniła jej Ellie. - Świetnie wszystko załatwia. Macocha całkowicie na niej polega.

Spytałem, jaki jest wuj Frank.

- Nie znam go zbyt dobrze - odparła Ellie. - To mąż siostry ojca, powinowaty. Lekkomysłny człowiek, wplątał się w jakąś kabałę. Wiesz, jak to bywa: ludzie coś napomykają, robią aluzje...

- Słowem, facet nie do zaakceptowania w towarzystwie? Ladaco?

- Och, nie sądzę, żeby coś naprawdę przeszkrobał. Ale był, zdaje się, w tarapatkach finansowych.

Członkowie naszego trustu, prawnicy, i tak dalej, musieli go ratować z opresji, spłacać jego długi.

- No tak, czarna, owca w rodzinie. Przypuszczam, że lepiej bym się dogadał z nim niż z twoją idealną Gretą.

- Wuj rzeczywiście da się lubić - przyznała Ellie. - Dobry z niego kompan.

- Ale ty go nie lubisz? - spytałem szybko.

- Chyba lubię... Tyle że czasem... Och, nie wiem, jak to wytłumaczyć... trudno odgadnąć, co on myśli, co planuje...

- To jeden z tych, co robią za nas plany, tak?

- Nie, nie wiem, jaki on naprawdę jest - powtórzyła Ellie. Nigdy nie napomknęła nawet słówkiem, żebym poznał jej rodzinę. Zastanawiałem się, czy ja sam nie powinienem tego zaproponować. Nie wiedziałem, czy Ellie byłaby zadowolona. W końcu wypaliłem prosto z mostu:

- Powiedz, Ellie, czy chciałabyś, żebym poznał twoją rodzinę, czy raczej nie?

- Nie, wolałabym nie - powiedziała szybko.

- Wiem, że nie jestem zbyt... - zacząłem.

- Nie to miałam na myśli, skądże! Chodzi mi o to, że zaraz podnieśliby rwetes. A ja tego nie zniosę.

- Czasami - rzekłem - czuję się tak, jakby to była jakaś pokątna znajomość. Taka sytuacja nie stawia mnie w najlepszym świetle.

- Jestem dorosła i mam prawo do własnych przyjaciół. Niedługo skończę dwadzieścia jeden lat. A wtedy nikt nie będzie się wtrącał do tego, z kim przestaję. Na razie jednak jest to trudne. Wiem, że zaraz narobią szumu, gdzieś mnie wywiozą i nie będziemy mogli się widywać. Wyobrażam sobie, co by się działo... Och, błagam, niech wszystko zostanie po dawnemu.

- Dobrze, skoro tak wolisz. Nie chciałbym spotykać się z tobą jak spiskowiec i tyle.

- Nie chodzi o żaden spisek. Po prostu mam przyjaciela, z którym mogę porozmawiać. Z którym - i uśmiechnęła się nagle - mogę sobie pomarzyć. I to jest cudowne!

To prawda, nasze randki pełne były bujania w obłokach. Im dalej w las, tym śmielej. Czasami ja fantazjowałem, czasem Ellie. Ona nawet częściej. Mówiła na przykład: „Wyobraźmy sobie, że kupujemy Cygańskie Gniazdo i stawiamy dom”.

Często opowiadałem jej o Santonixie. Próbowałem opisać jego domy i jego sposób myślenia. Chyba nie wychodziło mi to najlepiej, bo nie potrafię dobrze opowiadać. Ellie oczywiście miała własną wizję domu, naszego domu. Co prawda, nigdy nie padło słowo „nasz”, ale było jasne, że chodzi o nasz dom.

No więc tak; przez cały tydzień miałem nie zobaczyć Ellie. Wygrzebałem jakiegoś zaskórniaka (niewiele tego było) i kupiłem mały pierścionek z zielonym oczkiem w kształcie irlandzkiej koniczyny. Podarowałem go jej w prezencie urodzinowym. Była wniebowzięta.

- Przepiękny - powiedziała.

Rzadko nosiła biżuterię, a jeśli już coś wkładała, to na pewno prawdziwe brylanty czy szmaragdy. Ale mój zielony irlandzki pierścioneczek bardzo się jej spodobał.

- To mój najmiłszy prezent urodzinowy - powiedziała.

Dostałem potem od niej pisaną w pośpiechu kartkę. Zaraz po urodzinach wyjeżdżała z rodziną do południowej Francji.

„Ale nie martw się - pisała - wracamy za dwa, trzy tygodnie. Potem jedziemy do Stanów. W każdym razie spotkamy się. Jest coś, o czym chciałabym z Tobą pomówić. Coś specjalnego...”

Byłem niespokojny. Czuję się okropnie, kiedy Ellie wyjechała do Francji. Zasięgnąłem języka w sprawie Cygańskiego Gniazda. Znalazł się kupiec. Była to transakcja prywatna, ale kto został nabywcą, dokładnie nie wiadomo. Aktu kupna dokonała londyńska firma prawnicza. Próbowałem się czegoś dowiedzieć, bez skutku. Kancelaria trzymała całą sprawę w tajemnicy. Nie zwróciłem się, rzecz jasna, do szefów firmy. Zaczepiłem jakiegoś urzędnika i w ten sposób zdobyłem garść niejasnych informacji. Cygańskie Gniazdo zakupiono dla pewnego bogatego klienta, który traktował je jako dobrą lokatę. Liczył, że wartość posiadłości wzrośnie, kiedy ludzie zaczną więcej inwestować w zabudowę terenów w tej części kraju.

Trudno się czegoś dowiedzieć, kiedy ma się do czynienia z prawdziwie ekskluzywną firmą. Wszystko otoczone jest ścisłą tajemnicą, jakby chodziło o asa wywiadu z M.I.5. Firma występuje w imieniu jakiegoś tajemniczego klienta, którego nie tylko nie można wymienić z nazwiska, ale nawet o nim wspomnieć. Tacy nie zajmują się osobiście przebijaniem ofert.

Niepokój narósł we mnie do granic wytrzymałości. W końcu odpuściłem sobie i pojechałem do matki.

Nie odwiedzałem jej od bardzo dawna.

VI

Matka wciąż mieszkała przy tej samej ulicy co dwadzieścia lat temu. W rzędzie jednakowych domków nic nie przyciągało uwagi, nie było żadnego piękna. Próg drzwi frontowych lśniący bielą, wyglądał jak zawsze. Numer 46. Nacisnąłem dzwonek. W progu ukazała się matka. Wyglądała tak jak zawsze, ona też. Wysoka, kanciasta, szpakowate włosy z przedziałkiem pośrodku głowy, usta niczym pułapka na myszy, wiecznie podejrzliwe oczy. Twarda jak kamień, dla mnie jednak zachowała odrobinę czułości. Nigdy się z tą słabością nie zdradzała, w każdym razie robiła wszystko, żeby nic po sobie nie pokazać, ale ja swoje wiedziałem. Nie opuszczała jej nadzieja, że kiedyś się zmienię. Marzenia bez pokrycia. Sytuacja patowa.

- Ach - powitała mnie - to ty.

- Tak, to ja.

Cofnęła się o krok, żeby mnie przepuścić, minąłem drzwi do dużego pokoju, wszedłem do kuchni. Szła za mną. Przystanąła nie spuszczając ze mnie oczu.

- Długo cię nie było. Co robiłeś przez cały ten czas?

- Raz to, raz tamto.

- No tak - westchnęła. - Jak zwykle.

- Jak zwykle - przyznałem.

- Powiedz, ile razy zmieniałeś pracę, odkąd się ostatni raz widzieliśmy?

Zastanowiłem się.

- Pięć razy.

- Pora dorosnąć.

- Jestem dorosły. Coś w życiu wybrałem? A co u ciebie?

- Też jak zwykle.

- Dobrze się czujesz?

- Nie mam czasu na choroby. - I zaraz spytała ostrym tonem: - Po co przyjechałeś?

- Muszę koniecznie po coś przyjeżdżać?

- Zazwyczaj nie wybierasz się po nic.

- Nie wiem dlaczego potępiasz mnie za to, że chcę podróżować po świecie.

- Jako kierowca luksusowych samochodów? Tak sobie wyobrażasz zwiedzanie świata?

- Oczywiście.

- W ten sposób niewiele osiągniesz. Zwłaszcza jeśli z dnia na dzień będziesz rzucał robotę z powodu choroby, zostawiając swoich klientów w jakimś barbarzyńskim miejscu.

- Skąd wiesz?

- Dzwonili z twojej firmy. Prosili o twój adres.

- Czego chcieli?

- Przypuszczam, że chcieli cię ponownie zatrudnić. Zupełnie nie rozumiem dlaczego.

- Bo jestem dobrym kierowcą, klienci mnie lubią. Zresztą czy to moja wina, że zachorowałem?

- Tego nie wiem.

Wyraźnie była zdania, że to jednak moja wina.

- Dlaczego nie zgłosiłeś się do firmy po powrocie?

- Bo miałem co innego na oku.

Uniosła brwi.

- Nowe pomysły, tak? Nowe szalone projekty? Gdzie potem pracowałeś?

- Na stacji benzynowej. W warsztacie samochodowym jako mechanik. Dorywczo jako urzędnik. Zmywałem też naczynia w nocnej knajpie, zresztą podłej.

- Czyli zjeżdżasz po równi pochyłej - stwierdziła matka z jakąś ponurą satysfakcją.

- Przeciwnie - zaprotestowałem. - To stanowi część planu. Oczywiście mojego planu.

Westchnęła i spytała:

- Czego się napijesz, herbaty czy kawy? Co wolisz?

Wolałem kawę. Wyrosłem już z tych herbacianych obrządków. Usiedliśmy naprzeciw siebie z filiżankami w rękę, matka wyjęła domowe ciasto i ukrajała po kawałku.

- Jesteś inny - zauważyła raptem.

- Ja? Inny?

- Tak, nie wiem dlaczego, ale jesteś. Co się stało?

- Nic. Co by się miało stać?

- Jesteś jakiś podniecony.

- Wiesz, planuję skok na bank.

Nie była w nastroju do żartów. Powiedziała:

- Tego akurat się nie boję.

- Dlaczego? Prosty sposób, żeby zdobyć forszę.

- To nie dla ciebie. Wymagałoby to zbyt wiele zachodu. Dokładnego przygotowania. Pracy myślowej. Poza tym nie lubisz ryzyka.

- Wydaje ci się, że znasz mnie na wylot.

- Nie, tak naprawdę to cię wcale nie znam, bo jesteśmy zupełnie inni. Wiem jednak, kiedy coś knujesz. A teraz coś knujesz. Powiedz, Mike, chodzi o dziewczynę?

- Dlaczego właśnie o dziewczynę?

- Wiedziałam, że to w końcu nastąpi.

- O czym ty mówisz? Mało miałem dziewczyn?

- Tak, ale ja mam na myśli co innego. Tamte wypełniały ci pusty czas. Podrywałeś je, nie traktowałeś ich poważnie.

- Uważasz, że teraz to coś poważnego?

- Mike, czy chodzi o dziewczynę?

Nie patrzyłem jej w oczy. Spojrzałem w bok i odparłem:

- W pewnym sensie.

- Co to za dziewczyna?

- Odpowiednia dla mnie.

- Przyjedziesz z nią do mnie?

- Nie.

- Ach, więc to tak.

- Mylisz się. Nie chcę ci robić przykrości, ale...

- Nie robisz mi przykrości. Nie chcesz mi jej pokazać, bo się boisz, że powiem „nie”. Czy tak?

- I tak bym zrobił po swojemu.

- Może, ale byś się przejął. Przejąłbyś się, bo bierzesz do serca to, co mówię i myślę. Są pewne rzeczy, których się domyśliłam, chyba słusznie, i ty o tym dobrze wiesz. Jestem jedyną osobą na świecie, która może zachwiać twoją wiarę w siebie. Przyznaj się, ta dziewczyna to jakieś ladaco.

- Ladaco? - zaśmiałem się. - Gdybyś ją zobaczyła! Nie rozśmieszaj mnie.

- Powiedz lepiej, czego tu szukasz? Zawsze masz jakiś interes.

- Potrzebuję pieniędzy.

- Nie dostaniesz. Po co ci pieniądze? Na tę dziewczynę?

- Nie. Muszę sobie sprawić pierwszorzędny garnitur na własny ślub.

- Żenisz się z nią?

- Jak mnie zechce. To był dla niej szok.

- Dlaczego nic mi nie chcesz powiedzieć? - zawołała. - Paskudnie wpadłeś, czuję to. Zawsze się bałam, że wybierzesz sobie nieodpowiednią kobietę.

- Nieodpowiednią! Niech to diabli! - wrzasnąłem z wściekłością.

Wybiegłem trzasnąwszy drzwiami.

VII

W domu czekał na mnie telegram nadany w Antibes.

„Czekam jutro 4.30 jak zwykle”.

Ellie zmieniła się. Od razu to zauważyłem. Spotkaliśmy się w naszym stałym miejscu w Regents Park. Z początku czuliśmy się obco, dziwnie. Miałem jej coś ważnego do powiedzenia, ale byłem zdenerwowany, nie wiedziałem, jak to zrobić. Chyba każdy mężczyzna tak się czuje, kiedy zamierza się oświadczyć.

Ellie też była wyraźnie nieswoja. Może, myślałem sobie, zastanawia się, jak najdelikatniej dać mi kosza. Ale nie, to przecież niemożliwe. Moja wiara w życie opierała się na przeświadczeniu, że Ellie mnie kocha. Wyczuwałem w niej jednak jakąś nie znaną mi dotąd niezależność, pewność siebie, i trudno uwierzyć, że brało się to stąd, iż była o rok starsza. Jedne urodziny więcej nie mogą tak zmienić dziewczyny.

Opowiadała mi trochę o swoim pobycie z rodziną na południu Francji. W pewnym momencie rzekła nieśmiało:

- Wiesz, widziałam ten dom, o którym mówiłeś. Ten, który zbudował twój znajomy architekt.

- Co takiego? Mówisz o domu Santonixa?

- Tak. Byliśmy tam na lunchu.

- Jak to? Twoja macocha zna właściciela tego domu?

- Dimitri Constantine'a? Niezupełnie... Kiedyś go spotkała... Prawdę powiedziawszy, Greta to zorganizowała.

- Zawsze ta Greta! - zawołałem ze złością.

- Wiesz przecież, jaka jest przedsiębiorcza.

- A niech jej będzie. Więc tak to zaaranżowała, że ty i twoja macocha...

- I wuj Frank... - dodała Ellie.

- Ach, prawdziwie rodzinna wizytka. I Greta na dodatek...

- Nie, Greta nie poszła z nami... Widzisz... - Ellie zawahała się. - Cora, to znaczy macocha, nie traktuje jej w sposób właściwy.

- No tak, ona nie należy do rodziny, uboga znajoma, prawda? Po prostu pomoc domowa. Greta musi jej to mieć za złe.

- Greta nie jest pomocą domową. Dotrzymuje mi towarzystwa.

- Jest na to mnóstwo określeń. Opiekunka. Cicerone. Przyzwoitka. Guwernantka. Co kto woli.

- Och, przestań! - zawołała Ellie. - Lepiej posłuchaj. Chcę ci coś powiedzieć. Zrozumiałam, o co ci chodziło, kiedy opowiadałeś o Santonixie. To rzeczywiście cudowny dom. Niepodobny do innych. Teraz wiem, że gdyby on dla nas projektował, zrobiliby coś wspaniałego.

Powiedziała „dla nas”. Zupełnie nieświadomie. Pojechała na Riwierę. Z pomocą Grety zaaranżowała tamto spotkanie. Chciała mieć wyraźny obraz domu, który powstał w naszych marzeniach pod wpływem Santonixa.

- Cieszę się, że tak to odebrałaś - powiedziałem.

- A co ty porabiałeś?

- U mnie to samo nudziarstwo. Byłem też na wyścigach i postawiłem na czarnego konia. Trzydzieści do jednego. Postawiłem wszystko co do grosza i koń wygrał o całą długość. I co, może nie mam szczęścia?

- Świetnie, że wygrałeś. - W głosie Ellie nie było jednak entuzjazmu. Stawianie na czarnego konia i wielka wygrana niewiele jej mówiły. Zupełnie inaczej niż mnie.

- Byłem też u matki.

- Nigdy nie opowiadałeś mi o matce.

- A po co?

- Nie lubisz jej?

Zastanowiłem się.

- Sam nie wiem. Czasami myślę, że nie. Człowiek dorasta i przerasta rodziców, matki i ojców.

- Myślę, że ci jednak na niej zależy. Inaczej nie byłbyś taki niepewny własnych uczuć, kiedy o niej mówisz.

- W każdym razie boję się jej. Zna mnie na wylot. Od najgorszej strony.

- Ktoś musi.

- Nie rozumiem.

- Chyba jakiś pisarz kiedyś powiedział, że nie ma człowieka, który byłby bohaterem w oczach własnego kamerdynera. Może każdy z nas powinien mieć takiego kamerdynera. Wiecznie zabiegać o dobrą opinię, cóż za udręka!

- Moja mądra Ellie - powiedziałem i ująłem ją za rękę. - A ty? Ty znasz mnie dobrze?

- Myślę, że tak - odparła ze spokojem i prostotą.

- Wiele ci o sobie nie mówiłem.

- Powiedz raczej, że nic mi nie mówiłeś, milczałeś na swój temat. A to różnica. Ale i tak wiem, jaki jesteś, ty, Mike Rogers.

- Rzeczywiście? - Po chwili dodałem: - To, co ci powiem, Ellie, zabrmi trochę śmiesznie, ale nie szkodzi. Kocham cię. Trochę późno ci to mówię, prawda? Chyba wiedziałaś o tym od dawna, od samego początku?

- Tak, a ty na pewno wiedziałaś o mnie.

- Najważniejsze, co teraz zrobimy. To nie będzie łatwe” Ellie. Wiesz, kim jestem, co robiłem, znasz mój tryb życia. Widziałem się z matką. Widziałem tę beznadziejną, przyzwoitą uliczkę, na której mieszka. Nasze światy są zupełnie inne, Ellie. Wątpię, czy kiedykolwiek się spotkają.

- Zabierz mnie do matki.

- Mógłbym, ale nie chcę. Brzmi to ostro, okrutnie, tylko widzisz, będziemy wieść dziwne życie, ty i ja. Nie takie życie, do jakiego przywykłaś, i nie takie, jakie ja dotąd prowadziłem. Czeka nas coś zupełnie nowego. Zbiegną się moja bieda i brak wykształcenia z twoimi pieniędzmi, kulturą i obyciem. Moi znajomi będą zdania, że zadzieras nosa, twoi, że jestem nie do przyjęcia w towarzystwie. I co zrobimy?

- Posłuchaj - rzekła na to Ellie. - Powiem ci, co zrobimy. Zamieszkamy w Cygańskim Gnieździe, w domu naszych marzeń, który zbuduje twój przyjaciel Santonix. To właśnie zrobimy. A przedtem się pobierzemy. Chcesz?

- Tak. Chcę. Jeśli jesteś pewna, że możesz to zrobić.

- To proste. Pobierzemy się w przyszłym tygodniu. Jestem pełnoletnia. Mogę teraz robić, co mi się żywnie podoba. To zmienia postać rzeczy. Chyba masz rację w sprawach rodzinnych. Nic nie powiem o nas swojej rodzinie, ty też nic nie mów matce. Powiemy im dopiero wtedy, gdy będzie po wszystkim. Wpadną w szal, ale co mnie to obchodzi.

- Cudownie! - zawołałem. - Cudownie, Ellie! Jeszcze jedno. Muszę ci zdradzić coś okropnego. Nie możemy zamieszkać w Cygańskim Gnieździe, nie możemy tam postawić naszego domu. Cygańskie Gniazdo zostało sprzedane.

- Wiem o tym - zaśmiała się Ellie. - Nic nie rozumiesz, Mike. To ja je kupiłam.

VIII

Siedzieliśmy na trawie przy strumieniu, w otoczeniu przybrzeżnych kwiatów, ścieżynek i kamieni. Wokoło pełno było ludzi, ale my nie zwracaliśmy na nich uwagi, nikogo nie widzieliśmy. Byliśmy pochłonięci sobą, jak każda młoda paraj która snuje plany na przyszłość. Nie odrywałem od Ellie wzroku. Nie mogłem mówić.

- Mike - odezwała się. - Muszę ci o czymś powiedzieć. To dotyczy mnie.

- Nie trzeba. Nie musisz mi niczego mówić.

- Muszę. Powinam to zrobić już dawno, ale nie chciałam, bo... bo myślałam, że się wystraszysz. Jak się dowiesz, zrozumiesz sprawę Cygańskiego Gniazda.

- Kupiłaś je. Ale jak?

- Za pośrednictwem firmy prawniczej, normalnym trybem. To doskonała inwestycja. Wartość ziemi rośnie. Doradcy nie mieli zastrzeżeń.

Słuchałem zdumiony, jak moja delikatna, nieśmiała Ellie, porusza się ze znanstwem i pewnością siebie w świecie biznesu, w kwestiach obrotu ziemią.

- Kupiłaś to dla nas?

- Tak. Udałam się do własnego, a nie rodzinnego, prawnika, powiedziałam mu, czego chcę,

prosiłam, żeby zbadał sprawę. Wszystko zostało załatwione. Byli jeszcze dwaj chętni, ale nie do końca zdecydowani, w każdym razie nie zamierzali piąć się za wysoko. Musiałam załatwić to tak, żeby podpisać papiery zaraz po dojściu do pełnoletności. Podpisałam i wszystko gotowe.

- Musiałaś jednak złożyć jakiś depozyt. Miałaś tyle pieniędzy?

- Nie, przedtem nie dysponowałam sama pieniędzmi, ale przecież zawsze można wziąć kredyt. A wiesz, jak to jest z tymi nowymi firmami prawniczymi. Liczą, że ich zatrudnisz, kiedy wejdiesz w posiadanie majątku, więc ryzykują; zawsze istnieje możliwość, że nie dożyjesz własnych urodzin.

- Przyznam, że mnie zatkało. Mówisz jak prawdziwa kobieta interesu.

- Mniejsza o interesy. Wróćmy do najważniejszego. Właściwie już ci to powiedziałam, ale chyba do ciebie nie dotarło.

- Nic nie chcę wiedzieć! - Podniosłem głos, niemal krzyczałem. - Nic nie mów. Wszystko mi jedno, co robiłaś, w kim się kochałaś, co się działo!

- Nie, to nie to, Mike. Nie bój się, nie o to chodzi. Nie o seks. Jesteś tylko ty i nikt inny. Problem polega na tym, że... och... jestem bogata.

- Przecież wiem. Mówiłaś mi.

- Tak - Ellie uśmiechnęła się lekko. - A ty powiedziałaś do mnie: „bogate biedactwo”. Ale, widzisz, to coś więcej. Mój dziadek był niezwykle bogaty. Ropa. Przede wszystkim ropa. Ale i inne dochody. Jego żony, którym płacił alimenty, zmarły. Został tylko mój ojciec i ja, bo dwaj bracia ojca zginęli. Jeden w Korei, drugi w wypadku samochodowym. Olbrzymi trust po śmierci ojca przeszedł w całości na mnie. Macocha już przedtem dostała swoją część, więc ja odziedziczyłam wszystko. Jestem jedną z najbogatszych kobiet w Ameryce.

- Mój Boże! - zawołałem. - Nie wiedziałem... Tak, masz rację. To zmienia postać rzeczy...

- Nie chciałam, żebyś się dowiedział. Dlatego przestraszyłam się, kiedy zapytałeś, jak się nazywam. Przedstawiłam się jako Fenella Goodman. Naprawdę Guteman. Mógłbyś znać nazwisko Guteman, więc je przeinaczyłam.

- Tak, obilo mi się o uszy. Ale wątpię, czybym skojarzył. W końcu wiele osób nosi takie same nazwiska.

- Dlatego - podjęła - żyłam pod kloszem, w zamknięciu, jakby w więzieniu. Zawsze pod okiem detektywów. Chłopakowi nie wolno się było nawet do mnie odezwać, dopóki nie poddano go kontroli, czy dobieram sobie odpowiednich przyjaciół. Nie wyobrażasz sobie, co to za okropna niewola. Ale już po wszystkim, więc jeśli chcesz...

- Bardzo chcę. Będziemy żyć wspaniale. Zresztą dla mnie nigdy nie mogłabyś być za bogata!

Oboje wybuchnęliśmy śmiechem. Po chwili Ellie odezwała się:

- Wiesz, co mi się najbardziej w tobie podoba? Twoja naturalność.

- A wiesz, co ja sobie pomyślałem? Pewno płacisz olbrzymie podatki. Moja sytuacja ma swoje plusy: pieniądze, które zarabiam, idą do mojej kieszeni i nikt mi ich nie zabiera.

- Będziemy mieli nasz własny dom - rzekła Ellie. - Nasze Cygańskie Gniazdo.

Nagle zadrżała.

- Nie zimno ci chyba, kochanie? - spytałem spoglądając na słońce.

- Nie, nie.

Był upał. Wygrzewaliśmy się w słońcu niemal jak na Riwierze.

- Chodzi o tę kobietę... o tę Cygankę...

- Zapomnij o niej. To wariatka.

- Czy ona naprawdę uważa, że ta ziemia jest wyklęta?

- Cyganie już tacy są. Wiecznie śpiewają o jakiejś klątwie, wyrażają ją tańcem.

- Widzę, że wiesz coś niecoś o Cyganach?

- Skąd - rzekła zgodnie z prawdą.

- Ale jeśli nie chcesz zamieszkać w Cygańskim Gnieździe, kupimy dom gdzie indziej. Na szczycie góry w Walii, na wybrzeżu w Hiszpanii czy w górskiej części Włoch. Santonix postawi nam dom równie dobrze tam jak gdzie indziej.

- Nie. Chcę mieszkać w Cygańskim Gnieździe. Tam cię zobaczyłam po raz pierwszy, jak idziesz drogą i nagle wyłaniasz się zza zakrętu. Potem ty mnie ujrzałeś, przystanąłeś i przyglądałeś mi się. Nigdy tego nie zapomnę.

- I ja nie zapomnę, Ellie.

- Więc tam i nigdzie indziej Santonix zbuduje nam dom.

- Czy aby na pewno jeszcze żyje? - westchnąłem i poczułem się nieswojo. - Był tak ciężko chory.

- Żyje. Widziałam się z nim.

- Co? Pojechałaś do niego?

- Tak. Kiedy byłam na południu Francji, odwiedziłam go w sanatorium.

- Zaskakujesz mnie coraz bardziej, Ellie. Tym, co robisz, jak sobie radzisz.

- Wspaniały człowiek, ale trochę przerażający.

- Przestraszył cię?

- Tak, nawet bardzo, ale nie wiem dlaczego.

- Mówiłaś mu o nas?

- Wszystko mu o nas opowiedziałam, o Cygańskim Gnieździe, o domu. Stwierdził, że powinniśmy zaryzykować i jemu powierzyć budowę. Rzeczywiście jest bardzo chory. Znajdzie jednak siły, żeby pojechać tam, obejrzeć teren, stworzyć sobie obraz całości, naszkicować plany, zrobić projekt. Powiedział, że jeśli umrze przed zakończeniem budowy, to trudno, a ja mu na to, że nie wolno mu tak mówić, musi nas przecież zobaczyć w wykończonym domu.

- Coś jeszcze mówił?

- Spytał mnie, czy wiem, co robię wychodząc za ciebie, a ja odparłam, że oczywiście wiem.

- I co? I co?

- Powiedział też, że się zastanawia, czy ty wiesz, co robisz.

- Wiem dobrze, co robię.

- Powiedział tak: „Pani zawsze będzie wiedziała, dokąd pani zmierza. Będzie pani szła tam, gdzie pani chce, po wybranej drodze. Mike to co innego. On może pójść w niewłaściwą stronę. Jeszcze nie dorósł do tego, żeby wiedzieć, dokąd idzie”. Zapewniłam go wtedy, że ze mną będziesz bezpieczny.

Miała cudowną ufność we własne siły. Byłem zły na Santonixa. Przypominał mi matkę. Zawsze wiedziała o mnie wszystko najlepiej, lepiej niż ja sam.

- Wiem, dokąd idę, Ellie. Idę drogą, którą chcę iść, idę nią razem z tobą.

- Zaczęto już rozbierać starą rudę, Mike. Przeszliśmy do bardziej przyziemnych tematów.

- Jak tylko plany będą gotowe - powiedziała Ellie - prace muszą ruszyć z kopyta. Trzeba się śpieszyć. Tak mówił Santonix. Może weźmiemy ślub w przyszły wtorek? Lubię wtorki.

- I nikogo nie będzie, dobrze?

- Tylko Greta.

- Do diabła z Gretą! Nie chcę jej mieć na naszym ślubie. Ty i ja, nikogo więcej. Świadków
ściągniemy z ulicy.

Kiedy patrzę wstecz, myślę, że był to najszczęśliwszy dzień w moim życiu.

Część druga

IX

No więc tak: Ellie i ja pobraliśmy się. Zaskakujące, prawda? Ale tak to wyglądało. Postanowiliśmy wziąć ślub i wzięliśmy ślub.

To tylko etap całej historii, nie zakończenie romantycznej opowieści czy bajki dla dzieci. „Pobrali się i żyli długo i szczęśliwie”. Zresztą trudno doszukać się wielkiego dramatu w długim, szczęśliwym pożyciu. My pobraliśmy się, byliśmy szczęśliwi i dopiero po jakimś czasie zaczęto się do nas wtrącać, robić zwykłe trudności, zamęt, na co nie było rady.

W sumie sprawa prosta. Ellie pragnęła zyskać swobodę i bardzo zręcznie maskowała swoje poczynania. Nad całością czuwała nieoceniona Greta, stała na straży, zawsze w pogotowiu. Szybko sobie uprzytomniłem, że nie było właściwie nikogo, kto naprawdę dbałby o to, co robi Ellie. Macochę pochłaniało życie towarzyskie, liczne romanse. Jeśli Ellie nie chciała jej towarzyszyć w jakiejś podróży gdzieś na koniec świata, w porządku, nie musiała. Miała odpowiednie guwernantki, panny do towarzystwa, pobierała naukę w ekskluzywnych szkołach. Chciała jechać do Europy, dlaczego nie? Dwudzieste pierwsze urodziny w Londynie? Proszę bardzo. Kiedy odziedziczyła olbrzymią fortunę, rodzina do czasu pełnoletności Ellie trzymała w garści jej majątek. Ale gdyby zapragnęła kupić willę na Riwierze albo zamek w Costa Brava, albo jacht, albo Bóg wie co, nie byłoby problemu. Wystarczyło, aby rzekła słówko, i ktoś ze świty, jaka zwykle otacza milionerów, wnet zaspokoiłby jej kaprys.

Grete najwyraźniej traktowano jako doskonałą gwardię przyboczną. Dziewczyna tak przedsiębiorcza, tak skuteczna w działaniu, zawsze na usługi, uprzejma wobec macochy, wujów, kuzynów, że drugiej takiej ze świecą szukać! Ellie miała do dyspozycji co najmniej trzech prawników - raz czy drugi wymknęło jej się coś na ten temat. Otaczała ją gęsta sieć bankierów, doradców, zarządców, czuwających nad finansami trustu. Migawki z tego świata przesuwały mi się przed oczyma, ilekroć Ellie mimochodem napomykała o tym i owym. Nie przychodziło jej oczywiście do głowy, że dla mnie to sprawy zupełnie obce. Ona wśród takich spraw wzrosła i było dla niej naturalne, że każdy powinien znać ich mechanizm, wiedzieć, o co chodzi.

Zdziwicie się może, ale te migawki z życia każdego z nas były dla drugiego czymś najcudowniejszym w początkach naszego małżeństwa. Spójrzmy na to bez owijania w bawełnę (a ja musiałem teraz tak patrzeć na życie, żeby przystosować się do nowych warunków): biedni nie wiedzą, jak żyją bogaci, bogaci nie wiedzą, jak żyją biedni, a kiedy się dowiedzą, i jedni, i drudzy są zafascynowani. Zapytałem kiedyś Ellie z pewną obawą:

- Czy twoi będą nam bardzo niechętni?

Wiedziałem, że ten temat nie budzi w niej większego zainteresowania.

- O, na pewno - odparła. - Będą okropni. Mam nadzieję, że się tym za bardzo nie przejmiesz.

- Oczywiście że nie. Niby dlaczego? Ale czy ciebie nie zadreczą?
- Będą próbować. Nie należy na to zwracać uwagi. I tak nic nie mogą wskórać.
- Więc jednak będą próbować?
- Bez wątplenia. Będą próbować. - I dodała z namysłem: - Myślę, że spróbują cię splącić.
- Splącić?
- Coś taki przerażony? - Ellie uśmiechnęła się nagle jak uszczęśliwiona mała dziewczynka. -

Wprost się takich spraw nie załatwia. Wiesz, tak jak było z Minnie Thompson.

- Minnie Thompson? Czy to ta słynna królowa ropy?
- Właśnie. Uciekła z ratownikiem i wyszła za niego za mąż.
- Czy wiesz, Ellie - odezwałem się niepewnie - że i ja byłem ratownikiem w Littlehampton?
- Naprawdę? A to dopiero! Długo?
- Tylko przez jedno lato.
- Proszę, nie przejmuj się.
- Jak to było z Minnie Thompson?

- Doszli chyba do dwustu tysięcy dolarów. O mniejszej sumie nie chciał słyszeć. Minnie miała bzika na punkcie mężczyzn, w ogóle była trochę postrzelona.

- Powiem ci, Ellie, że mnie zupełnie zatkało. Nie tylko mam żonę, mam coś, co mogę wymienić w każdej chwili na okazały czek.

- To prawda - przyznała Ellie. - Zwróć się do jakiegoś wybitnego adwokata, powiedz mu wszystko bez ogródek. On ustali warunki rozwodu, wysokość alimentów - pouczała mnie. - Moja macocha cztery razy wychodziła za mąż i nieźle na tym wyszła. Och, Mike - zawołała nagle - nie rób takiej zgorzzonej miny!

Nie uwierzycie, ale rzeczywiście byłem zgorzony. Zepsucie panujące wśród bogatych ludzi budziło mój najgłębszy wstręt. W Ellie natomiast było coś tak dziewczęcego, naturalnego, niemal rozbijającego, że jej orientacja w intrygach wielkiego świata, które uważała za rzecz normalną, wydawała się czymś zaskakującym. Byłem jednak pewny, że nie myliłem się co do Ellie. Poznałem jej prostotę, wrażliwość, wrodzoną słodycz. Te jej cechy wcale przecież nie oznaczały, że musi być naiwna. Jej wiedza jednak ograniczała się do małego wycinka życia. O moim świecie miała nikłe pojęcie. Niewiele wiedziała o ludziach rzucających z dnia na dzień pracę, o sytuacjach na wyścigach, handlarzach narkotyków, o cwaniakach, jakich znałem od dzieciństwa, o gwałtownych, ostrych zakrętach życia. Skąd miała wiedzieć, co to znaczy dorastać w porządnej rodzinie, która wiecznie boryka się z trudnościami, w której matka, by zapewnić godziwą przyszłość synowi, urabia sobie ręce po łokcie, postanowiwszy, że jej dziecko dojdzie do czegoś w życiu. I skąd miała wiedzieć, co to znaczy, jak matka odmawia sobie wszystkiego, oszczędza każdy grosz, a potem patrzy z goryczą, kiedy beztroski synalek zaprzepaszcza pokładane w nim nadzieje, trwoniąc pieniądze na wyścigach.

Ellie lubiła, kiedy jej opowiadałem o sobie, tak jak ja lubiłem słuchać jej wynurzeń. I dla niej, i dla mnie była to ziemia nieznana.

Kiedy patrzę wstecz, widzę, co to były za wspaniałe, piękne dni. Wtedy uważaliśmy oboje nasze szczęście za rzecz całkiem naturalną.

Pobraliśmy się w urzędzie stanu cywilnego w Plymouth. Guteman nie jest niepospolitym nazwiskiem. Nikt, ani dziennikarze, ani nikt inny, nie wiedział, że spadkobierczyni fortuny Gutemanów przebywa w Anglii. Pojawiły się wzmianki w prasie o jej podróży do Włoch albo wyprawie jachtem. Naszymi świadkami byli urzędnik stanu cywilnego i jakaś maszynistka w średnim

wieku. Inny urzędnik wygłosił krótką uroczystą mowę na temat poważnej odpowiedzialności, jaką niesie za sobą stan małżeński, po czym życzył nam szczęścia. Wyszliśmy z urzędu jako mąż i żona, mając poczucie wolności. Państwo Rogers! Tydzień w nadmorskim hotelu i podróż za granicę. Spędziliśmy cudowne trzy tygodnie, zatrzymując się tam, gdzie; przyszła nam ochota, nie licząc się z pieniędzmi.

Byliśmy w Grecji, Florencji, Wenecji, opalaliśmy się na plaży w Lido i na francuskiej Riwierze, pojechaliśmy też w Dolomity. Połowa nazw wyleciała mi teraz z głowy. Podróżowaliśmy samolotami, jachtami, wynajmowaliśmy wielkie, wspaniałe samochody. Kiedy my bawiliśmy się znakomicie, Greta, jak dowiedziałem się od Ellie, zabezpieczała tyły. Podróżowała na własną rękę, wysyłała listy i widokówki, które jej Ellie zostawiła.

- Oczywiście, trzeba będzie kiedyś odkryć karty - mówiła. - Rzucą się wtedy na nas jak sępy. Ale na razie nie psujmy sobie nastroju.

- A co z Gretą? Czy nie wściekną się na nią, gdy dowiedzą się prawdy?

- Na pewno. Ale Greta się tym nie przejmuje. Jest twarda.

- Nie poszuka sobie innej pracy?

- Po co? Przecież zamieszka z nami.

- Nie! - zawołałem.

- Co to znaczy, Mike?

- Przecież oboje nie chcemy, żeby ktoś z nami mieszkał.

- Greta nie będzie nam przeszkadzać, natomiast bardzo nam się przyda. Naprawdę nie wiem, co bym bez niej zrobiła. Wszystko załatwia, organizuje.

Zmarszczyłem brwi.

- Nie mam na to ochoty. To nasz dom, Ellie, dom naszych marzeń, chcemy być w nim sarni.

- Rozumiem, o co ci chodzi. Jednak... - zawahała się. - Byłoby nieładnie tak ją zostawić. W końcu była ze mną przez cztery lata, tyle jej zawdzięczam. Kto jak nie ona pomógł doprowadzić do naszego małżeństwa?

- Nie chcę, żeby wtykała nos w nasze sprawy!

- Ależ ona nie jest taka, Mike! Przecież wcale jej nie znasz.

- Prawda. Ale to nie ma nic do rzeczy... och... nie chodzi przecież o to, czyją lubię, czy nie. Chcemy być sami, Ellie.

- Kochany Mike - rzekła miękko Ellie. I na tym chwilowo poprzestaliśmy.

W czasie naszych podróży spotkaliśmy się z Santonixem. W Grecji. Mieszkał w domku rybackim nad brzegiem morza. Przeraziłem się, kiedy go zobaczyłem, wyglądał bardzo źle, o wiele gorzej niż przed rokiem. Powitał nas niezwykle serdecznie.

- Widzę, że dopięliście swego - powiedział.

- Tak, a teraz kolej na dom - przypomniała Ellie.

- Mam tu dla was rysunki i plany - zwrócił się do mnie. - Powiedziała ci chyba, jak mnie wytropiła i... wydała rozkazy - mówił Santonix, dobierając starannie słów.

- Och, nie rozkazy! - zaprotestowała Ellie. - Ja tylko prosiłam.

- A więc dowiedziałeś się od Ellie, że kupiliśmy tę posiadłość? - wtrąciłem.

- Zatelegrafowała do mnie. Przesłała mi dziesiątki zdjęć.

- Musisz oczywiście tam pojechać, zobaczyć wszystko na miejscu. A nuż ci się nie spodoba - wtrąciła Ellie.

- Podoba mi się.
- Nie mów hop, póki nie zobaczysz.
- Już widziałem, dziecino. Poleciałem tam pięć dni temu. Spotkałem się z twoim prawnikiem.

Anglikiem o bardzo surowym wyglądzie.

- Z panem Crawfordem.
 - Właśnie. Rozpoczęto już drenowanie gruntu, rozbiera się starą rudere, kładzie fundamenty...
- Pojadę do Anglii, będę tam na was czekał.

Wyjął plany, usiedliśmy nad nimi i rozmawialiśmy o naszym przyszłym domu. Santonix pokazał nam nie wykończoną akwarelę, plany architektoniczne, elewację.

- Jak ci się podoba, Mike? Nabrałem głęboko powietrza.

- Tak - odparłem. - To jest to. Zdecydowanie to.

- Często słyszałem, jak mówisz o domu, Mike. Kiedy byłem w dziwnym nastroju, myślałem sobie, że ten skrawek ziemi rzucił na ciebie urok. Byłeś jak człowiek zakochany, zakochany w domu, który mógłby nigdy nie stać się twoją własnością, którego mógłbyś nigdy nie zobaczyć, który mógłby w ogóle nie powstać.

- Ale dom powstanie - odezwała się Ellie. - Powstanie, prawda?

- Z pomocą boską lub pomocą szatana. To nie ode mnie zależy.

- Nie jest ci nic a nic lepiej? - spytałem bez większej nadziei.

- Głupie pytanie. Zapamiętaj sobie: mnie już nigdy nie będzie lepiej. Nie ma takiej możliwości.

- Bzdura - stwierdziłem. - Bez przerwy produkuje się coraz to nowe leki. Lekarze to ciemne typy.

Grzebią żywcem ludzi, którzy potem śmieją im się w twarz, grają na nosie i cieszą się zdrowiem przez następne pięćdziesiąt lat.

- Cudowny optymizm, Mike, ale moja choroba nie jest tego rodzaju. Biorą cię do szpitala, robią transfuzję krwi, wracasz do domu z małym zastrzykiem życia, zyskujesz trochę czasu. I tak się to toczy, ale za każdym razem ubywa sił.

- Jesteś bardzo dzielny - rzekła Ellie.

- Nie, wcale nie jestem dzielny. Kiedy istnieje pewność, nie ma mowy o dzielności. Można tylko znaleźć sobie pocieszenie.

- Stawianie domów?

- Nie to. Życie z człowieka ulatuje, stawianie domów przychodzi coraz trudniej, nie łatwiej. Siły opuszczają. Nie. Ale można znaleźć pocieszenie. Czasem bardzo osobliwe.

- Nie rozumiem cię - odezwałem się.

- Ty tego nie rozumiesz, Mike. Może Ellie zrozumie, ale nie jestem pewny. - Mówił bardziej do siebie niż do nas. - Dwie rzeczy idą w parze, ramię w ramię. Słabość i siła. Słabość umykającej energii i siła niweczonej mocy człowieka. Przestaje mieć znaczenie, co człowiek robi. I tak umrze. Można więc zrobić wszystko. Nic człowieka nie powstrzyma, nie cofnie. Mógłbym iść ulicami Aten i strzelać do każdego mężczyzny czy każdej kobiety, których twarze by mi się nie podobały. Zastanówcie się nad tym.

- Policja zawsze mogłaby cię powstrzymać - zauważyłem.

- Oczywiście. Ale co by mi zrobili? W najgorszym razie pozbawiliby mnie życia. A moje życie i tak mi odbierze o wiele większa siła niż prawo, i to w krótkim czasie. Mogliby mnie wsadzić do więzienia, powiedzmy na dwadzieścia, trzydzieści lat. Cóż za ironia losu, nie mam w perspektywie dwudziestu, trzydziestu lat. Sześć miesięcy, dwanaście, w najlepszym razie osiemnaście. Nikt nie

może mi nic zrobić. Na czas, który mi pozostał, jestem królem. Mogę robić to, co chcę. Taka świadomość niekiedy uderza do głowy. Tyle że... widzicie, nie odczuwam wielkich pokus, żeby dokonać czegoś niezwykłego, sprzecznego z prawem.

Kiedy byliśmy już w drodze do Aten, Ellie odezwała się:

- Dziwny z niego człowiek. Wiesz, czasami się go boję.

- Boisz się Rudolfa Santonixa? Dlaczego?

- Bo nie jest taki jak inni. Jest w nim jakaś bezwzględność, arogancja. A świadomość bliskiej śmierci jeszcze wzmacnia tę arogancję. Przypuśćmy - mówiła dalej Ellie z niezwykłym ożywieniem i żarem - że zbudował nasz cudowny zamek, nasz wspaniały dom, na skałach wśród sosen, przypuśćmy, że tam przyjeżdżamy. Czeka na nas w progu, wita nas i...

- I co, Ellie?

- Wchodzi za nami, zamyka powoli drzwi i składa z nas ofiarę. Na przykład podrzyna nam gardła.

- Przerażasz mnie, Ellie. Co za okropna myśl!

- Sęk w tym, że ani ty, ani ja nie żyjemy w realnym świecie. Roimy o fantastycznych rzeczach, które mogą się nigdy nie urzeczywistnić.

- Przestań roić o składaniu ofiar w Cygańskim Gnieździe.

- To wszystko przez tę nazwę i klątwę.

- Nie ma żadnej klątwy! - krzyknąłem. - To jedna wielka bzdura. Przestań o tym myśleć i już.

Tak było w Grecji.

X

Zdarzyło się to chyba dzień potem. Byliśmy w Atenach. Staliśmy na schodach Akropolu i nagle Ellie wpadła na znajomych, którzy przypłynęli statkiem do Grecji na wycieczkę. Jakaś kobieta w wieku może trzydziestu pięciu lat odłączyła się od grupy i podbiegła do Ellie z okrzykiem:

- Coś podobnego! Czy mnie oczy nie mylą? Ellie Guteman! Ty w Grecji? Co tu robisz? Jesteś z wycieczką?

- Nie. Na własną rękę.

- Co za spotkanie! A co z Corą, jest z tobą?

- Cora jest chyba w Salzburgu.

- No, no! - kobieta przyglądała mi się bacznie.

Ellie odezwała się cicho:

- Poznajcie się. Pan Rogers. Pani Bennington.

- Miło mi. Jak długo zostajesz?

- Jutro wyjeżdżam.

- Och, muszę już lecieć i dogonić grupę, bo stracę cały wykład. Nie chcę uronić słówka z tego, co mówi przewodnik. Wiesz, gonią nas tu do upadłego. Wieczorem jestem zupełnie nieżywa. Może umówimy się na drinka?

- Nie dzisiaj, wybieramy się na wycieczkę.

Pani Bennington pomknęła do swojej grupy. Szliśmy pod górę po stopniach Akropolu. Ellie odwróciła się i zeszła parę schodów w dół.

- Teraz klamka zapadła - rzekła do mnie.

- Nie rozumiem.

Ellie chwilę milczała, potem westchnęła.

- Dziś wieczór muszę do nich napisać.

- Do kogo?

- No, do Cory, do wuja Franka i do wuja Andrew.

- Wuj Andrew? Pierwszy raz o nim słyszę.

- Andrew Lippincott. Przyszywany wujek. Mój główny doradca, powiernik, czy jak to określić.

Prawnik, zresztą bardzo znany.

- Co im napiszesz?

- Że wyszłam za męża. Nie mogłam ni stąd, ni zowąd powiedzieć Norze Bennington: „Pozwól, że ci przedstawię mojego męża”. Cóż to byłby za rwetes, okrzyki w rodzaju: „Och, nie wiedziałam, że wyszłaś za męża, kochanie, opowiedz mi wszystko po kolei”, i tak dalej. Macocha, wuj Frank i wuj Andrew powinni dowiedzieć się pierwsi. - I dodała z westchnieniem: - No cóż, to były cudowne chwile!

- Co oni na to powiedzą? Co zrobią?

- Podniosła rąbano - rzekła Ellie ze swym zwykłym spokojem. - To zresztą nie ma znaczenia, a są na tyle rozsądni, żeby o tym wiedzieć. Przypuszczam, że trzeba będzie się z nimi spotkać. Możemy pojechać do Nowego Jorku. Co ty na to? - I spojrzała na mnie pytająco.

- Nie. Nie mam najmniejszej ochoty.

- W takim razie przyjadą pewno do Londynu. Może nie wszyscy. To ci bardziej odpowiada?

- Nie odpowiada mi ani jedno, ani drugie. Chcę być z tobą, patrzeć, jak cegła po cegle wznosi się nasz dom, kiedy Santonix dotrze na miejsce.

- Jedno drugiemu nie przeszkadza. Rodzinne spotkania nie zajmą nam wiele czasu. Wielka heca i zaraz będzie po wszystkim. Załatwimy to za jednym zamachem. Albo my polecimy do nich, albo oni przylecą do nas.

- Mówiłaś, że macocha jest w Salzburgu.

- Och, powiedziałam Norze cokolwiek, żeby się nie dziwiła. No dobrze, pojedziemy do domu i tam się z nimi spotkamy. Mike, myślę, że nie będziesz się przejmował.

- Twoją rodziną?

- Tym, że będą dla ciebie okropni.

- Przypuszczam, że muszę zapłacić taką cenę za nasze małżeństwo. Wytrzymam.

- Jest też twoja matka - rzekła Ellie w zamyśleniu.

- Na litość boską, Ellie, chyba nie będziesz próbowała zorganizować spotkania twojej pławiącej się w luksusie macochy z moją zabiedzoną matką? Cóż one miałyby sobie do powiedzenia?

- Gdyby Cora była moją matką, mogłyby mieć sobie wiele do powiedzenia. Masz obsesję na temat różnic klasowych!

- Ja? - wykrzyknąłem z niedowierzaniem. - To wy, Amerykanie, powiedzielibyście o mnie, że pochodzę z niewłaściwej dzielnicy.

- Widzę, że najchętniej paradowałbyś z taką plakietką w klapie.

- Nie wiem, jak się ubrać na jaką okazję - mówiłem z goryczą - nie potrafię gładko prowadzić rozmowy, nie znam się na malarstwie, muzyce, sztuce. Dopiero się uczę, komu i jakie dawać napiwki.

- Tym lepsza zabawa, Mike. Nie uważasz?

- W każdym razie - zdecydowałem - nie będziesz ciągnąć mojej matki na spotkanie z twoją rodziną.

- Nie zamierzałam nikogo nigdzie ciągnąć na siłę, myślę jednak, Mike, że powinnam zobaczyć się

z twoją matką, kiedy wrócimy do Anglii.

- Nie! - wybuchnąłem.

Spojrzała na mnie trochę wystraszona.

- Dlaczego nie, kochanie? Poza wszystkim byłoby to bardzo niegrzeczne. Powiedziałeś jej, że się ożeniłeś?

- Jeszcze nie.

- Dlaczego?

Nie odpowiedziałem.

- Dlaczego jej po prostu nie zawiadomić i nie pojechać do niej razem po powrocie do Anglii?

- Nie - powtórzyłem. Mówiłem teraz mniej gwałtownie, ale dobitnie.

- Nie chcesz, żebym się z nią spotkała - powiedziała wolno Ellie.

Nie chciałem, to jasne. Było to zupełnie oczywiste, ale przecież nie mogłem jej tego tłumaczyć.

No bo jak?

- To nie byłoby słuszne. Musisz to zrozumieć. Wyniknęłyby z tego same kłopoty.

- Nie spodobałabym się twojej matce?

- Ty się nie możesz nie spodobać, ale... och... nie wiem, jak to powiedzieć. Mogłaby być zmartwiona, skępowana. W końcu, mówiąc po staroświecku, nasze małżeństwo to mezalians. Więc nie byłaby zachwycona.

Ellie wolno pokręciła głową.

- Czy jeszcze ktoś tak dzisiaj myśli?

- Oczywiście. Nie pomijając wielu ludzi w twoim kraju.

- Tak, masz sporo racji, ale jeśli ktoś się dobrze ożeni...

- Chodzi ci o pieniądze.

- Nie tylko o pieniądze.

- Tak, chodzi o pieniądze. Kiedy ktoś zrobi forszę, wszyscy patrzą na niego z podziwem i nie ma wtedy znaczenia, gdzie się urodził.

- Tak jest wszędzie na świecie.

- Proszę cię, Ellie, proszę, nie jedź do mojej matki.

- Nadal uważam, że byłoby to niegrzeczne.

- Nieprawda. Chyba ja wiem najlepiej, co jest dla niej dobre. Zmartwiłaby się. Mówię ci.

- Musisz ją jednak zawiadomić, że się ożeniłeś.

- Dobrze - zgodziłem się. - Zrobię to.

Pomyślałem sobie, że łatwiej mi napisać do niej z zagranicy. Kiedy wieczorem Ellie pisała do wuja Andrew, wuja Franka i macochy Cory van Stuyvesant, ja też zasiadłem do listu. Był króciutki.

„Droga Mamo! - pisałem. - Powinienem był Ci powiedzieć wcześniej, ale było mi niezręcznie. Trzy tygodnie temu wziąłem ślub. Stało się to wszystko nagle. Ona jest bardzo ładna i dobra. Ma dużo pieniędzy, co czasem mnie trochę krępuje. Będziemy się budować na wsi. Teraz podróżujemy po Europie. Pozdrowienia. Mike”.

Oddźwięki na nasze listy były różne. Matka odpowiedziała mi dopiero po tygodniu w typowy dla niej sposób.

„Drogi Mike. Ucieszyłam się z Twojego listu. Mam nadzieję, że będziecie bardzo szczęśliwi. Twoja kochająca matka”.

Ellie słusznie przewidziała: jej rodzina podniosła alarm. Poruszyliśmy gniazdo szerszeni.

Oblegali nas żądni sensacji dziennikarze, w prasie ukazywały się artykuły o romantycznej ucieczce dziedziczki rodu Gutemanów z ukochanym, przychodziły listy od bankierów i prawników. Wreszcie miało dojść do oficjalnych wizyt. Spotkaliśmy się z Santonixem w Cygańskim Gnieździe, obejrzelśmy plany, omówiliśmy szczegóły i zostawiwszy prace w toku, pojechaliśmy do Londynu, gdzie wynajęliśmy apartament u Claridge'a, gotowi na odparcie szarży, jak to się określa w książkach.

Pierwszy przybył Andrew P. Lippincott, starszy pan, oschły i rzeczowy w obejściu. Wysoki i chudy, dobrze wychowany, wytworny. Bostończyk, ale nie poznałbym, że Amerykanin. Umówiliśmy się przez telefon na spotkanie w naszym apartamencie na godzinę dwunastą. Widziałem, że Ellie się denerwuje, chociaż świetnie to potrafiła ukryć.

Lippincott pocałował ją, do mnie wyciągnął rękę i uśmiechnął się uprzejmie.

- Wyglądasz wspaniale, Ellie, po prostu kwitnąco.

- A jak się wuj miewa? Jak podróż? Czy wuj leciał samolotem?

- Nie, płynąłem Queen Mary, doprawdy wspaniała podróż. A to twój mąż?

- Tak, wuju. To właśnie Mike.

Zaprezentowałem się z najlepszej strony, w każdym razie tak mi się zdawało.

- Witam pana serdecznie.

I zapytałem, czy wypije drinka.

Grzecznie odmówił. Usiadł na krześle z prostym oparciem i połączanymi poręczami, i uśmiechając się wodził wzrokiem od Ellie do mnie.

- Przyznam, młoda paro, żeście nam urządzili niezłego psikusa. Bardzo to wszystko romantyczne, co?

- Przepraszam - powiedziała Ellie. - Jest mi bardzo przykro.

- Naprawdę? - spytał oschle Lippincott.

- Uważałam, że tak będzie najlepiej.

- Niezupełnie się z tobą zgadzam, moja droga.

- Wuju, dobrze wuj wie, że gdybym postąpiła w jakikolwiek inny sposób, wywołałabym burzę.

- Dlaczego?

- Wiadomo, jakby wszyscy zareagowali. - I dodała oskarżycielskim tonem: - Wuj zresztą zachowałby się podobnie. Dostałam dwa listy od Cory. Jeden wczoraj, drugi dziś rano.

- Musisz się liczyć z pewnym wzburzeniem, Ellie. To chyba normalne, zważywszy na okoliczności.

- To moja sprawa, za kogo wychodzę za mąż, gdzie i jak.

- Wolno ci tak uważać, ale mało znajdziesz kobiet, które podzielałyby twój pogląd.

- Oszczędziłam wam mnóstwa kłopotów.

- Można i tak na to patrzeć.

- Ależ to prawda!

- Zauważ, że uciekłaś się do podstępu, wspierana przez osobę, która powinna wiedzieć, że się nie postępuje, tak jak ona postąpiła.

Ellie zarumieniła się.

- Wuj ma na myśli Gretę? Robiła tylko to, o co ją prosiłam. Czy bardzo są na nią źli?

- Naturalnie. Chyba nie spodziewałyście się, że będzie inaczej. Greta była zaufaną osobą.

- Jestem pełnoletnia. Mogę robić to, co mi się podoba.

- Mówię o okresie, kiedy jeszcze nie byłeś pełnoletnia. Wtedy zaczęły się wasze podstępny, prawda?

- Proszę nie winić Ellie - wtrąciłem się. - Na swoje usprawiedliwienie powiem, że nie wiedziałem, co się dzieje, a ponieważ rodzina mieszka za granicą, trudno mi było się z nią skontaktować.

- Wiem dobrze - podjął Lippincott - że Greta wysyłała listy i udzielała informacji pani van Stuyvesant oraz mnie, bo Ellie ją o to prosiła. Zresztą wykonała swoje zadanie bezbłędnie. Poznałeś Gretę, Michael? Chyba mogę ci mówić po imieniu, skoro jesteś mężem Ellie?

- Oczywiście. Proszę mi mówić Mike. Nie, nie poznałem Greta Andersen...

- Naprawdę? To dziwne! - I rzucił mi długie, badawcze spojrzenie. - Kto jak kto, ale chyba ona powinna być na waszym ślubie.

- Nie, Greta nie było. - Ellie spojrzała na mnie z wyrzutem, a ja poruszyłem się niespokojnie.

Lippincott wciąż przyglądał mi się badawczo. Czuję się nieswojo. Miałem wrażenie, że chce coś jeszcze dodać, ale jakby się rozmyślił.

- Obawiam się - rzekł po chwili - że oboje musicie być przygotowani na wymówki i wyrzuty ze strony rodziny Ellie.

- Rzucą się pewno na mnie jak stado wilków.

- Możliwe. Robiłem, co mogłem, żeby ich obłaskawić.

- Wuj jest po naszej stronie? - spytała Ellie z uśmiechem.

- Przewrotny prawnik nie posuwa się nigdy tak daleko. Ale w życiu najmądrzej jest pogodzić się z fait accompli. Zakochaliście się, pobrali, i jak rozumiem, Ellie, kupiliście posiadłość w południowej Anglii, a nawet rozpoczęliście budowę domu. Zamierzacie osiąść w Anglii?

- Tak, tu zamieszkamy. Ma pan coś przeciwko temu? - spytałem z nutą rozdrażnienia w głosie. - Ellie jako moja żona jest obywatelką brytyjską. Dlaczego nie miałyby mieszkać w Anglii?

- Nie widzę przeszkód. Fenella może mieszkać, gdziekolwiek zechce, mieć posiadłości w różnych krajach. Pamiętaj, Ellie, że dom w Nassau należy do ciebie.

- Zawsze myślałam, że to dom Cory. Zachowywała się, jakby to była jej własność.

- Ty masz prawo własności. Masz też dom na Long Island, możesz tam pojechać. Jesteś właścicielką wielu przedsiębiorstw naftowych na zachodzie Stanów. - Mówił to wszystko, grzecznie, miło, miałem jednak uczucie, że swoje słowa kieruje z jakiegoś powodu do mnie. Czy chciał wcisnąć klin pomiędzy Ellie i mnie? Nie miałem jasności. Niezbyt to rozsądnie wbijać mężowi do głowy, że jego żona posiada majątek rozrzucony po całym świecie i że jest bajecznie bogata. Mógłbym raczej oczekiwać, że zbagatelizuje majątek Ellie, jej rozliczne tytuły własności, pieniądze i całą resztę. Gdybym polował na pieniądze, co zapewne podejrzewał, byłaby to woda na mój młyn. Lippincott był jednak człowiekiem subtelnym. Trudno odgadnąć, do czego zmierzał, co się kryło za jego gładkim, uprzejmym sposobem bycia. Czy chciał doprowadzić do tego, żebym poczuł się niepewnie, żebym bał się publicznego napiętnowania jako łowca posagu? Rzekł do Ellie:

- Przywiozłem rozmaite dokumenty, które musimy razem przejrzeć, Ellie. Niektóre musisz podpisać.

- Oczywiście, wuju. W każdej chwili.

- Dobrze. Nie ma pośpiechu. Mam coś do załatwienia w Londynie, zostanę tu około dziesięciu dni.

Dziesięć dni, pomyślałem. Długo. Za długo, jak na mnie. Chyba był mi raczej życzliwy, chociaż

wyraźnie dawał do zrozumienia, że ma swój pogląd na pewne sprawy. W każdym razie, jeśli był moim wrogiem, nie należał do ludzi, którzy odkrywają karty.

- A teraz - podjął - skoro już spotkaliśmy się i doszliśmy do pewnej ugody w sprawie waszych przysłych planów, jeśli można tak rzec, chciałbym, Ellie, porozmawiać chwilę z twoim mężem.

- Może wuj rozmawiać przy mnie - obruszyła się Ellie.

Położyłem jej rękę na ramieniu.

- Nie ma powodów do obaw, kochanie. Nie musisz mnie chronić jak kwoka kurczątko. - I popchnąłem ją lekko w stronę drzwi sypialni. - Wuj Andrew chce mnie przesłuchać. Ma do tego prawo.

Wyprowadziłem ją za podwójne drzwi. Zamknąłem je i wróciłem do naszego dużego, wytwornego salonu. Usiadłem na krześle naprzeciw Lippincotta.

- Zaczynajmy! - rzekłem do niego.

- Dziękuję, Michael. Przede wszystkim wiedz, że nie jestem twoim wrogiem, jak ci się być może wydaje.

- Cieszę się - odparłem, ale nie zabrzmiało to zbyt przekonywająco.

- Będę mówił całkiem szczerze - podjął Lippincott. - Nie mógłbym tego zrobić w obecności naszej drogiej Ellie, do której, jako jej opiekun, jestem bardzo przywiązany. Nie wiem, czy doceniasz w pełni, jaka to niezwykle dobra, kochana dziewczyna.

- Niech się pan nie martwi. Jestem w niej zakochany po uszy.

- To niezupełnie to samo. - Lippincott przybrał swój oschły ton. - Zakochanie zakochaniem, ale mam nadzieję, że docenisz jej dobroć, wielką wrażliwość.

- Postaram się i przyjdzie mi to bez trudu. Ellie jest bezkonkurencyjna.

- Dobrze, a zatem przejdę do rzeczy. Wyłożę karty na stół, nie będę niczego ukrywał. Wyznam, że nie takiego męża życzyłem sobie dla Ellie. Wyobrażałem sobie, jak zresztą cała rodzina, że Ellie poślubi kogoś ze swego otoczenia, swego środowiska...

- Słowem, jakąś grubą rybę - przerwałem.

- Nie, nie tylko o to chodzi. Choć nie zaprzeczam, że moim zdaniem, pochodzenie z tej samej sfery jest istotną sprawą w małżeństwie. I nie kieruję się w swej opinii snobizmem. W końcu dziadek Ellie, Herman Guteman, zaczynał jako pomocnik dokera, a skończył jako jeden z najbogatszych ludzi w Ameryce.

- Dlaczego ze mną nie miałoby być podobnie? Mogę zostać jednym z najbogatszych ludzi w Anglii.

- Wszystko jest możliwe. Masz takie ambicje?

- Nie chodzi tylko o pieniądze. Chciałbym... chciałbym do czegoś dojść, coś zrobić... - Zawahałem się i zamilkłem.

- Jesteś ambitny, czy tak? To cenne.

- Do tej pory pracowałem dorywczo, startuję od zera. Jestem nikim i nie zamierzam udawać, że jest inaczej.

Pokiwał głową z aprobatą.

- Szczerze powiedziane, ładnie. Doceniam to. Posłuchaj, Michael. Nie jestem krewnym Ellie, występuję w roli opiekuna, zarządzam jej interesami, jak sobie tego życzyli jej dziadek, czuwam nad jej majątkiem, inwestycjami. Cięży na mnie zatem pewna odpowiedzialność i muszę możliwie najwięcej się dowiedzieć o jej mężu.

- Może pan zrobić o mnie wywiad i bez trudu się pan wszystkiego dowie.

- Oczywiście. To jeden sposób. Rozsądny, przezorny. Ale chciałbym dowiedzieć się czegoś o tobie z twoich własnych ust. Opowiedz mi o swoim dotychczasowym życiu.

Nie byłem zachwycony. Chyba się tego domyślał. Nikt nie chciałby się znaleźć w takiej sytuacji. Przedstawić się od najlepszej strony to druga natura człowieka. I w szkole, i później koloryzowałem, przechwalałem się, naciągałem prawdę. Nie wstydziłem się tego. Uznawałem to za naturalne. Tak właśnie trzeba, jeśli chce się wypłynąć, stworzyć korzystny obraz samego siebie. Ludzie przyjmują cię takim, jakim się przedstawisz, a ja nie chciałem być jak ten chłopak z Dickensa. Oglądałem to w telewizji, niezła historia. Chłopak nazywał się Uriah, jakoś tak; zawsze uniżony, zacierający ręce, pod przykrywką służalczości intrygował i knuł. Nie, nie chciałem taki być.

Przechwałki przed chłopakami, czemu nie? Zabajerować przyszłego pracodawcę? Proszę bardzo, jestem gotów. W końcu człowiek ma swoją najlepszą stronę i najgorszą. Po co uparcie pokazywać się z najgorszej? To nie ma sensu. Dotychczas zawsze opowiadałem o sobie jak najlepiej. Nie miałem jednak odwagi popisywać się przed Lippincottem. Co prawda odniósł się ironicznie do propozycji przeprowadzenia wywiadu o mnie, ale kto go tam wie. Zaserwowałem mu więc nagą prawdę.

O trudnym dzieciństwie i ojcu-pijaku, o dobrej matce, która harowała w pocie czoła, by wykształcić syna. Nie kryłem się z tym, że nigdzie nie potrafiłem zagrzać miejsca, że zmieniałem ciągle pracę.

Był dobrym słuchaczem, ośmielającym, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Bystry facet, nie da się zaprzeczyć! Te pytania rzucane mimochodem, drobne komentarze do moich komentarzy, które niebacznie mi się wymykały, kiedy potwierdzałem coś lub czemuś zaprzeczałem!

Tak, wyczuwałem, że muszę być ostrożny, czujny. Po dziesięciu minutach, kiedy Lippincott przechylił się do tyłu na krześle, odetchnąłem z ulgą. Przesłuchanie, jeśli pozostać przy tym określeniu, bo przecież nie było to bynajmniej przesłuchanie, dobiegło końca.

- Lubi pan... lubisz ryzyko, Michael. To dobrze. Opowiedz mi jeszcze o domu, który sobie budujecie.

- Stanie w pobliżu Market Chadwell.

- Wiem, gdzie to jest. Prawdę rzekłszy, byłem tam. Wczoraj.

Trochę mnie tym wystraszył. Podstępny facet, zawsze wsadzi nos tam, gdzie się nie spodziewasz.

- Miejsce jest piękne - bronilem się. - I postawimy piękny dom. Architekt nazywa się Santonix, Rudolf Santonix. Może pan o nim słyszał...

- Tak. Ma nazwisko wśród architektów.

- Projektował też chyba w Stanach.

- Owszem. Obiecujący architekt, utalentowany. Niestety ma kłopoty ze zdrowiem.

- Twierdzi, że umrze. Ale ja w to nie wierzę. Wierzę, że się wyleczy, że wszystko będzie dobrze.

Lekarze plotą bzdury.

- Miejmy nadzieję, że twój optymizm jest uzasadniony. Jesteś optymistą?

- Tak, jeśli chodzi o Santonixa.

- Oby się sprawdziło. Uważam, że dokonaliście dobrej transakcji, kupując tę posiadłość.

Miło z jego strony, że użył liczby mnogiej, nie podkreślił, że to Ellie sama dokonała zakupu.

- Naradzałem się z panem Crawfordem...

- Crawfordem? - zmarszczyłem lekko brwi.

- Crawford z solidnej angielskiej firmy prawnej Reece i Crawford. To on pośredniczył w zakupie. Posiadłość została, zdaje się, kupiona za niską cenę. Trochę mnie to zaskoczyło. Znam ceny gruntów w Anglii, nie bardzo więc wiedziałem, jak to sobie wytłumaczyć. Chyba Crawford też był zdziwiony. Ciekaw jestem, czy wiesz, dlaczego ta posiadłość poszła tak tanio? Crawford nie wyraził swojej opinii. Był nawet trochę zmieszany, gdy go o to spytałem.

- Och, ciąży na tej ziemi jakaś klątwa.

- Przepraszam, Michael, możesz powtórzyć?

- Klątwa. Ostrzeżenie Cyganów. Tamtejsi ludzie używają nazwy Cygańskie Gniazdo.

- Ach, więc to jakaś opowieść?

- Tak. Dość mętna, nie wiem, ile w tym prawdy, a ile ludzie dośpiewali. Popołniono jakieś morderstwo, dawno temu. Mąż, żona i jeszcze jeden mężczyzna. Mówią, że mąż zastrzelił tamtych dwoje, a potem sam sobie palnął w łeb. W każdym razie uznano, że tak było. Ale krąży też mnóstwo innych wersji. Chyba nikt do końca nie wie, co się naprawdę stało. To stara historia. Właściciele zmieniali się od tego czasu kilkakrotnie, wszyscy jednak szybko się wynieśli.

- Ach, tak - rzekł z uznaniem Lippincott. - Kawalek angielskiego folkloru, to rozumiem. - I spojrzał na mnie badawczo. - A ty i Ellie nie boicie się klątwy? - Powiedział to lekko, z uśmiechem.

- Oczywiście że nie. Ani Ellie, ani ja nie wierzymy w takie brednie. Dla nas to zresztą szczęśliwy traf, bo dzięki temu kupiliśmy posesję za bezcen. - W tej samej chwili uderzyła mnie pewna myśl. Oczywiście, w pewnym sensie był to szczęśliwy traf. Ale dla Ellie, posiadającej całą masę pieniędzy, olbrzymi majątek, nie miało to większego znaczenia, czy kupi kawałek ziemi tanio, czy po najwyższej cenie. A potem pomyślałem, że nie, to nie tak. W końcu jej dziadek był prostym dokerem, zanim doszedł do milionów. Dla tego rodzaju ludzi zawsze będzie się liczyło, kiedy coś kupią tanio i sprzedadzą drogo!

- Cóż, sam nie jestem przesądny - oświadczył Lippincott - a widok stamtąd macie rzeczywiście wspaniały. - Zawahał się. - Mam tylko nadzieję - podjął po chwili - że kiedy już się wprowadzicie, twoja żona nie będzie musiała wysłuchiwać tych wszystkich opowieści.

- Będę Ellie strzegł jak oka w głowie - obiecałem. - Myślę, że nikt jej żadnych głupstw nie napięcie.

- Ludzie w małych miasteczkach lubią w kółko powtarzać tego rodzaju historie. A Ellie, nie zapomnij, nie jest tak odporna jak ty. Łatwo jej coś wmówić. W każdym razie pewne rzeczy. Właśnie... - Nie dokończył zdania. Po chwili postukując palcem w stół rzekł: - Chciałbym teraz poruszyć drażliwą kwestię. Powiedziałeś, że nigdy nie spotkałeś Greta Andersen.

- Nie, mówiłem już, dotąd jej nie widziałem.

- Dziwne. Bardzo zastanawiające.

- Tak? - Spojrzałem na niego pytająco.

- Dałbym głowę, żeście się już spotkali. Co o niej wiesz?

- Wiem, że mieszkała z Ellie przez jakiś czas.

- Od siedemnastego roku życia Ellie. Ta rola wymagała od Greta absolutnej odpowiedzialności, a my musieliśmy mieć do niej pełne zaufanie. Przyjechała do Stanów jako sekretarka, panna do towarzystwa. Opiekowała się Ellie, kiedy pani van Stuyvesant wyjeżdżała z domu, co, muszę przyznać, zdarzało się często. - Słowa te wypowiedział szczególnie oschle. - Greta, o ile wiem, ma doskonałe referencje, pochodzi z dobrej rodziny, pół szwedzkiej, pół niemieckiej. Ellie oczywiście bardzo się do niej przywiązała.

- Domyślam się.

- W moim mniemaniu nawet za bardzo. Chyba mogę ci to powiedzieć?

- Oczywiście. Dlaczego nie? Tak naprawdę ja sam... no... też tak sobie kiedyś pomyślałem. Greta to, Greta tamto. Czasami... wiem, że nie powinienem, ale... po prostu miałem dość.

- Ellie nie proponowała ci, żebyś poznał Gretę?

- Wie pan, trudno mi to wytłumaczyć. Ale chyba tak, raz czy drugi coś na ten temat wspomniała, tylko że byliśmy tak bardzo sobą zajęci... Zresztą chyba specjalnie nie miałem ochoty jej poznać. Nie chciałem z nikim dzielić się Ellie.

- No tak. Rozumiem. Ellie nic nie mówiła, żeby zaprosić Gretę na wasz ślub?

- Owszem, mówiła.

- Ale ty się nie zgodziłeś. Dlaczego?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Po prostu czułem, że ta dziewczyna czy kobieta, której nigdy nie widziałem na oczy, zawsze do wszystkiego się wtrąca. Organizuje Ellie życie. Wysyła listy i kartki, wypełnia za nią różne papiery, załatwia jej podróże, jest łącznikiem Ellie z rodziną. Czułem, że Ellie jest w jakiś sposób uzależniona od Grety, że pozwala Grecie sobą sterować, że chce robić wszystko, czego chce Greta. Och, przepraszam pana. Może nie powinienem tego mówić. Może po prostu jestem zazdrosny. W każdym razie wybuchnąłem, powiedziałem, że nie chcę widzieć Grety na naszym ślubie, że to nasz ślub, nasza sprawa i niczyja inna. No więc poszliśmy do urzędu stanu cywilnego, wzięliśmy na świadków urzędnika i maszynistkę. Na pewno brzydko się zachowałem, odmawiając Grecie udziału w uroczystości, ale chciałem mieć Ellie tylko dla siebie.

- Rozumiem. Rozumiem i uważam, że postąpiłeś mądrze.

- Pan też nie lubi Grety - stwierdziłem przenikliwie.

- Jak możesz mówić „też”, skoro jej nigdy nie widziałeś?

- Wiem, ale jeśli człowiek dużo się o kimś nasłucha, może sobie wyrobić pewien pogląd. Dobrze, niech będzie, że jestem piekielnie zazdrosny. Ale dlaczego pan nie lubi Grety?

- Zapewniam cię, że nie jestem uprzedzony. Jednak, Michael, zostałeś mężem Ellie. Wiesz, że jej szczęście bardzo mi leży na sercu. A nie wydaje mi się, żeby wpływ Grety był korzystny. Ona za bardzo dyryguje Ellie.

- Myśli pan, że będzie próbowała nas skłócić?

- Myślę, że nie mam prawa snuć takich przypuszczeń.

Siedział patrząc na mnie ostrzegawczo i mrużąc oczy; wyglądał jak pomarszczony stary żółw.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Odezwał się pierwszy, dobierając starannie słów:

- Nie padła propozycja, aby Greta Andersen zamieszkała z wami?

- Zrobię wszystko, żeby do tego nie dopuścić.

- Ach, więc to tak? Ta sprawa była zatem dyskutowana.

- Owszem, Ellie coś o tym napomknęła. Ale widzi pan, dopiero co się pobraliśmy. Chcemy mieć nasz nowy dom dla siebie. Oczywiście, od czasu do czasu Greta przyjedzie do nas z wizytą. To całkiem naturalne.

- Tak, całkiem naturalne - powtórzył. - A czy zdajesz sobie sprawę, Michael, że Greta będzie miała trudności ze znalezieniem pracy? Nieważne, co Ellie o niej myśli, ważna jest opinia ludzi, którzy ją zatrudnili i których zaufanie zawiodła.

- Chce pan powiedzieć, że ani pan, ani pani van Jak-Jej-Tam nie polecicie Grety na podobną posadę?

- Trudno się tego spodziewać. Pomińmy czysto formalne wymagania, które Greta akurat spełnia.

- Przypuszcza pan więc, że Greta zjedzie do Anglii i będzie sterceć przy Ellie.

- Nie chcę cię do niej źle nastawiać. To w końcu tylko moje przypuszczenia. Nie podobają mi się pewne posunięcia Grety i sposób, w jaki ich dokonała. Ellie ma bardzo dobre serce, będzie boleć nad tym, że kariera życiowa Grety została, powiedzmy, złamana. Toteż kierując się uczuciem będzie nalegać, żeby jej przyjaciółka zamieszkała z wami.

- Nie wydaje mi się, żeby Ellie miała się przy tym upierać - powiedziałem wolno, z wyczuwalnym smutkiem w głosie, co chyba zauważył Lippincott. - Czy nie moglibyśmy jednak, to znaczy Ellie... wypłacać jej po prostu renty?

- Nie możemy tak stawiać sprawy. Przejście na rentę kojarzy się z podeszłym wiekiem, a Greta jest młodą kobietą, rzekłbym, bardzo przystojną młodą kobietą. Ba, nawet piękną - dodał z niezadowolaniem, wręcz z nutą potępienia w głosie. - Bardzo się podoba mężczyznom.

- To może wyjdzie za męża. Jeżeli jest taka, jak pan mówi, dlaczego wcześniej sobie kogoś nie znalazła?

- Zalecali się do niej różni mężczyźni, jednak ona żadnym się nie interesowała. Ale wracając do twojej pierwszej sugestii. Widzę rozsądne wyjście. Można to przeprowadzić tak, żeby nie zranić niczyich uczuć. Skoro Ellie po osiągnięciu pełnoletności zawarła związek małżeński, w którym Greta była pośrednikiem, cóż bardziej naturalnego jak ofiarować jej pewną sumkę w dowód wdzięczności.

- Ostatnie słowa Lippincotta były cierpkie niczym cytryna.

- Świetnie! Problem rozwiązany! - zawołałem radośnie.

- A jednak jesteś optymistą. Miejmy nadzieję, że Greta przyjmie taką propozycję.

- Dlaczego miałyby nie przyjąć? Byłaby chyba szalona.

- Nie wiem. Powiedziałbym inaczej: sprawy by się skomplikowały, gdyby nie przyjęła pieniędzy i pozostała przyjaciółką Ellie jak dawniej.

- Pan uważa... co właściwie pan myśli?

- Chciałbym położyć kres wpływowi Grety na Ellie. - Wstał i dodał: - Mam nadzieję, że mi pomożesz i zrobisz wszystko, żeby do tego doprowadzić.

- Może pan być spokojny. Ostatnia rzecz, jakiej bym chciał, to mieć Gretę na karku.

- Kto wie, czy nie zmienisz zdania, kiedy ją zobaczysz.

- Nie wydaje mi się. Nie cierpię zbyt energicznych kobiet, nawet gdy są bardzo sprawne i ładne.

- Dziękuję ci, Michael, żeś mnie tak cierpliwie wysłuchał. Chciałbym zaprosić was oboje na kolację. Może w przyszły wtorek? Cora van Stuyvesant i Frank Barton do tego czasu zjadą do Londynu.

- I muszę się z nimi spotkać?

- Oczywiście, tego się nie da uniknąć. - Uśmiechnął się, tym razem bardziej szczerze. - Nie przejmuj się, chłopcze. Cora zapewne będzie dla ciebie bardzo nieuprzejma. Frank zaledwie nietaktowny. Reuben nie przyjdzie.

Nie wiedziałem, co to za Reuben, pewno jeszcze jeden krewny.

Przeszedłem przez pokój i otworzyłem drzwi.

- Chodź, Ellie. Już po przesłuchaniu.

Weszła do salonu, obrzuciła szybkim spojrzeniem wuja i mnie, po czym podbiegła do Lippincotta i pocałowała go.

- Kochany wuj Andrew. Widzę, że wuj był miły dla Mike'a.

- Cóż, moja droga, gdybym nie był miły dla twego męża, pewno byś mi to miała za złe. Zastrzegam sobie jednak prawo doradzania wam od czasu do czasu. Jesteście jeszcze oboje bardzo młodzi.

- Oczywiście, wuju. Zawsze wuja wysłuchamy.

- A teraz, kochanie, chciałbym zamienić z tobą kilka słów.

- No to kolej na mnie. Już znikam - powiedziałem i wyszedłem do sypialni.

Ostentacyjnie zamknąłem dwie pary podwójnych drzwi, kiedy jednak znalazłem się w sypialni, otworzyłem drzwi wewnętrzne. Nie byłem tak dobrze wychowany jak Ellie, paliła mnie ciekawość, jaką twarz odsłoni dwulicowy Lippincott. Ale nic istotnego nie usłyszałem. Wuj udzielił Ellie kilka mądrych rad. Uświadomił ją, jak trudna będzie moja sytuacja biednego męża bogatej żony, po czym przeszedł do sprawy zabezpieczenia Grety. Ellie przystała na to z radością mówiąc, że sama chciała z taką propozycją wystąpić. Wuj radził również dokonać dodatkowego zapisu na rzecz macochy.

- Nie ma oczywiście palącej potrzeby - mówił. - Alimenty z kolejnych małżeństw zabezpieczają ją w zupełności. Ma też swoje udziały, choć może nie największe, w funduszach trustu, po twoim dziadku.

- Wuj jednak uważa, że powinnam jej coś dołożyć?

- Nie ma takiej konieczności, ani moralnej, ani prawnej. Ale zobaczysz, jeśli to zrobisz, będzie cię mniej dręczyć, mniej robić ci na złość. Proponowałbym formę zwiększonych udziałów, z możliwością natychmiastowego odwołania, gdyby zaczęła rozgłaszać złośliwe plotki o Michaelu, tobie i twoim małżeństwie. Świadomość, że możesz w każdej chwili odwołać swoje dyspozycje, powstrzyma ją przed najgorszym, a wiesz, że potrafi być jadowita jak żmija.

- Cora zawsze mnie nienawidziła. Wiem o tym. - I Ellie spytała nieśmiało: - Wuju, podobał się wujowi Mike?

- To bardzo atrakcyjny młody człowiek. Doskonale rozumiem, dlaczego za niego wyszłaś.

Nie mogłem oczekiwać niczego lepszego. Wiedziałem, że nie jestem w jego guście. Ostrożnie zamknąłem drzwi i po chwili przyszła Ellie.

Żegnaliśmy się właśnie z Lippincottem, kiedy rozległo się pukanie i wszedł goniec z telegramem. Ellie otworzyła telegram. Wydała lekki okrzyk zdziwienia i radości.

- To od Grety. Przyjeżdża dziś wieczorem do Londynu, jutro nas odwiedzi. Cudownie! - Spojrzała na nas. - Prawda? - spytała.

Ujrzała cierpkie miny i usłyszała dwie uprzejme odpowiedzi. Jedna brzmiała: „Naturalnie, kochanie”, a druga: „Oczywiście”.

XI

Nazajutrz rano robiłem zakupy i wróciłem do hotelu nieco później, niż zamierzałem. Ellie siedziała w wielkim fotelu naprzeciw wysokie] blondynki. Czyli Grety. Usta im się nie zamykały.

Opisywanie ludzi nigdy nie było moją mocną stroną, ale spróbuję. Przede wszystkim byłoby trudno nie zgodzić się z Ellie, że Greta jest bardzo piękna, ani z Lippincottem, że bardzo przystojna. To zresztą nie jest dokładnie to samo. Jeśli mówimy, że kobieta jest przystojna, nie oznacza to wcale, że sami ją podziwiamy. Lippincott na przykład nie podziwiał Grety. Nie zmienia to faktu, że kiedy Greta szła przez hali w hotelu czy w restauracji, mężczyźni odwracali głowy na jej widok. Była nordyckim typem blondynki, miała złote włosy w odcieniu dojrzałego zboża, nie opadające swobodnie na ramiona a la dziewczyna z Chelsea, lecz modnie upięte na czubku głowy. Wyglądała na Szwedkę albo na Niemkę z północnych stron, którą właśnie była. Gdyby jej przypiąć skrzydła,

mogłaby iść na bal maskowy jako jedna z walkirii. Miała promienne jasnoniebieskie oczy, doskonałą figurę. Trzeba przyznać; niczego sobie babka!

Podszedłem do nich, przywitałem się, starając się zachowywać naturalnie i serdecznie, chociaż byłem nieco skrępowany. Nie zawsze uda mi się dobrze zagrać. Ellie powiedziała szybko:

- Jesteś nareszcie. Mike, to jest właśnie Greta.

Odparłem żartobliwym tonem, że zgadłem na piątkę, co nie wypadło zbyt szczęśliwie. I dodałem:

- Cieszę się, że się wreszcie spotykamy.

Ellie podjęła:

- Wiesz, gdyby nie Greta, nigdy nie doszłoby do naszego małżeństwa.

- Myślę, że jakoś byśmy to załatwili.

- Nie dalibyśmy rady, Mike. Wszyscy rzuciliby się na nas jak sępy. Zadziobaliby nas. Powiedz, Greto, czy zachowywali się okropnie? Nie pisałaś mi o tym ani nie mówiłaś.

- Miałabym pisać do szczęśliwej pary w podróży poślubnej?

- Ale powiedz, czy byli bardzo źli?

- Oczywiście! Jak mogłoby być inaczej? Przygotowałam się na to.

- Co mówili? Co robili?

- Och, wszystko - stwierdziła pogodnie Greta. - Zaczęli naturalnie od wymówienia.

- Tak, tego nie sposób było uniknąć. Ale jak sobie poradziłaś? Przecież nie mogą odmówić ci referencji.

- Zapewniam cię, że mogą. Z ich punktu widzenia haniebnie zawiodłam pokładane we mnie zaufanie. - I dodała: - co sprawiło mi frajdę.

- Co teraz robisz?

- Mam już nagrany pracę.

- W Nowym Jorku?

- W Londynie. Jako sekretarka.

- Czy na pewno wszystko w porządku, Greto?

- Ellie, kochanie, jak możesz o to pytać? To był wspaniały gest z twojej strony! Wysłałaś mi czek przewidując, co będzie, kiedy bomba pójdzie w górę.

Mówiła świetnie po angielsku, z ledwie dostrzegalnym akcentem. Czasem jednak używała wyrażeń, które niezupełnie pasowały do sytuacji.

- Zwiedziłam kawał świata, przyjechałam do Londynu, nakupiłam mnóstwo rzeczy.

- My oboje też zrobiliśmy niezłe zakupy. - Ellie uśmiechnęła się na to wspomnienie.

To prawda. Zrobiliśmy nie najgorsze zakupy w Europie. Cudowne uczucie: wydawać dolary, nie oglądając się na uciążliwe ograniczenia finansowe. We Włoszech i Paryżu kupiliśmy brokaty i tkaniny do domu oraz obrazy. Płaciliśmy za nie bająnskie sumy. Otworzył się przede mną świat, w którym nigdy nie spodziewałem się znaleźć.

- Wyglądacie na bardzo szczęśliwych - zauważyła Greta.

- Nie widzielaś naszego domu. Będzie wspaniały. Taki, jaki sobie wymarzyliśmy, prawda, Mike?

- Widziałam go. Zaraz pierwszego dnia po przyjeździe do Anglii wynajęłam samochód i pojechałam tam.

- I co? - spytała Ellie.

Ja zadałem to samo pytanie.

- No więc...- rzekła Greta z namysłem. Pokręciła głową. Ellie zamarła, wyglądała na ciężko

dotkniętą. Ale ja się nie dałem nabrać. Od razu się zorientowałem, że Greta bawi się naszym kosztem. Na moment zakiełkowała we mnie myśl, że to niezbyt ładnie z jej strony, ale zaraz wyleciała mi z głowy. Greta wybuchnęła śmiechem, wysokim melodyjnym śmiechem, który ściąga uwagę.

- Szkoda, że nie mogliście zobaczyć się w lustrze, zwłaszcza ty, Ellie. Żartowałam sobie. Dom jest wspaniały, uroczy. Facet, który go projektował, jest genialny.

- Niezwykły człowiek. Przekonasz się, kiedy go spotkasz.

- Już go spotkałam. Był tam tego dnia. Tak, jest niesamowity. Nie uważacie, że trochę przerażający?

- Przerażający? - zdziwiłem się. - Dlaczego?

- Och, nie wiem. Przeszywa wzrokiem, widzi cię na wskroś. To zawsze peszy. Wygląda, jakby był chory.

- Jest chory. Nawet bardzo - powiedziałem.

- Jaka szkoda! Co mu jest? Gruźlica, coś takiego?

- Nie - odparłem. - Chyba nie gruźlica. Jego choroba ma jakiś związek z krwią.

- Aha. Lekarze teraz potrafią czynić cuda, chyba że zdążą wykończyć człowieka w trakcie kuracji.

Ale zmieńmy temat. Mówmy o waszym domu. Kiedy będzie gotowy?

- Wkrótce - odrzekłem - sądząc po zaawansowaniu robót. Nigdy nie przypuszczałem, że dom można wznosić w takim tempie.

- O, to kwestia pieniędzy - zauważyła niedbale Grę ta. - Praca na dwie zmiany, premie i tak dalej. Nie zdajesz sobie sprawy, Ellie, jak cudownie mieć tyle forsy co ty.

Ja zdawałem sobie sprawę, co to znaczy. W ostatnich tygodniach ciągle się czegoś uczyłem. Dzięki małżeństwu dostałem się w inny świat, który z boku wyobrażałem sobie zupełnie inaczej. Do tej pory moja wiedza o napływie gotówki ograniczała się do szczęśliwej dwójki na wyścigach. Zastrzyk pieniędzy, które należało wydać jak najszybciej, zaspokajając najdziksze fantazje. Prymityw, powiecie. Tak, prymityw ludzi z mojego świata. Świat Ellie był inny, nie taki, jak to sobie myślałem. Superluksus bez granic. Nie polegało to na większych łazienkach, przestronniej szych domach, większej liczbie nowoczesnych urządzeń, obfitszych posiłkach, szybszych samochodach. Nie chodziło o wydawanie pieniędzy dla samego ich wydawania i popisywanie się przed ludźmi. W gruncie rzeczy wszystko było zadziwiająco proste. Ten rodzaj prostoty, która się pojawia, kiedy zostaje przekroczony pewien punkt; wówczas nie rzuca się już pieniędzmi po to tylko, żeby to zrobić. Niepotrzebne są ci trzy jachty czy cztery samochody, nie jesteś zdolny zjeść więcej niż trzy posiłki dziennie, wystarczy ci jeden cenny obraz w pokoju. To jasne jak słońce. Wszystko, co masz, jest najlepsze w swoim rodzaju. A masz to nie dlatego, że jest najlepsze, lecz dlatego, że nie ma powodu, byś sobie czegokolwiek miał odmówić. Nie istnieje sytuacja, w której powiesz: „Niestety nie mogę sobie na to pozwolić”. Czasami ta prostota jest tak zadziwiająca, że się zupełnie gubię. Kiedyś oglądaliśmy obraz francuskiego impresjonisty, chyba Cezanne’a. Muszę sobie dobrze wbić do głowy jego nazwisko, zawsze mi się myli z Cyganem. A potem byliśmy w Wenecji. Ellie przystanęła przed pracami ulicznych artystów. W sumie jeden wielki kicz robiony pod turystów; portrety - rzędy śnieżnobiałych zębów i opadające na ramiona włosy. I nagle Ellie kupiła niepozorny obrazek, widoczek kanału. Facet, który go namalował, oszacował nas wzrokiem, po czym ugodził się z Ellie na sześć funtów. Zabawne, że ona równie gorąco pragnęła tego sześciofuntowego obrazka co Cezanne’a.

Podobnie było kiedyś w Paryżu. Powiedziała raz ni z tego, ni z owego:

- Wiesz co, mam ochotę na chrupiącą bagietkę z masłem i francuskim serem zawiniętym w liście.

Widać było, że ten posiłek sprawił jej większą frajdę niż obiad za dwadzieścia funtów, który jedliśmy poprzedniego dnia w restauracji. Z początku nie mogłem tego zrozumieć, potem powoli rozjaśniało mi się w głowie. Ze zdziwieniem zacząłem odkrywać, że małżeństwo z Ellie to nie same przyjemności i rozkosze. Trzeba było odrobić lekcje: nauczyć się wchodzić do restauracji, co zamawiać, jakie dawać napiwki, w jakich sytuacjach napiwki muszą być większe, a w jakich mniejsze. Wiedzieć, co się pije do jakiego jedzenia. Większości tych rzeczy musiałem się uczyć drogą obserwacji. Nie mogłem pytać Ellie, bo akurat tego by nie zrozumiała. Powiedziałaby: „Mike, kochanie, zamów to, na co masz ochotę, co cię obchodzi, co sobie myśli kelner, kiedy bierzesz to wino, a nie tamto”. Ona mogła to mieć w nosie, bo miała tę wiedzę w małym palcu. Ja nie. Nie chodziło o moje widzimi się. Nie osiągnąłem aż takiej prostoty, żeby sobie na to bimbać. Z ciuchami było podobnie. Ale tutaj bardziej mogłem liczyć na pomoc Ellie, bo te rzeczy lepiej rozumiała. Prowadziła mnie po prostu do odpowiednich sklepów, a obsługa doradzała mi, co wybrać.

Oczywiście, jeszcze nie wyglądałem i nie mówiłem tak jak trzeba. Ale to nie miało większego znaczenia. Wiedziałem już mniej więcej, jak się zachować, żeby nieźle wypaść w oczach starego Lippincotta, a wkrótce w oczach macochy i wujów Ellie. Zresztą w przyszłości to w ogóle nie będzie się liczyć. Kiedy stanie nasza siedziba, a my się do niej wprowadzimy, znajdziemy się daleko od wszystkich, we własnym królestwie. Spojrzałem na Gretę. Ciekaw byłem, co naprawdę myśli o naszym domu. Zresztą, co tam, dla mnie był idealny, zadowalał mnie w pełni. Marzyłem, żeby tam pojechać, przejść prywatną ścieżką między drzewami, prowadzącą do małej zatoczki. Tam będzie nasza własna plaża, na którą nikt nie będzie miał wstępu. Kąpiel w takim miejscu jest tysiąc razy miłsza, myślałem. Tysiąc razy przyjemniejsze opalanie niż na plaży z rzędami obcych ciał. Nie pragnąłem tego, co bezsensowne w bogatym świecie. Chciałem... o, znowu pojawia się to słowo, moje słowo: chcę, chcę... Poczułem jak wzbiera we mnie znana fala. Chciałem wspaniałej dziewczyny, wspaniałego domu, innego od wszystkich, i chciałem, żeby w moim wspaniałym domu było pełno wspaniałych rzeczy. Rzeczy należących do mnie. Wszystko należałoby do mnie.

- On myśli o domu - odezwała się Ellie.

Dwa razy już mi mówiła, że pora przejść do jadalni. Spojrzałem na nią z czułością.

Później, tego samego dnia wieczorem, kiedy przebieraliśmy się do kolacji, którą mieliśmy zjeść na mieście, Ellie spytała ostrożnie:

- Powiedz mi, Mike. Czy ty... lubisz Gretę?

- Jasne, że lubię.

- Nie zniosłabym, gdyby było inaczej.

- Ale nie jest inaczej - zaprotestowałem. - Dlaczego podejrzewasz, że jej nie lubię?

- Bo ja wiem? Chyba dlatego, że unikasz jej wzrokiem, nawet kiedy z nią rozmawiasz.

- Przypuszczam, że tak się dzieje, bo... bo czuję się zdenerwowany.

- Zdenerwowany z powodu Grety?

- Ona napawa człowieka lękiem, przyznasz.

I zwierzyłem się, że Greta przypomina mi trochę walkirię.

- Ale chyba nie tę grubą z opery - zaśmiała się Ellie. Ja też zacząłem się śmiać.

- Tobie dobrze, bo znasz ją od lat. Ale widzisz, ona jest trochę... chcę powiedzieć, że jest taka sprawna, praktyczna, taka... doświadczona. - Mnożyłem określenia, ale nie mogłem znaleźć właściwego. Dodałem nagle: - Wiesz, czuję się przy niej gorszy.

- Och, Mike! - zawołała Ellie z poczuciem winy. - Wiem, mamy sobie mnóstwo do powiedzenia. Żartujemy gawędzimy o różnych rzeczach, które się wydarzyły. No tak, wyobrażam sobie, że to cię peszy. Ale wkrótce zaprzyjaźnicie się, zobaczysz. Greta cię lubi. Bardzo cię lubi. Tak powiedziała.

- Ależ, Ellie, co ci mogła innego powiedzieć?

- Powiedziałyby, gdyby było inaczej. Greta jest bardzo szczerą. Słyszałeś sam, co dzisiaj mówiła.

To prawda. Greta nie przebierała w słowach w czasie lunchu. W pewnej chwili zwróciła się do mnie raczej niż do Ellie.

- Pewno się czasem dziwiłeś, że wspieram Ellie, chociaż nigdy nie widziałam cię na oczy. Ale oni wszyscy doprowadzali mnie do szału, nie mogłam patrzeć, co z nią wyprawiają - Żyła jak w kokonie, odgradzona od rzeczywistości murem pieniędzy, przesądów, tradycji rodzinnych. Nie pozwolono jej się bawić, jechać, dokąd chce, robić, co chce. Buntowała się, ale nie wiedziała, co zrobić. W końcu ja musiałam wkroczyć. Podsunęłam jej myśl, żeby obejrzała posiadłości w Anglii, a gdy skończy dwadzieścia jeden lat, kupi sobie którąś na własność i będzie mogła się wypiąć na całe to nowojorskie towarzystwo.

- Greta zawsze miewa cudowne pomysły - rzekła Ellie. - Przychodzą jej do głowy rzeczy, na które ja nigdy bym nie wpadła.

Jak to powiedział Lippincott? „Ma stanowczo zbyt duży wpływ na Ellie”. Czy rzeczywiście? Dziwne, ja wcale tak nie uważałem. Czuję, że w Ellie jest coś, czego Greta nie docenia, mimo że zna ją tak dobrze. Ellie, myślałem, przystaje chętnie na pomysły, które jej odpowiadają, bo sama chciałaby na nie wpaść. Greta wpajała Ellie bunt, ale przecież Ellie już wcześniej chciała się zbuntować, tylko nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Teraz, kiedy poznałem Ellie lepiej, domyślałem się, że należy do tych osób, które mimo całej naiwności, potrafią niespodziewanie się postawić. Byłem przekonany, że Ellie umiałaby zająć własne, niezależne stanowisko, gdyby zaszła potrzeba. Sęk w tym, że niezbyt często taką potrzebę widziała. I pomyślałem jeszcze, jak trudno jest zrozumieć człowieka. Nawet Ellie. Nawet Gretę. Może nawet moją matkę... Kiedy patrzy na mnie z niepokojem i troską.

Przypomniałem sobie Lippincotta. Obieraliśmy właśnie wielkie brzoskwinie. Powiedziałem:

- Lippincott przełknął nasze małżeństwo bardzo gładko. Nad podziw gładko.

- Lippincott - rzekła Greta - to szczywany lis.

- Zawsze tak twierdzisz, Greto. Ale moim zdaniem, to zacy człowiek. Prawy i przyzwoity - zaprotestowała Ellie.

- Myśl tak dalej. Ja nie ufałabym mu za grosz.

- Jemu nie ufać! - oburzyła się Ellie.

Greta potrząsnęła głową.

- Wiem, wiem. Lippincott to sama przyzwoitość i uczciwość. Kwintesencja tego, czym powinien być zarządca trustu i prawnik.

Ellie zaśmiała się.

- Chcesz powiedzieć, Greto, że zdefraudował mój majątek? Cóż za bzdura! A wszystkie kontrole, a banki, a nadzory?

- Och, pewno jest w porządku. Ale tacy właśnie ludzie potrafią naciąć. Godni zaufania. A potem dopiero wszyscy się dziwią: „Kto by pomyślał? Pan A czy pan B, ostatni człowiek na świecie!” Tak to właśnie określają. „Ostatni człowiek na świecie”.

Ellie zauważyła po chwili, że jej zdaniem, wuj Frank byłby znacznie lepszym obiektem do takich podejrzeń. Zresztą myśl ta wyraźnie ani jej nie zasmuciła, ani nie zdziwiła.

- Tak, ten wygląda jak stary oszust - stwierdziła Greta. - To go obciąża od razu na starcie. Ta jego dobroduszość, wzięcie towarzyskie. Ale nigdy nie zostanie oszustem wielkiego kalibru.

- Czy to brat twojej matki? - spytałem. Gubiłem się w powiązaniach rodzinnych Ellie.

- To mąż siostry ojca. Rzuciła go, wyszła powtórnie za mąż, zmarła sześć, siedem lat temu. Wuj Frank przyłgął jakoś do rodziny.

- Jest ich trzech - podjęła Greta usłużnie. - Powiedziałabym, trzy pijawki. Prawdziwi stryjowie Ellie nie żyją, jeden zginął w Korei, drugi w wypadku samochodowym. Została jej więc nieźle wyposażona macocha, uroczy pasożyt wuj Frank, Reuben, do którego mówi „wuju”, ale który jest tylko kuzynem, Andrew Lippincott, aha, no i jeszcze Stanford Lloyd.

- Stanford Lloyd? Kto to taki? - spytałem zagubiony.

- Och, członek zarządu trustu, prawda Ellie? Zarządza jej inwestycjami, co nie jest znowu takie trudne. Bo kiedy ktoś jest tak bogaty jak Ellie, pieniądze poniekąd same się pomnażają, bez niczyjego udziału. Tak wygląda najbliższa grupa operacyjna. Zresztą na pewno nie unikniesz spotkania z nimi wszystkimi, i to w najbliższym czasie. Przyjadą tu, żeby sobie ciebie obejrzyć.

Jęknąłem i spojrzałem na Ellie, która łagodnie i z wielką wyrozumiałością powiedziała:

- Nie martw się, Mike. Przyjadą i wyjadą.

XII

No i przyjechali. Co prawda, nie na długo. Nie za pierwszym razem. Przyjechali, żeby mnie sobie obejrzyć. Czuję się w ich towarzystwie nieswojo, to byli przecież Amerykanie. Nigdy nie obcowalem z tego rodzaju ludźmi. Chociaż niektórzy byli dla mnie całkiem sympatyczni. Wuj Frank na przykład. Greta miała rację, nie ufałbym mu za grosz. Zetknąłem się z takimi jak on w Anglii. Chłop jak dąb, z brzuszyskiem i workami pod oczyma. Wyglądał na rozwiązłego typa, co pewnie nie było dalekie od prawdy. Pies na kobiety, a jeszcze bardziej na forszę, myślałem. Pożyczał ode mnie raz czy dwa drobne sumki, ot, tak żeby starczyło na dzień lub dwa. Podejrzewam, że nie tyle potrzebował pieniędzy, co chciał sprawdzić, czy chętnie pożyczam. Miałem z tym pewien problem, wahałem się, co zrobić. Czy lepiej stanowczo odmówić i dać mu do zrozumienia, że jestem sknera, czy udawać beztroską hojność, od czego byłem jak najdalszy. Pal diabli wuja Franka, pomyślałem.

Najbardziej interesowała mnie Cora, macocha Ellie. Babka koło czterdziestki, dobrze utrzymana, z farbowanymi włosami, raczej wylewna. Dla Ellie była słodka jak miód.

- Ellie, kochanie, mam nadzieję, że nie masz mi za złe moich listów. Chyba rozumiesz, jaki był to dla nas szok. Potajemnie wychodzić za mąż! Ale wiem, że za tym wszystkim stała Greta.

- Zostawcie Gretę. Ja... naprawdę nie chciałam was martwić. Po prostu myślałam, że im mniej szumu...

- Oczywiście, kochanie, masz swoje racje. Nie wyobrażasz sobie jednak, w jaką panikę wpadli twoi doradcy. Stanford Lloyd i Andrew Lippincott. Bali się chyba, że to oni zostaną obarczeni winą za to, co się stało, że usłyszą zarzuty, iż nie pilnowali cię tak jak trzeba. No i nie mieli pojęcia, jaki jest Mike. Nie wiedzieli, podobnie zresztą jak ja, co to za czarujący młody człowiek.

Uśmiechnęła się do mnie słodko. Mówię wam, nigdy nie widziałem tak obłudnego uśmiechu. Pomyślałem wtedy, że jeśli kobieta może nienawidzić mężczyzny, to Cora nienawidzi mnie. Jej przymilność wobec Ellie nie była niczym dziwnym. Lippincott po powrocie do Ameryki, uprzedził ją o pewnych sprawach. Ellie miała sprzedać część swego majątku w Stanach, ponieważ postanowiła

osiąść na dobre w Anglii. Zamierzała wypłacić macosze pokazną sumkę, co pozwoliłoby Corze żyć tak, jak chce. Nie mówiło się o mężu Cory. Podejrzywałem, że wyniósł się gdzieś, i to nie sam. Czulem rozwód w powietrzu. Z tego małżeństwa Cora nie wyciągnie jednak słonych alimentów. Jej ostatni mąż był od niej o wiele młodszy, jego urok leżał w fizycznych wdziękach, nie w portfelu.

Pieniądze od Ellie byłyby więc Corze bardzo na rękę. Należała do kobiet ekstrawaganckich. Andrew Lippincott na pewno postawił sprawę jasno; Ellie mogła każdej chwili wstrzymać wypłatę, gdyby, powiedzmy, macocha zapomniała się i posunęła w atakach na mnie zbyt daleko.

Kuzyn Reuben, czy wuj Reuben, nie przyjechał. Przysłał Ellie list, uprzejmy, oględny list, w którym życzył jej szczęścia, chociaż wyrażał wątpliwość, czy będzie się dobrze czuła w Anglii. „Wrazie czego wracaj do Stanów - pisał. - Możesz tu zawsze liczyć na ciepłe przyjęcie. Twój wuj powita cię z otwartymi ramionami”.

- Chyba to miły człowiek? - spytałem.

- Tak - bąknęła Ellie bez przekonania.

- Czy lubisz kogoś z nich, Ellie? A może nie powinienem cię o to pytać?

- Wiesz, że możesz mnie pytać o wszystko. - Nie od razu jednak odpowiedziała na pierwsze pytanie. Wreszcie odezwała się stanowczo i zdecydowanie: - Nie, tak naprawdę nikogo nie lubię. Wiem, że brzmi to dziwnie, ale bierze się chyba stąd, że nikt z nich właściwie do mnie nie należy. Łączą nas okoliczności, nie pokrewieństwo, nie ma między nami więzów krwi. Kochałam ojca, jego wspomnienie jest mi drogie. Myślę, że był słabym człowiekiem i chyba zawiódł nadzieje dziadka, bo nie miał głowy do interesów. Nie chciał wchodzić w świat biznesu. Lubił jeździć na Florydę, łowić ryby, tego rodzaju rzeczy. A potem ożenił się z Corą. Nigdy jej nie nosiłam w sercu, ona zresztą mnie też nie. Mojej matki nie pamiętam. Lubiłam stryjów Henry'ego i Joe'ego. Byli fajni. W pewnym sensie fajniejsi od ojca. On był taki cichy i smutny. A jego bracia potrafili korzystać z życia. Stryj Joe był trochę wariat, z tych wariatów, co mają dużo pieniędzy. To on zginął w wypadku samochodowym. Stryj Henry na wojnie. Dziadek był już wtedy bardzo chory, stracił trzech synów, straszny cios. Cory nie lubił, nie obchodzili go dalsi krewni. Na przykład wuj Reuben. Mówił, że nigdy nie wiadomo, co takiemu strzeli do głowy. Dlatego ulokował pieniądze w truście. Ofiarował znaczne sumy na muzea i szpitale. Zabezpieczył przyzwicie Corę i wuja Franka.

- Ale większość majątku przeszła na ciebie?

- Tak. Zatrzaszczył się o to. Zadbał też o pieczę nad nim.

- Powierzył ją wujowi Andrew i panu Stanfordowi Lloydowi. Prawnikowi i bankierowi.

- Pewno bał się, że sama sobie nie poradzę. Dziwi mnie tylko, że pozwolił mi przejąć majątek po ukończeniu dwudziestu jeden lat. Mógł to przecież zrobić dopiero, kiedy skończę dwadzieścia pięć. Tak postępuje większość ludzi. Może chodziło mu o to, że jestem dziewczyną.

- Dziwne. Wydawałoby się, że powinno być odwrotnie. Ellie pokręciła głową.

- Nie. Dziadek był zdania, że chłopcy są z reguły nieobliczalni, rozrabiają i dostają się łatwo w szpony przewrotnych blondynek. Krótko mówiąc, powinni się wyszumieć. Kiedyś powiedział mi: „Jeżeli dziewczyna ma być kiedykolwiek rozsądna, nabierze rozumu po dwudziestym pierwszym roku życia. Po co kazać jej czekać przez następne cztery lata? Jeśli jest gęsią, gęsią pozostanie”. Powiedział mi jeszcze - Ellie dodała z uśmiechem - że mnie nie uważa za gęś. „Może nie znasz życia, Ellie, ale jesteś rozsądna. Zwłaszcza jeśli chodzi o ludzi. To ci już zostanie”.

- Mnie by chyba nie lubił - wtrąciłem z namysłem.

Ellie była bardzo prawdomówna. Nigdy nie próbowała mi wmawiać rzeczy nieprawdziwych.

- Chyba nie - przyznała. - Raczej kręciłby na ciebie nosem. Z początku. Potem przyzwyczaiłby się.

- Moje biedactwo.

- Dlaczego tak mówisz?

- Pamiętasz, już to raz powiedziałem.

- Tak. Powiedziałaś „bogate biedactwo”. Miałaś rację.

- Teraz miałem co innego na myśli. Nie chodziło mi o to, że jesteś biedna z powodu bogactwa.

Raczej o to, że... - zawahałem się. - Za dużo tych wszystkich ludzi. Przy tobie. Wokół ciebie. Wszyscy czegoś od ciebie chcą, ale nikogo naprawdę nie obchodzisz. Czy nie jest tak?

- Wują Andrew chyba obchodzę - rzekła Ellie z powątpiewaniem. - Zawsze był dla mnie miły, troskliwy. Co do innych... masz zupełną rację. Oni wiecznie czegoś chcą.

- Przychodzą ciągle po prośbie. Pożyczają pieniądze, domagają się pomocy, oczekują, że wydobędziesz ich z kłopotów. Ciągną z ciebie, ile się da, ot co!

- To chyba naturalne - rzekła spokojnie Ellie. - Ale mam to już za sobą. Będę mieszkać w Anglii i rzadko ich widywać.

Myliła się, ale jeszcze się w tym nie połapała. Wkrótce przyjechał Stanford Lloyd. Przywiózł ze sobą cały plik dokumentów i papierów dla Ellie do podpisu. Musiał uzyskać jej zgodę na inwestycje. Mówił i mówił o inwestycjach, udziałach, własnościach, rozdysponowaniu funduszy trustu. Dla mnie była to czarna magia. Nie mogłem się wtrącić, doradzić. Gdyby Stanford Lloyd zamierzał oszukać Ellie, byłbym bezradny. Może i tego nie zamierzał, ale skąd mogłem wiedzieć, nie miałem bladego pojęcia o tych sprawach.

Coś w tym facecie wydawało się zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Bankier, który z daleka wyglądał jak bankier. Przystojny, choć niemłody. Dla mnie uprzejmy do przesady, w głębi duszy myślał o mnie jak najgorzej, co starannie ukrywał.

- Uff! - powiedziałem, kiedy sobie poszedł. - Ostatni z twojej gwardii.

- Nikt ci nie przypadł do serca?

- Tak dwulicowej żoły jak twoja macocha chyba nigdy w życiu nie widziałem. Przepraszam, Ellie, nie powinienem ci tego mówić.

- Dlaczego? Przecież tak właśnie uważasz. Zresztą nie jesteś daleki od prawdy.

- Musiałaś być bardzo osamotniona.

- Owszem. Miałam co prawda koleżanki, chodziłam przecież do elitarniej szkoły. Co z tego, nigdy nie byłam wolna. Kiedy się z jakąś zaprzyjaźniałam, zawsze nas rozdzielali, podsuwali mi inną dziewczynę. Wszystkim rządził status towarzyski. Gdyby mi na kimś naprawdę zależało, gdybym się postawiła... ale sprawy nigdy tak daleko nie zaszły. Po prostu nigdy się z nikim nie zbliżyłam. Wszystko się zmieniło, kiedy przyjechała Greta. Po raz pierwszy ktoś lubił mnie dla mnie samej. To było cudowne uczucie - rzekła miękko.

- Szkoda, że... - zacząłem odwracając się do okna.

- Że co?

- Och, bo ja wiem. No może... że jesteś tak uzależniona od Grety. Takie uzależnienie jest zawsze szkodliwe.

- Nie lubisz Grety, Mike.

- Ależ lubię! - zaprotestowałem pośpiesznie. - Naprawdę lubię. Tylko musisz sobie uświadomić, Ellie, że dla mnie... no wiesz... ona jest zupełnie obca. Dobrze, niech będzie, jestem zazdrosny.

Zazdrosny, bo wy obie... no cóż, nawet nie przypuszczałem, że z was takie nierozłączki.

- Daj spokój, Mike. To jedyna osoba, która była dla mnie dobra, którą obchodziłam... Do czasu, kiedy poznałam ciebie.

- Ale poznałaś mnie. I wyszłaś za mnie. - I powtórzyłem swoją śpiewkę: - Będziemy żyć długo i szczęśliwie, Ellie.

XIII

Staram się, jak mogę - choć to słabo powiedziane - żeby opisać ludzi, którzy wtargnęli w nasze życie. Właściwie w moje życie, bo przecież w życiu Ellie już byli. Myśleliśmy, że się wyniosą, pomyliliśmy się. Nie wynieśli się. Nie mieli zamiaru. Ale myśmy o tym nie wiedzieli.

Rozpoczął się następny rozdział naszego małżeństwa: życie w Anglii. Dom wreszcie stanął. Przyszedł telegram od Santonixa. Prosił, żebyśmy nie przyjeżdżali jeszcze przez tydzień, potem przysłał drugi telegram: „Przyjedźcie jutro”.

Zajechaliśmy o zachodzie słońca. Santonix usłyszał samochód i wyszedł na próg nas powitać. Kiedy ujrzałem wykończony dom, nasz dom, serce zaczęło mi walić, waliło jak młotem, jakby miało wyskoczyć z piersi. Mój dom! Nareszcie! Mocno przycisnąłem Ellie do siebie.

- Podoba ci się? - spytał Santonix.

- Pierwsza klasa - odparłem niezbyt mądrze, ale on wiedział, co chciałem wyrazić.

- Najlepsze, co do tej pory zrobiłem. Kosztował was ładnych parę groszy, nie przewidywałem takiej sumy, ale pieniądze nie poszły na marne. Dalej, Mike, bierz żonę na ręce i przenieś ją przez próg. Taki jest zwyczaj, kiedy nowożeńcy wprowadzają się do nowego domu.

Poderwałem się, uniosłem Ellie w górę - była lekka jak piórko - ale na progu potknąłem się. Zauważyłem, że Santonix zmarszczył brwi.

- Jesteście w domu. A teraz posłuchaj, Mike. Bądź dla niej dobry. Opiekuj się nią. Pilnuj, żeby jej się nie stało nic złego. Ona sama nie potrafi siebie chronić. Tylko jej się zdaje, że potrafi.

- Dlaczego miałoby mi się coś stać? - zdziwiła się Ellie.

- Bo to zły świat, pełen złych ludzi. I wokół ciebie ich nie brakuje. Wiem o tym, widziałem na własne oczy. Przyjeżdżali tu. Węszyli, niuchali. Natrętni jak głodne szczury. Przepraszam za brutalność, ale ktoś ci to musiał powiedzieć.

- Z nimi mamy już święty spokój - rzekła Ellie. - Wrócili do Stanów.

- Nie zapominaj, moje dziecko, że to zaledwie parę godzin lotu.

Położył jej ręce na ramionach. Jego dłonie były bardzo szczupłe, przezroczyście. Wyglądał okropnie. Jak człowiek ciężko chory.

- Gdybym mógł, zaopiekowałbym tobą, dziecino. Ale długo nie pociągnę. Musisz sama troszczyć się o siebie.

- Daj spokój tym cygańskim przepowiedniom - odezwałem się. - Oprowadź nas lepiej po domu. Chcę obejrzeć każdy zakamarek.

Rozpoczęliśmy obchód. Niektóre pokoje świeciły jeszcze pustkami, ale przetransportowano już większość zakupionych przez nas rzeczy: mebli, obrazów, zasłon.

- Jak nazwiemy nasz dom? - zastanowiła się nagle Ellie. - Przecież nie Wieże. To bez sensu. Cygańskie Gniazdo. Może niech tak zostanie.

- Nie ma mowy - zaproponowałem ostro. - Nie podoba mi się ta nazwa.

- Ale i tak będzie zawsze krążyć wśród miejscowych - zauważył Santonix.

- To banda przesądnych głupców.

Potem usiedliśmy na tarasie, oglądaliśmy zachód słońca oraz wspaniałe widoki, i wymyślaliśmy nazwy dla domu. Zrobił się z tego rodzaj gry. Zaczęliśmy całkiem poważnie, a potem rzucaliśmy różne głupie nazwy, tak jak przychodziły nam do głowy - Kres Podróży, Rozkosz Serca, czy bardziej pensjonatowe Morski Widok, Pod Sosnami, Dębina. Raptem zrobiło się ciemno i zimno, weszliśmy do środka. Nie zasunęliśmy zasłon, zamknęliśmy tylko okna. Przywieźliśmy ze sobą zapasy, a nazajutrz miała się stawić służba, zgodzona na słonych warunkach.

- Boję się, że będą przerażeni tą samotnią i szybko uciekną - odezwała się Ellie.

- Zapłacicie im podwójnie, to zostaną - zauważył Santonix.

- Myślisz, że każdego można kupić. Wcale cię o to nie podejrzewałam - zaśmiała się Ellie.

Przywieźliśmy ze sobą pate en croute, francuskie pieczywo i duże czerwone kraby. Biesiadowaliśmy dowcipkując i gawędząc. Nawet Santonix jakby nabrał sił, był ożywiony, w oczach miał jakiś szalony błysk.

I nagle stało się. Rozległ się brzęk tłuczonej szyby. Przez okno wleciał kamień i upadł na stół. Stłukł się kieliszek do wina, odłamek szkła skaleczył Ellie w policzek. Przez chwilę siedzieliśmy jak zamurowani, zerwałem się pierwszy, podbiegłem do okna, otworzyłem je, po czym wyszedłem na taras. Nikogo nie było. Wróciłem do pokoju.

Wziąłem papierową serwetkę, pochyliłem się nad Ellie i otarłem strużkę krwi ciekącą jej po policzku.

- Moje biedactwo. Ale już dobrze, kochanie, to nic strasznego. Zwykle skaleczenie odłamkiem szkła.

Santonix i ja spojrzeliśmy po sobie.

- Dlaczego ktoś to zrobił? - spytała Ellie. Wyglądała na oszołomioną/

- To sprawka łobuzów - odparłem. - Chuliganów. Może słyszeli, że się dziś wprowadzamy, wiesz, jak to jest. I tak miałaś szczęście, że to tylko kamień. A jakby tak strzelili na przykład z wiatrówki?

- Ale dlaczego? Dlaczego to zrobili?

- Tego nie wiem. Łobuzy, i tyle. Ellie wstała gwałtownie.

- Boję się - powiedziała. - To straszne.

- Jutro się czegoś dowiemy - zapewniłem. - Musimy poznać tutejszych ludzi.

- Czy to dlatego, że my jesteśmy bogaci, a oni biedni? - wróciła do swego Ellie, ale tym razem skierowała pytanie do Santonixa, jakby raczej on niż ja znał odpowiedź.

- Nie. - Santonix pokręcił głową. - Chyba nie o to chodzi...

- Nienawidzą nas. Mike'a i mnie. Dlaczego? Bo jesteśmy szczęśliwi?

Santonix i tym razem zaprzeczył.

- Nie - zgodziła się z nim Ellie. - To nie to. To coś innego. Coś, o czym nie wiemy. Cygańskie Gniazdo. Każdy, kto tu zamieszka, będzie znienawidzony. Prześladowany. I w końcu może uda im się nas stąd wypłoszyć.

Nalałem jej wina.

- Proszę cię, Ellie, przestań - błagałem ją. - Nie mów takich rzeczy. Wypij, to ci dobrze zrobi. To było okropne, przyznaję, ale w końcu to zwykła głupota, rozróżba dla zgrywu.

- Nie byłabym taka pewna. O nie! - I spojrzała na mnie twardo. - Ktoś chce nas stąd przepędzić, Mike. Z tego domu, który zbudowaliśmy, który kochamy.

- Nie damy się - stwierdziłem. I dodałem: - Będę cię strzegł. Włos ci z głowy nie spadnie.

Zwróciła się do Santonixa:

- Ty powinieneś wiedzieć. Byłeś tutaj, kiedy trwały roboty. Nikt ci nic nie mówił? Nikt nie rzucał kamieniami? Nie przeszkadzał w budowie?

- Bywa, że człowiek wyobraża sobie różne rzeczy - odparł Santonix.

- A więc coś się jednak działo?

- Przy budowie domu zawsze coś się wydarzy. Niekoniecznie zaraz coś poważnego czy tragicznego. Ktoś zleci z drabiny, komuś coś ciężkiego spadnie na nogę, pod paznokcie wejdzie drzazga i wywiąże się infekcja.

- Ale tutaj nie wydarzyło się nic takiego? Nic, co mogłoby wyglądać na rozmyślnie działanie?

- Nie, przysięgam, że nie! Ellie zwróciła się teraz do mnie.

- Pamiętasz tę starą Cygankę, Mike? Była taka dziwna, ostrzegала mnie, żebym tu nie przyjeżdżała.

- Stuknięta baba.

- Zbudowaliśmy dom w Cygańskim Gnieździe. Postąpiliśmy dokładnie wbrew jej ostrzeżeniom. - I Ellie nagle tupnęła nogą. - Nie dam się stąd wygonić. Nikomu, absolutnie nikomu!

- Bo też nikt nas stąd nie wykurzy - rzekłem. - Będziemy tu mieszkać i będziemy szczęśliwi.

Oboje rzuciliśmy wyzwanie losowi.

XIV

W taki oto sposób rozpoczęliśmy życie w Cygańskim Gnieździe. Nie szukaliśmy już innej nazwy. Przyjęła się na dobre po pierwszym wieczorze.

- Zostanie Cygańskie Gniazdo - zdecydowała Ellie. - Żeby im pokazać! Na przekór! To nasze gniazdo, niczyje inne, i pał sześć cygańskie przesady.

Na drugi dzień odzyskała humor, była wesoła jak zawsze. Mieliśmy mnóstwo zajęć, musieliśmy się urządzać, poznać sąsiadów. Razem wybraliśmy się z Ellie do chałupy Cyganki. Uważałem, że dobrze by było, gdybyśmy ją zastali przy pracy w ogródku. Ellie widziała tę kobietę tylko raz, kiedy Cyganka czytała nam z ręki. Chciałem, żeby zobaczyła ją jako zwykłą kobietę przy jakimś gospodarskim zajęciu, na przykład kopaniu kartofli. Cyganki jednak nigdzie nie było. Dom był zamknięty na cztery spusty. Zapytałem sąsiadki, czy przypadkiem stara nie umarła.

- Gdzieś ją wyniosło - usłyszałem w odpowiedzi. - Od czasu do czasu rusza w świat. To prawdziwa Cyganka. Nie może usiedzieć pod dachem. Idzie, a potem wraca. - Popukała się w czoło.

- Wie pan, nie wszystkie klepki ma w porządku. - I zaczęła z innej beczki, starając się ukryć ciekawość: - państwo z tego nowego domu, co dopiero postawiono, tam, na górze?

- Wprowadziliśmy się wczoraj wieczorem - odparłem.

- Pięknie tam teraz - podjęła. - Wszyscy chodziliśmy oglądać, jak budowali. Nie ma porównania z tym, co było. Taki dom zamiast tych ponurych chaszczy! - Zwróciła się do Ellie, trochę onieśmielona: - pani, powiadają, Amerykanka?

- Zgadza się. Jestem Amerykanką, a właściwie byłam. Wysłałam za męża Anglika, więc jestem teraz Angielką.

- Państwo chcą tu zamieszkać na stałe? Oboje skinęliśmy potakująco.

- No cóż, daj Boże, żeby wam było dobrze. - W jej głosie brzmiało powątpiewanie.

- Dlaczego miałoby nie być?

- Strasznie tam pusto. Nie każdy chciałby mieszkać na takim odludziu w lesie.

- Cygańskie Gniazdo - szepnęła Ellie.

- Ach, to wiedzą państwo, jak my tu mówimy? Poprzedni dom nazywano Wieże. Nie wiadomo dlaczego. Nie było tam żadnych wież, w każdym razie za mojej pamięci.

- Wieże to bezsensowna nazwa - rzekła Ellie. - Raczej zostaniemy przy Cygańskim Gnieździe.

- Jeśli tak, musimy zawiadomić pocztę - odezwałem się. - Bo nie będziemy otrzymywać listów.

- Chyba masz rację.

- Wiesz, Ellie, pomyślałem sobie, że to właściwie bez znaczenia. A może byłoby lepiej, gdyby listy do nas nie dochodziły?

- Spowodowałyby to mnóstwo komplikacji. Pomyśl choćby o rachunkach.

- Uważam, że byłoby cudownie.

- Mylisz się. Przysłano by nam w końcu komornika. Zresztą ja wcale nie chcę, żeby korespondencja do nas nie dochodziła. Chcę dostawać listy od Greta.

- Daj mi spokój z Gretą. Chodź, idziemy dalej zwiedzać.

Zwiedziliśmy Kingston Bishop. Dosyć miła miejscina, ludzie w sklepach sympatyczni. Całkiem przyjemnie. Nasza służba nie polubiła jednak miasteczka. Wpadliśmy więc na pewien pomysł; wynajmowaliśmy samochód, który zabierał ich w dni wolne od pracy albo do Market Chadwell, albo do najbliższego nadmorskiego miasta. Położenie domu nie budziło ich zachwytu, ale nie z powodu przesądów. Nikt nie może powiedzieć, twierdziłem, że to dom nawiedzony, bo jest nowiusieńki, świeżo zbudowany.

- Tak, tu nie chodzi o dom - zgodziła się Ellie. - Dom jest w porządku. To sprawa otoczenia. Ta droga z zakrętami wśród drzew, ten ponury las, z którego wtedy wypadła jak widmo ta kobieta.

- W przyszłym roku możemy wyciąć drzewa i posadzić na przykład rododendrony.

Snuliśmy różne plany.

Na weekend przyjechała Greta. Była zachwycona domem, gratulowała nam wyboru mebli, obrazów, doboru kolorów. Zachowała się bardzo taktownie. Pod koniec weekendu oświadczyła, że nie chce nam zakłócać miodowego miesiąca, zresztą musiała wracać do pracy.

Ellie sprawiło wielką przyjemność pokazywanie jej domu. Widać było, jak bardzo lubi Gretę. Starałem się zachowywać rozsądnie, byłem uprzejmy, ale odetchnąłem, kiedy Greta wyjechała do Londynu. Jej pobyt u nas ciążył mi okropnie.

Po kilku tygodniach zostaliśmy zaakceptowani w okolicy i poznaliśmy miejscowego idola. Przyszedł nas odwiedzić kiedyś po południu. Spieraliśmy się właśnie z Ellie, gdzie założymy rabatę, kiedy nasz służący, poprawny, ale - moim zdaniem - fałszywy facet, zapowiedział, że w salonie oczekuje nas major Phillpot. Szepnąłem do Ellie: „Bóg!”, a ona spytała mnie, co za bóg.

- Bóg miejscowych - wyjaśniłem.

Weszliśmy do domu powitać majora. Miły, nie wyróżniający się niczym mężczyzna pod sześćdziesiątkę. Ubrany z wiejska, byle jak, szpakowaty, z początkami łysiny na czubku głowy i krótkim nastroszonym wąsikiem. Przepraszył, że jego żona nie może złożyć nam wizyty. Nie jest zupełnie zdrowa, powiedział. Siedzieliśmy gawędząc. Nie mówił nic szczególnie godnego uwagi czy interesującego. Miał tę zaletę, że człowiek czuł się przy nim swobodnie. Prowadził lekką rozmowę na rozmaite tematy. Nie zadawał pytań wprost, ale szybko zorientował się, co nas interesuje. Ze mną rozmawiał o wyścigach, z Ellie o uprawie ogródka, o tym, co się dobrze udaje na tej glebie. Był raz i drugi w Stanach. Zauważył, że Ellie co prawda nie przepada za wyścigami, ale lubi jeździć konno. Gdyby chciała hodować konie, mówił, mogłaby urządzać sobie przejażdżki drogą przez las sosnowy, skąd wyjedzie na otwartą przestrzeń wrzosowiska, gdzie można już konia puścić galopem. Wreszcie

doszliśmy do naszego domu i opowieści krążących wokół Cygańskiego Gniazda.

- Widzę, że państwo znacie miejscową nazwę, więc przypuszczam, że słyszeliście coś niecoś o tutejszych przesądach.

- Zdażyli nas ostrzec Cyganie - odezwałem się. - Aż nadto. Zwłaszcza stara Lee.

- Och, Boże! - zawołał Phillipot. - Ta biedaczka. Czy Esther dała się państwu we znaki?

- Jest chyba trochę stuknięta? - spytałem.

- O wiele mniej, niż udaje. Czuję się za nią odpowiedzialny. Ulokowałem ją w domku, gdzie obecnie mieszka, ale nie jest mi za to wdzięczna. Mam słabość do tej starej Cyganki, choć wiem, że potrafi zaleźć za skórę.

- Wróżbami?

- Nie, nie o to chodzi. Wróżyła państwu?

- Nie tyle wróżyła - rzekła Ellie - co raczej nas ostrzegła, żeby nasza noga tu nie postąpiła.

- Hm. To dziwne! - Phillipot uniósł nastroszone brwi. - Zazwyczaj przepowiada same dobrodziejstwa: „Posłuchaj, ślicznotko, co cię czeka. Piękny nieznajomy, ślubny welon, sześcioro dzieci, uśmiech losu, wielkie pieniądze!” - Zupełnie nieoczekiwanie zaczął zawodzić przeciągle, jak Cygan. - Cyganie często rozbijali tu obozowiska, kiedy byłem chłopcem - podjął - wtedy ich polubiłem. Wiem, że to złodziejaszki, ale coś mnie zawsze do nich ciągnęło. Nie można tylko oczekiwać od nich jednego: poszanowania prawa. Poza tym to ludzie porządni. W uczniowskich czasach zjadłem u nich niejedną miskę cygańskiej polewki. Moja rodzina ma dług wobec starej Lee; uratowała życie mojemu młodszemu bratu. Wyciągnęła go ze stawu, kiedy załamał się pod nim lód.

Zrobiłem gwałtowny ruch ręką i strąciłem ze stołu szklaną popielniczkę. Rozbiła się w drobny mak. Major Phillipot pomógł mi pozbierać szkło z podłogi.

- Teraz widzę, że stara Lee jest na pewno niegroźna - stwierdziła Ellie. - To śmieszne, że tak mnie przeraziła.

- Przeraziła? - Phillipot ponownie uniósł brwi. - Do tego doszło?

- Nic dziwnego - wtrąciłem szybko. - Była to raczej groźba niż ostrzeżenie.

- Groźba! - wykrzyknął z niedowierzaniem major.

- Na to mi wyglądało. A tego wieczoru, kiedyśmy się wprowadzili, wydarzyło się jeszcze coś.

I opowiedziałem o kamieniu rzuconym przez okno.

- To sprawka chuliganów, nie brakuje ich dzisiaj wśród młodzieży - stwierdził Phillipot. - Chociaż u nas nie ma ich znowu tak wielu. Mniej niż gdzie indziej. Ale, niestety, i tu zdarzają się różne wybryki. - Spojrzał na Ellie. - Przykro mi, że się pani tak wystraszyła. Niemile zdarzenie, i to zaraz pierwszego dnia.

- Och, już się uspokoiłam. Ale jest coś jeszcze, coś, co stało się wkrótce potem.

Opisałem kolejny incydent.

Któregoś dnia rano poszliśmy na spacer i znaleźliśmy martwego ptaka, przebitego nożem, z przyczepionym świstkiem papieru, na którym ktoś nagryzmolił z błędami: „Zwiewajcie stąd, jeśli wam spokój miły”.

Phillipot wyraźnie się zdenerwował.

- Należało powiadomić policję.

- Nie chcieliśmy tego robić - rzekłem. - To by tylko rozsierdziło sprawcę, kimkolwiek on jest.

- Tego rodzaju incydentom trzeba położyć kres! - stwierdził Phillipot, przybrawszy nagle oficjalny ton. - W przeciwnym razie będą się zdarzać następne. Choćby dla hecy. Tyle że... to coś więcej niż

wybryk. To zbyt paskudne... złośliwe... przecież... - mówił jakby do siebie - przecież chyba nie macie tu wrogów w okolicy, pan lub pani.

- Nie - powiedziałem - nie znamy tu nikogo. Oboje nie jesteśmy stąd.

- Muszę się tym zająć - stwierdził Phillipot. Wstał i rozejrzał się.

- Przyznam, że podoba mi się ten dom. Nie spodziewałem się tego. Jestem człowiekiem starej daty, mam staroświeckie gusty. Lubię takie domy. Nie podobają mi się seryjne klocki, które zdominowały kraj. Wielkie pudła. Jak ule. Dom musi mieć jakieś ornamenty, jakąś dystynkcję. Ale ten dom mi się podoba. Jest prosty i bardzo nowoczesny, zgoda, lecz ma kształt i światło. A gdy spojrzeć ze środka na zewnątrz, otoczenie wygląda inaczej, niż postrzegało się przedtem. Interesujące. Bardzo interesujące. Kto go projektował? Anglik czy cudzoziemiec?

Opowiedziałem mu o Santonixie.

- Hm, chyba gdzieś spotkałem to nazwisko. Może czytałem o nim w „House and Garden”.

Zauważyłem, że Santonix jest bardzo wziętym architektem.

- Chciałbym go kiedyś poznać - rzekł. - Nie wiem, co prawda, co miałbym mu do powiedzenia.

Nie jestem artystyczną duszą.

Zapytał jeszcze, kiedy moglibyśmy przyjść do nich na lunch.

- Zobaczymy, jak się państwu spodoba moja siedziba.

- To pewno stary dom? - spytałem.

- Zbudowany w 1720 roku. Piękna epoka. Oryginalny budynek pochodził z czasów elżbietańskich.

Gdzieś w 1700 roku został spalony i na tym samym miejscu postawiono nowy.

- I od tego czasu tam mieszkacie? - Nie miałem na myśli jego osobiście, ale zrozumiał mnie.

- Tak. Jesteśmy tu od czasów elżbietańskich. Raz na wozie, raz pod wozem. Różnie bywało.

Czasem dobrze, czasem źle. Sprzedawało się ziemię w złych okresach, kupowało z powrotem w pomyślnych. Chętnie państwu pokażę moje włości. - I zwrócił się do Ellie z uśmiechem. - Amerykanie lubią stare domy. Ale pan - dodał patrząc na mnie - zapewne nie będzie nim zachwycony.

- Nie ukrywam, że nie znam się na starociach.

Na tym się rozstaliśmy. W samochodzie czekał na majora spaniel. Samochód był to stary gruchot z odrapaną karoserią, ale ja potrafiłem już ocenić wiele rzeczy. Wiedziałem, że w tej okolicy Phillipot jest bogiem i że nas zaakceptował. To było widać. Ellie na pewno mu się podobała. Prawdopodobnie ja też, chociaż zauważyłem badawcze spojrzenia, które rzucał mi od czasu do czasu, jakby chciał wyrobić sobie błyskawiczny sąd o czymś, z czym się do tej pory nie zetknął.

Kiedy wszedłem do bawialni, Ellie ostrożnie wkładała odłamki szkła do kosza na śmiecie.

- Szkoda, że się stłukła - powiedziała z żalem. - Lubiłam tę popielniczkę.

- Kupimy inną, podobną. To była nowoczesna rzecz.

- Wiem. Czemuś się tak przestraszył, Mike? Zastanowiłem się.

- Phillipot przypomniał mi moją własną historię z dzieciństwa. Poszliśmy z kolegą na łyżwy na staw. Głupie szczeniaki, nie zdawaliśmy sobie sprawy, że lód jest słaby. Kolega wpadł do wody i utopił się, zanim ktoś zdążył mu przyjść z pomocą.

- To straszne!

- Tak. Zupełnie mi to wyleciało z pamięci, dopiero opowieść Phillipota o jego bracie przypomniała mi o tamtym wypadku.

- Wiesz, Mike, podobał mi się Phillipot. A tobie?

- Też, bardzo. Ciekaw jestem, jaka jest jego żona.

Poszliśmy do Phillpotów na lunch z początkiem następnego tygodnia. Mieszkali w starym domu w stylu georgiańskim. Dom, nie powiem, miał ładną linię, ale w sumie nic szczególnego. Wewnątrz wygodny, choć zaniedbany. Na ścianach w długiej jadalni wisiały portrety, jak mi się zdawało, przodków Phillpota. W większości brzydkie, chociaż, myślałem, wyglądałyby lepiej, gdyby je odkurzyć. Jeden z portretów, który mi się dość podobał, przedstawiał dziewczynę z jasnymi włosami w różowej satynowej sukni. Phillpot rzekł z uśmiechem:

- Wybrał pan jeden z najlepszych. Gainsborough, i to dobry. A ta dziewczyna swego czasu narobiła trochę szumu. Podejrzewano, że otruła swego męża. Może to uprzedzenie, była bowiem cudzoziemką. Gervase Phillpot spotkał ją gdzieś za granicą.

Phillpotowie zaprosili na lunch jeszcze kilku sąsiadów. Był tam doktor Shaw, uprzejmy starszy pan, wyraźnie zmęczony życiem, który pożegnał się przed zakończeniem przyjęcia. Był wikary, poważny młody człowiek. Była pewna despotyczna pani w średnim wieku, która prowadziła hodowlę psów rasy corgi. I wysoka, przystojna ciemnowłosa dziewczyna, Claudia Hardcastle; jej pasją były konie, ale miała na nie alergię, objawiającą się katarem siennym.

Claudia szybko dogadała się z Ellie. Ellie uwielbiała jeździć konno i też cierpiała na alergię.

- W Stanach miałam uczulenie na roślinę zwaną senecio - mówiła Ellie. - I na konie, ale tylko czasem. Teraz rzadko mam już z tym kłopoty. Są doskonale lekarstwa na wszelkiego rodzaju alergię. Dam ci kilka moich pomarańczowych kapsułek. Wystarczy wziąć lek przed jazdą i kończy się na jednym kichnięciu.

Claudia Hardcastle powiedziała, że doskonale, chętnie spróbuje.

- Wielbłądy działają na mnie jeszcze gorzej niż konie - opowiadała. - W zeszłym roku byłam w Egipcie. To było okropne. Łzy ciekły mi po twarzy, kiedy zwiedzałam piramidy.

Ellie dodała, że niektórzy mają uczulenie na koty.

- A inni na pierze - zauważyła Claudia. Rozmawiały dalej o różnych alergiach.

Ja siedziałem obok pani Phillpot. Była wysoka i wiotka, w przerwach sutego posiłku mówiła wyłącznie o swoim zdrowiu. Opowiedziała mi szczegółowo o wszystkich swoich dolegliwościach, o tym, że najwybitniejsi lekarze głowili się nad jej przypadkiem. Zboczyła z tematu, zahaczyła o kwestie towarzyskie. Zapytała mnie, co robię. Odpowiedziałem wymijająco. Próbowала, zresztą bez zapału, dowiedzieć się, kogo znam. Mogłem stwierdzić zgodnie z prawdą, że nikogo, wolałem to jednak przemilczeć, zwłaszcza że Phillpotowa nie była snobką i tak naprawdę ta sprawa jej nie interesowała. Pani „Corgi”, nie dosłyszałem jej nazwiska, była o wiele bardziej dociekliwa, ale zrećcznie zveksłowałem rozmowę na weterynarzy, krytykując ich bezwzględność i nieuctwo. W sumie było miło, spokojnie, chociaż trochę nudnawo.

Po lunchu spacerowaliśmy po ogrodzie. W pewnej chwili podeszła do mnie Claudia Hardcastle.

- Słyszałam o panu. Od mojego brata - odezwała się nagle.

Spojrzałem na nią zdumiony. Jakim cudem mogłem znać brata Claudii Hardcastle?

- Nie pomyliła mnie pani z kimś? Była wyraźnie ubawiona.

- Nie sądzę, skoro to on zbudował pana dom.

- Chce pani powiedzieć, że Santonix to pani brat?

- Brat przyrodni. Nie znamy się zbyt dobrze, rzadko się widzimy.

- Wspaniały człowiek.

- Wielu ludzi tak uważa.

- Pani nie?

- Nie jestem do końca przekonana. Zależy, z której strony na niego patrzeć. Był okres, kiedy się staczał... Ludzie trzymali się od niego z daleka. Potem się zmienił. Zaczął odnosić sukcesy. To było niesamowite. Zupełnie jakby... urwała szukając słowa - jakby poświęcił się bez reszty.

- Chyba ma pani rację. Tak właśnie jest. Spytałem ją, czy widziała nasz dom.

- Nie, wykończonego nie widziałam. Powiedziałem, że musi przyjść go obejrzeć.

- Uprzedzam pana, że nie będzie mi się podobał. Nie lubię nowoczesnej architektury. Uwielbiam styl królowej Anny.

Oświadczyła, że zamierza namówić Ellie na klub golfowy. Umówiły się też na wspólne przejażdżki konne. Ellie chciała kupić konia, co najmniej jednego. Claudia i Ellie wyraźnie przypadły sobie do serca.

Potem Phillipot oprowadzał mnie po stajniach. Rozmowa zesłała na Claudię.

- Jest znakomita w polowaniu konno z psami. Szkoda, że zmarnowała sobie życie.

- Naprawdę?

- Wyszła za męża za bogatego człowieka, grubo starszego od siebie, Amerykanina nazwiskiem Lloyd. Małżeństwo rozpadło się niemal natychmiast. Wróciła do swego panieńskiego nazwiska. Chyba już nigdy za nikogo nie wyjdzie. Jest wrogiem mężczyzn. Szkoda.

Kiedy jechaliśmy z powrotem do domu, Ellie odezwała się: - Nudno, ale sympatycznie. Mili ludzie. Czuję, że będziemy tu bardzo szczęśliwi.

- O tak! - odparłem, zdjąłem jedną rękę z kierownicy i położyłem na jej dłoni.

Ellie wysiadła przed domem, a ja pojechałem odstawić samochód do garażu.

Kiedy wracałem, usłyszałem z daleka słabe pobrzękiwanie gitary, Ellie miała piękną hiszpańską gitarę, która kosztowała na pewno majątek. Grywała na niej, śpiewając swym niskim, miękkim głosem, miłym dla ucha. Większości piosenek nie znałem. Czasem były to chyba religijne pieśni Murzynów amerykańskich, czasem irlandzkie lub szkockie ballady, sentymentalne i smutne. Nie muzyka pop, nic z tych rzeczy. Myślę, że zwykle ludowe piosenki.

Wszedłem na taras i stanąłem przy oknie.

Ellie śpiewała jedną z moich ulubionych piosenek. Nie wiem, jak się ona nazywa. Nuciała cicho słowa jakby do siebie, pochylona nad gitarą, delikatnie uderzając w struny. Dobywała tonów słodkich i smutnych, rozbrzmiewała przejmująca melodia.

Dla radowania się i bólu

Człowiek urodził się na ziemi.

Jeśli to rozumiemy dobrze,

Bezpiecznie przez ten świat idziemy.

Każdego ranka, każdej nocy

Dla męki ktoś na świat przychodzi.

Każdego ranka, każdej nocy

Dla szczęśliwości ktoś się rodzi.

Jedni się rodzą dla radości,

Inni dla nocy i ciemności

Uniosła głowę i zobaczyła mnie.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz, Mike?

- Jak?

- Jakbyś mnie kochał.

- Bo cię kocham. Dlatego tak patrzę.

- A o czym myślałeś?

Odparłem powoli zgodnie z prawdą:

- Myślałem o tym, jak cię po raz pierwszy zobaczyłem stojącą w cieniu jodły. Przypomniałem sobie też nasze pierwsze spotkanie, zaskoczenie i radość.

Ellie uśmiechnęła się czule po czym znowu zanuciła cichutko:

Każdego ranka, każdej nocy

Dla szczęśliwości ktoś się rodzi.

Jedni się rodzą dla radości,

Inni dla nocy i ciemności.

Człowiek nie dostrzega ważnych chwil w życiu, rozumie to dopiero wtedy, kiedy jest już za późno.

Taką chwilą był dzień, kiedy byliśmy u Phillpotów na lunchu i wróciliśmy szczęśliwi do domu. Wtedy tego nie wiedziałem, zrozumiałem to dopiero później.

- Zaśpiewaj piosenkę o łątce - poprosiłem.

Rozległa się wesola taneczna melodia, Ellie śpiewała:

Twoją zabawę,

Łątko maleńka,

Ma nieostrożna

Zniszczyła ręką.

Lecz przecież jestem

Podobny tobie.

Czymże się różni

Od łątki człowiek?

Ja także tańczę.

Śpiew na mych wargach.

Aż ślepa ręka

Me życie starga.

Jeżeli życiem

Myśl jest i tchnieniem,

Jeśli brak myśli

Jest śmierci cieniem,

To łątką jestem

Szczęśliwą teraz –

Teraz, gdy żyję –

I gdy umieram.

Och, Ellie, Ellie...

XV

Dziwne, jak wszystko na tym świecie układa się inaczej, niż człowiek się spodziewa.

Przeprowadziliśmy się na wieś, mieszkaliśmy w naszym nowym domu, uciekliśmy przed ludźmi, czyli było tak, jak to sobie zaplanowałem. Tyle tylko że oczywiście przed pewnymi ludźmi nie dało się uciec, napierano na nas zza oceanu, z innych miejsc.

Przede wszystkim ta przekłeta macocha. Słała listy i telegramy prosząc, żeby Ellie udała się do agentów nieruchomości. Tak ją zachwyciło Cygańskie Gniazdo, że zapragnęła mieć własny dom w Anglii. Pisała, że marzyłaby o spędzeniu rokrocznie kilku miesięcy w Anglii. Po ostatnim telegramie zjechała do nas, kazała się obwozić po okolicy, miała mnóstwo posiadłości na widoku. Wreszcie wybrała jeden dom. Zaledwie piętnaście mil od nas. Nie chcieliśmy mieć jej pod bokiem, wzdraliśmy się na samą myśl o tym, ale jakże jej to powiedzieć? Zresztą i tak nie powstrzymalibyśmy jej od kupna, gdyby się uparła. Nie mogliśmy też zabronić jej tam jeździć. To była ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzyła Ellie. Wiedziałem o tym. Cora czekała zatem na wyrys geometry. Tymczasem nadeszły telegramy.

Wuj Frank znów chyba zaplątał się w jakąś historię. Kanty, oszustwa, słowem, potrzebna była duża suma, żeby się z tego wykaraskał. Ellie i Lippincott wymieniali depesze. A potem okazało się, że są jakieś nieporozumienia między Lippincottem i Stanfordem Lloydem. Pokłócili się o inwestycje majątku Ellie. Byłem naiwny i głupi, trwając w przekonaniu, że z Ameryki jest do nas kawał drogi. Dla rodziny Ellie i jej doradców było pestką wskoczyć w samolot i obrócić ze Stanów do Anglii i z powrotem w dwadzieścia cztery godziny. Najpierw przyjechał i wyjechał Stanford Lloyd, potem zjawił się Andrew Lippincott. Ellie musiała spotykać się z nim w Londynie. Nie mogłem się połapać w tych całych finansach. Zdaje mi się, że bardzo uważali na każde słowo, bo chodziło o wielkie pieniądze. Rzucano wzajemne oskarżenia: a to że Lippincott odwlókł całą sprawę, a to że Stanford Lloyd przetrzymał jakieś dokumenty.

W przerwie między tymi kłopotami odkryliśmy z Ellie Zakątek Fantazji. Nie spenetrowaliśmy jeszcze naszej posesji od końca do końca, zaledwie tereny wokół domu. Lubiliśmy chodzić leśnymi traktami, odkrywać, dokąd prowadzą. Raz ruszyliśmy ścieżką tak zarośniętą, że trudno ją było dojrzeć wśród chaszczy. Szliśmy jej szlakiem, aż natrafiliśmy na miejsce, które Ellie nazwała Zakątkiem Fantazji. Był to śmieszny mały budynek, wyglądający jak maleńka świątynia. W niezłym stanie. Uprzątnęliśmy go, pomalowaliśmy, ustawiliśmy stół, krzesła, tapczan, kredensik. Przynieśliśmy porcelanę, kieliszki, wino. Zabawa na sto dwa! Ellie zaproponowała, żeby wykarczować zarośniętą ścieżkę, ale ja się nie zgodziłem. Uważałem, że będzie wspaniale, jeśli tylko my będziemy wiedzieli o jej istnieniu. Ellie stwierdziła, że to bardzo romantyczne.

- A już na pewno nic nie powiemy Corze - rzekłem, a Ellie przytaknęła.

Wypadek zdarzył się, kiedy schodziliśmy naszą ścieżką w dół, ale nie za pierwszym razem, później, gdy Cora już wyjechała i mieliśmy nadzieję na spokojne życie we dwoje. Ellie schodziła pierwsza podskakując, raptem potknęła się o korzeń, przewróciła i skręciła nogę w kostce.

Wezwaliśmy doktora Shawa. Stwierdził silne skręcenie, ale za tydzień, powiedział, wszystko będzie dobrze. Wtedy Ellie wezwała Gretę. Nie mogłem się nie zgodzić. Nie było nikogo, kto by się nią porządnie zaopiekował, potrzebowała kobiecej troski. Nasze służące były do niczego, zresztą Ellie chciała mieć przy sobie Gretę. No i Greta przyjechała.

Dla Ellie było to błogosławieństwem. Dla mnie, przyznam, też, w tym stanie rzeczy. Greta od razu wszystko zorganizowała, dom funkcjonował jak w zegarku. Służba zresztą złożyła wymówienia. Powiedzieli nam, że nie chcą żyć na takim odludziu, ale podejrzewam, że tak naprawdę zostali podburzeni przez Corę. Greta dała ogłoszenie i niemal natychmiast zgłosiła się nowa para. Greta doglądała Ellie, zabawiała ją, przynosiła jej ulubione rzeczy, owoce czy jeszcze coś innego, o czym ja nie miałem zielonego pojęcia. Co tu dużo gadać, było im ze sobą cholernie dobrze. Ellie nie mogła się nacieszyć, że ma przy sobie Gretę. I jakoś tak się stało, że Greta nie wyjechała... Została. Ellie

powiedziała do mnie:

- Nie będziesz zły, Mike, jeśli Greta zostanie u nas na troszkę?

- Nie. Skądże.

- Jest dla mnie wielką pociechą. Mamy tyle naszych babskich spraw. Brakuje mi na co dzień babskiego towarzystwa.

Zauważyłem, że Greta z dnia na dzień zachowuje się coraz śmieiej, wydaje coraz więcej poleceń, powoli przejmuje ster. Udawałem, że jestem zadowolony, ale któregoś dnia, kiedy Ellie leżała z unieruchomioną nogą w bawialni, między mną i Greta doszło do kłótni. Byliśmy na tarasie. Nie pamiętam, o co poszło. Greta powiedziała coś, co mnie rozzłościło, ja zaś gwałtownie odparowałem. I poleciało, ząb za ząb. Coraz głośniej. Napadła na mnie, wykrzykiwała ostre, nieprzyjemne słowa, a ja nie pozostawałem jej dłużny. Wrzeszczałem, że jest despotyczną, wtrącającą się do wszystkiego babą, że podporządkowała sobie Ellie, że nie pozwolę na to, aby ktoś owinął sobie Ellie wokół palca. Wymyślaliśmy i złorzeczyli na cały głos. Nagle na taras weszła kuśtykając Ellie. Chwilę wodziła wzrokiem od Grety do mnie. Wreszcie odezwała się:

- Och, jakże mi przykro, kochanie. Odprowadziłem Ellie do bawialni, ułożyłem ją na kanapie.

- Mój Boże, nie wiedziałam. Nie miałam najmniejszego pojęcia, że ty... że tak cię drażni obecność Grety - wykrztusiła Ellie.

Staralem się ją uspokoić, prosiłem, żeby nie przywiązywała do tego żadnej wagi, tłumaczyłem, że straciłem panowanie nad sobą, że bywam porywczy. Zdenerwowałem się, bo Greta za bardzo się rządzi. W końcu może to i naturalne, do tego przecież przywykła. Wreszcie powiedziałem, że naprawdę bardzo lubię Gretę, poniosło mnie dlatego, że byłem w kiepskim humorze. Zdenerwowany. Skończyło się na tym, że musiałem ubłagać Gretę, żeby została.

To była kłótnia na całego. Z pewnością nie tylko Ellie o niej wiedziała. Nasz służący i jego żona musieli coś słyszeć. Kiedy wpadam w złość, wrzeszczę. Taki już jestem. Nie ma co mówić, przeholowałem.

Greta podkreślała teraz stale, jak bardzo troszczy się o zdrowie Ellie. Twierdziła, że Ellie nie powinna robić tego czy tamtego - Nie jest silna - powiedziała do mnie.

- Ellie nic nie brakuje - protestowałem - czuje się zawsze świetnie.

- Nieprawda, Mike. Jest wątła.

Kiedy doktor Shaw obejrzał przy kolejnej wizycie kostkę, stwierdził, że wszystko w porządku, wystarczy zabandażować nogę przed spacerem po wyboistym terenie. Spytałem go, zresztą dość głupio, jak to mężczyzna w takich razach:

- Panie doktorze, czy żona jest wątła lub coś takiego?

- Kto to panu powiedział?

Doktor Shaw należał do rzadkich już okazów lekarzy domowych i zwano go powszechnie „Shaw Lecz Się Sam”.

- Nie ma powodu do takich przypuszczeń - mówił dalej Shaw. - Każdy może skręcić nogę w kostce.

- Nie chodzi mi o nogę. Zastanawiałem się, czy ona nie ma na przykład jakiejś wady serca.

Shaw spojrział na mnie sponad okularów.

- Niech pan sobie niczego nie roi, młody człowieku. Co panu przychodzi do głowy? Nie wygląda pan na takiego, któremu dolegliwości kobiet spędzają sen z powiek.

- Powtarzam to, co powiedziała Greta Andersen.

- Ach, panna Andersen. Cóż ona wie na ten temat? Ma jakieś wykształcenie medyczne?

- Nie, skąd.

- Pana żona jest bardzo zamożna. W każdym razie takie krążą pogłoski. Co prawda niektórzy ludzie są przekonani, że wszyscy Amerykanie są bogaci.

- Ellie jest bogata.

- Musi pan o tym pamiętać. Bogate kobiety rzeczywiście mają różne kłopoty. Lekarze zawsze przepisują im nie te, to inne proszki, pigułki, środki pobudzające, uspokajające, całą aptekę leków, które im bardziej szkodzą, niż pomagają. Kobiety wiejskie są o wiele zdrowsze, bo nikt się nad nimi nie trzęsie.

- Ellie bierze jakieś proszki.

- Zbadam ją, jeśli pan chce. Przy okazji sprawdzę, co za paskudztwa jej przepisano. Wie pan, co mówię pacjentom? „Proszę to wszystko wrzucić do kosza”.

Przed wyjściem rozmawiał z Gretą.

- Pan Rogers poprosił mnie o zbadanie żony. Nie stwierdziłem żadnych dolegliwości. Myślę, że dobrze jej zrobi ruch na świeżym powietrzu. Bierze jakieś lekarstwa?

- Zażywa czasem tabletki, kiedy jest zmęczona albo nie może zasnąć.

Greta pokazała doktorowi recepty Ellie. Ellie uśmiechnęła się lekko.

- Nie biorę tych lekarstw, panie doktorze. Tylko kapsułki antyuczuleniowe.

Shaw obejrzał kapsułki, przeczytał receptę i stwierdził, że są nieszkodliwe. Potem wziął receptę na środki nasenne.

- Kłopoty ze snaniem? - spytał.

- Skończyły się, odkąd zamieszkałam na wsi. Chyba nie zażyłam tutaj ani jednej tabletki.

- To dobrze - pochwalił doktor i poklepał ją po ramieniu.

- Wszystko z panią w porządku. Poza tym, że ma pani pewne skłonności do martwienia się. Te kapsułki to łagodny środek. Wiele osób je dzisiaj zażywa, bez szkody dla zdrowia. Niech je pani bierze, proszę tylko odstawić tabletki nasenne.

- Nie wiem, co mi przyszło do głowy - rzekłem pokornie.

- Wszystko przez Gretę.

- Och! - zaśmiała się Ellie. - Jeśli chodzi o mnie, Greta robi z igły widły. Sama nie bierze żadnych lekarstw. Chodź, Mike, przejrzymy moją apteczkę i dużo rzeczy powyrzucamy.

Ellie zaprzyjaźniła się teraz na dobre z sąsiadami. Wpadała do nas często Claudia Hardcastle i razem z Ellie jeździły od czasu do czasu na konne wycieczki. Ja nie jeździłem konno, przez całe życie miałem do czynienia z samochodami, przedmiotami mechanicznymi. Na koniach znałem się tyle co nic, chociaż co prawda kiedyś przez tydzień czy dwa sprzątałem stajnie w Irlandii. Postanowiłem jednak, że przy okazji zapiszę się w Londynie do eleganckiej szkółki jeździeckiej i nauczę się porządnie jeździć konno. Tutaj nie chciałem stawiać pierwszych kroków. Ludzie pewno by się ze mnie śmiali. Ellie jazda konna chyba służyła. Wyraźnie sprawiała jej radość.

Greta zachęcała ją do tych przejażdżek, choć sama nie miała pojęcia o koniach.

Ellie i Claudia pojechały na aukcję i wybrały konia dla Ellie. Kasztana imieniem Zdobywca. Prosiłem Ellie, żeby uważała, kiedy jeździ sama. Śmiała się tylko ze mnie.

- Jestem obeznana z siodłem od trzeciego roku życia, Mike.

Jeździła więc konno dwa, trzy razy w tygodniu. Greta brała wtedy samochód i robiła zakupy w Market Chadwell. Kiedyś przy lunchu Greta oznajmiła:

- Ci twoi Cyganie, niech ich licho! Spotkałam dziś okropną staruchę. Stała na środku drogi. O mały włos na tę babę nie wpadłam. Jechałam wprost na nią. Zahamowałam jadąc pod górę.

- Czego chciała?

Ellie przysłuchiwała się, ale nie odezwała się słowem. Wydawało mi się, że jest zmartwiona.

- Bezczelne babsko! Groziła mi!

- Groziła? - spytałem ostro.

- Tak. Mówiła, że mam się wynosić. „To ziemia Cyganów - powiedziała. - Wynoś się. Wszyscy się wynoście. Tam, skądżeście przyszli. Inaczej biada wam”. I pogroziła mi pięścią. „Uważajcie, żebym was nie wyklęła. Wtedy nigdy nie zaznacie szczęścia. Kupiliście naszą ziemię i na naszej ziemi postawiliście dom. Nie chcemy domów tam, gdzie powinno stanąć cygańskie obozowisko”. - I Greta ciągnęła dalej opowieść w tym stylu.

Później, kiedy byliśmy sami, Ellie spytała mnie zaszepiona:

- To zupełnie nieprawdopodobne, nie uważasz, Mike?

- Chyba Greta trochę przesadziła.

- Nie wiem, coś mi tu nie pasuje. Może po prostu fantazjowała.

Zastanowiłem się.

- Dlaczego miałyby fantazjować? - I dodałem dobitnie. - A ty nie widziałaś ostatnio Esther? Na przykład kiedy jeździłaś konno?

- Tej Cyganki? Nie.

- Mówisz tak, jakbyś nie była pewna.

- Być może mignęła mi raz czy drugi. Wydawało mi się, że spogląda na mnie zza drzewa, ale to nic pewnego, była za daleko.

Przyszedł jednak dzień, kiedy Ellie wróciła z przejażdżki blada jak papier i roztrzęsiona. Stara wylazła na nią zza drzew. Ellie ściągnęła cugle, zatrzymała się, Cyganka wygrażała jej pięścią, złorzeczyła pod nosem.

- Byłam zła - mówiła Ellie. - Powiedziałam jej: „Czego pani chce? Ziemia nie należy do pani. Jest nasza i dom jest nasz”. A stara: „Nigdy ta ziemia wasza nie będzie, nigdy jej nie posiadasz, zapamiętaj. Ostrzegłam cię raz, ostrzegam teraz po raz drugi, po raz trzeci tego nie zrobię. To już długo nie potrwa. Wiem o tym. Widzę śmierć. Tam, za twoim lewym ramieniem. Śmierć jest przy tobie, śmierć cię dosięgnie. Twój koń ma jedną białą nogę. Nie wiesz, że to przynosi nieszczęście? Widzę śmierć. Widzę, jak wasz wielki dom rozpada się w gruzy”.

- Trzeba wreszcie z tym skończyć - powiedziałem ze złością.

Tym razem Ellie mnie nie wyśmiała. I ona, i Greta wyglądały na przybite. Natychmiast wyruszyłem do miasteczka. Poszedłem prosto do starej Lee. Dom był ciemny. Chwilę się wahałem, po czym udałem się na policję. Zastałem sierżanta Keene'a. Znałem go. Solidny, rozsądny człowiek. Wysłuchał mnie, po czym rzekł:

- Przykro mi, że mieli państwo takie przejścia. Jest już bardzo stara i może być trudna. Przyznam, że do tej pory nie było z tą kobietą większych kłopotów. Pomówię z nią, powinna się uspokoić.

- Będę panu wdzięczny. Zawahał się i dodał:

- Wie pan, nie lubię doszukiwać się problemów, ale niech się pan zastanowi, czy któryś z sąsiadów mógłby żywić do kogoś z państwa urazę, nawet z błahego powodu.

- Zupełnie niewiarygodne. Skąd to panu przyszło do głowy?

- Starej Lee spłynęła ostatnio jakaś gotówka, nie wiem skąd.

- I co z tego wynika, pana zdaniem?

- Może ktoś ją opląca, ktoś, kto chce się was pozbyć. Tak już raz było, wiele lat temu. Przekupiono ją, żeby wykurzyła stąd pewnego sąsiada. Te same sztuczki: groźby... ostrzeżenia... klątwy... Ludzie na wsi są przesądni. Co wieś, to czarownica. Esther została wtedy przywołana do porządku i więcej to się nie powtórzyło. Ale kto wie? Kocha pieniądze, jak to Cyganka, i dla pieniędzy jest gotowa na wszystko.

Odrzuciłem jednak jego przypuszczenia. Byliśmy nietutejsi, nie zdążyliśmy narobić sobie wrogów, tłumaczyłem sierżantowi.

Wracałem do domu zasepiony, zagubiony. Kiedy wszedłem na taras, usłyszałem słaby dźwięk gitary i zobaczyłem wysoką sylwetkę. Jakiś człowiek zaglądał przez szybę do środka. Po chwili odwrócił się i ruszył w moją stronę. Przez moment myślałem, że ta postać to nasza Cyganka. Po chwili z ulgą rozpoznałem Santonixa.

- Och! To ty! - zawołałem zdyszany. - Skąd się wzięłeś? Nie odzywałeś się sto lat.

Nie odpowiedział, tylko chwycił mnie za ramię i odciągnął od okna. Po chwili odezwał się:

- Ona tu jest! Nic dziwnego. Wiedziałem, że się zjawi, prędzej czy później. Dlaczego do tego dopuściłeś? Jest niebezpieczna! Chyba zdajesz sobie sprawę.

- Ellie?!

- Nie, nie Ellie. Ta druga. Jak jej tam? Greta! Gapiłem się na niego.

- Wiesz, jaka jest Greta. A zatem przyjechała! Objęła rządy. Nie pozbędziecie się jej. Przyjechała po to, żeby zostać.

- Ellie skreśliła nogę w kostce - tłumaczyłem. - Greta się nią opiekowała. Myślę... że niedługo wyjedzie.

- Nie licz na to! Od początku miała zamiar zostać. Wiedziałem o tym. Przejrzałem ją na wylot, kiedy się tu zjawiała przed zakończeniem budowy.

- Ellie wyraźnie chce, żeby ona została - mruknąłem.

- Oczywiście. Były razem dość długo. Greta dobrze wie, jak sterować Ellie.

To samo mówił Lippincott. Sam się przekonałem później, ile w tym było prawdy.

- A ty, Mike, chcesz, żeby została?

- Przecież jej nie wyrzucę! - zirytowałem się. - To przyjaciółka Ellie. Od serca. Co, u diabła, mogę na to poradzić?

- Nic. Przypuszczam, że nic. Prawda, Mike?

I spojrział na mnie. Dziwnym spojrzeniem. W ogóle Santonix był dziwny. Nigdy nie było jasne, co chce powiedzieć.

- Czy wiesz, dokąd zmierzasz, Mike? Masz jakieś rozeznanie? Czasami wydaje mi się, że nie masz o tym bladego pojęcia.

- Oczywiście że wiem. Robię to, co chcę. Idę tam, dokąd chciałem iść.

- Czy aby na pewno? Mam wątpliwości. Naprawdę wiesz, czego chcesz, Mike? Boję się Greta. Jest silniejsza od ciebie.

- Skąd ty to wszystko wiesz? Poza tym to nie jest kwestia siły.

- Naprawdę? Myślę, że jest. Greta to twarda sztuka, zawsze dopnie swego. Nie chcesz, żeby tu siedziała. Sam to powiedziałeś. A ona siedzi. Obserwowałem je. Jak sobie gawędzą, takie zadowolone, zżyte. A ty co, Mike? Obcy?

- O czym ty mówisz? Jaki obcy? Jestem mężem Ellie, tak czy nie?

- Ty jesteś mężem Ellie czy Ellie jest twoją żoną?

- Zwariowałaś! Co za różnica?

Westchnął. Nagle ramiona mu opadły, jakby uleciała z nich cała energia.

- Nie mogę do ciebie trafić. Sprawić, żebyś mnie usłyszał, zrozumiał. Czasami myślę, że coś do ciebie dociera, czasami, że nic nie rozumiesz, nie rozumiesz ani siebie, ani innych.

- Słuchaj, Santonix. Wiele zniosę od ciebie. Jesteś wspaniałym architektem, ale...

Twarz mu się zmieniła, przybrała dziwny wyraz.

- Tak. Jestem dobrym architektem. Ten dom to najlepsza rzecz, jaką zrobiłem. Prawie, prawie mnie zadowala. Dom, jakiego chciałeś. Jakiego chciała Ellie. Żeby w nim z tobą mieszkać. Dostaliście go, ona i ty. Odeślij stąd tę kobietę, Mike, odeślij, zanim będzie za późno.

- Nie mogę robić przykrości Ellie.

- Tańczysz, jak ci tamta zagra.

- Posłuchaj. Nie lubię Grety. Denerwuje mnie. Wczoraj pozarliśmy się. Ale to wszystko nie jest takie proste, jak myślisz.

- Z nią na pewno nie jest proste.

- Coś w tym jednak jest, w tej nazwie. W tej kłątwie - powiedziałem ze złością. - Cyganie wyskakują na nas zza krzaków, wygrażają nam pięściami, krzyczą, że biada nam, jeśli się stąd nie wyniesiemy. Takie miejsce! Ma wszelkie dane po temu, żeby było dobre i piękne.

Dziwne były te ostatnie słowa; jakby wypowiedział je ktoś inny, nie ja.

- Tak, ma wszelkie dane - powtórzył za mną Santonix. - Tak być powinno, ale być nie może. Złe moce na to nie pozwolą.

- Przecież nie wierzysz chyba...

- Wierzę w różne niezwykle rzeczy... Wiem coś niecoś o złych mocach. Naprawdę nigdy nie wyczułem, że ja sam mam w sobie coś ze złego ducha? Tak było ze mną zawsze. Dlatego wiem, kiedy moce są blisko, chociaż nie zawsze potrafię dokładnie je umiejscowić... Pragnę, żeby dom, który zbudowałem, był wolny od zła. Rozumiesz? - W jego głosie zabrzmiała groźba. - Rozumiesz? To dla mnie ważne.

Nagle zmienił ton.

- Dajmy temu spokój. Zostawmy te bzdury. Chodźmy do Ellie.

Weszliśmy przez oszklone drzwi do bawialni. Ellie ogromnie się ucieszyła na widok Santonixa.

Santonix przez cały wieczór zachowywał się normalnie. Skończył z komedianctwem, był sobą, uroczy, na luzie. Zajmował się głównie Gretą, ją przede wszystkim czarował. A potrafił czarować, jeśli chciał. Można by przysiąc, że jest pod urokiem Grety, że ona mu się podoba i że on chce się jej podobać. To tylko świadczyło o tym, co to za niebezpieczny człowiek. Jeszcze niejednego mogłem się o nim dowiedzieć.

Greta była czuła nad podziw. Po prostu kwitła. Potrafiła zależnie od okazji albo przytłumić swoją urodę, albo ją podkreślić. Tego wieczoru była piękna jak nigdy. Uśmiechała się do Santonixa, wsłuchiwała w jego słowa jak zaklęta. Zastanawiałem się, co się kryje za jego zachowaniem. Z Santonixem nic nigdy nie wiadomo. Ellie zaproponowała mu, żeby został u nas kilka dni, ale on pokręcił głową. Musiał jechać nazajutrz.

- Pracujesz nad czymś? Bardzo jesteś zajęty? Odparł, że nie, że właśnie wyszedł ze szpitala.

- Jeszcze mnie sklecili. Ale to chyba już ostatni raz.

- Sklecili? Co tam z tobą robią?

- Wyciągają mi zepsutą krew i wstrzykują dobrą, świeżą i czerwoną.

- Och! - Ellie wstrząsnęła się lekko.

- Nie martw się, dziecino. Tobie to nie grozi.

- Ale dlaczego właśnie ciebie to spotkało? To okrutne.

- Nie, wcale nie okrutne. Słyszałem, jak śpiewałaś:

Dla radowania się i bólu

Człowiek urodził się na ziemi.

Jeśli to rozumiemy dobrze,

Bezpiecznie przez ten świat idziemy.

Ja idę bezpiecznie, bo wiem, po co tu jestem. A to o tobie, Ellie:

Każdego ranka, każdej nocy

Dla szczęśliwości ktoś się rodzi.

To właśnie o tobie.

- Chciałabym czuć się bezpiecznie - westchnęła Ellie.

- A nie czujesz się?

- Nie chcę, żeby mi grozono. Nie chcę, żeby rzucono na mnie klątwy.

- Mówisz o tej Cygance?

- Tak.

- Zapomnij o niej. Dziś wieczór zapomnij. Radujmy się. - Wzniósł kieliszek. - Twoje zdrowie,

Ellie! Sto lat! I za mnie, za szybki, miłosierny koniec. I za Mike'a, za jego powodzenie! - Po chwili zwrócił się ku Grecie.

- I za mnie? - spytała Greta.

- I za panią... Za to, co panią czeka. Może sukces? - spytał zagadkowo, z ironią w głosie.

Nazajutrz rano Santonix wyjechał.

- Przedziwny człowiek - pokręciła głową Ellie. - Trudno go zrozumieć.

- Ja nie rozumiem połowy z tego, co mówi - stwierdziłem.

- On wie różne rzeczy - rzekła Ellie z namysłem.

- Zna przyszłość, twoim zdaniem?

- Nie, nie to miałam na myśli. Zna ludzi. Kiedyś rozmawialiśmy już o tym. Zna ludzi lepiej, niż oni znają samych siebie. Dlatego czasem ich nienawidzi, czasem się nad nimi lituje. - I dodała w zadumie: - Nade mną się jednak nie lituje.

- Dlaczego miałby się litować?

- Och, bo... - zaczęła Ellie.

XVI

Było to nazajutrz po południu. Szedłem szybkim krokiem przez las, kiedy raptem, w największym gąszczu, tam gdzie cieniste sosny budziły szczególną grozę, ujrzałem na drodze wysoką kobietę sylwetkę. Instynktownie cofnąłem się ze ścieżki. W pierwszej chwili pomyślałem o Cygance. Nagle wzdrygnąłem się, rozpoznałem kobietę: moja matka! To ona tam stała, wysoka, siwa, groźna.

- O, Boże! - zawołałem. - Przestraszyłaś mnie, mamó. Co ty tu robisz? Przyjechałaś do nas? Tyle razy cię zapraszaliśmy.

Nieprawda. Tylko raz pisałem, żeby przyjechała, zdawkowo, co z góry wykluczało przyjęcie zaproszenia. Nie chciałem jej tu widzieć. Ani teraz, ani nigdy.

- Masz rację. Wreszcie przyjechałam. Zobaczyć, czy wszystko u was w porządku. Więc tak

wygląda wasz wspaniały dom. Prawdziwe cacko - rzekła, patrząc mi przez ramię.

W jej głosie odczytałem dezaprobatę, wyczułem cierpką nutę, czego się zresztą spodziewałem.

- Za wysokie progi na lisie nogi, co?

- Tego nie powiedziałam, chłopcze.

- Ale pomyślałaś.

- Nie urodziłeś się do takich pałaców. Człowiek ma swoje miejsce w życiu. Nie powinien pchać się tam, gdzie go nie brakuje.

- Trele morele. Gdyby słuchać ciebie, człowiek by nigdy do niczego nie doszedł.

- Znam tę twoją śpiewkę. Puste słowa. Przerost ambicji nic dobrego nie wróży.

- Na litość boską, przestań krakać. Chodź. Obejrzyj dom na własne oczy, zobaczymy, czy nie zmienisz zdania. Poznasz też moja wspaniałą żonę, ale spróbuj mi tylko kręcić na nią nosem.

- Poznałam już twoją żonę, Mike.

- Jak to? - wykrzyknąłem.

- Więc nic ci nie mówiła?

- Niby o czym?

- Że była u mnie.

- Pojechała do ciebie?

Był to grom z jasnego nieba.

- Tak. Któregoś dnia zapukała do drzwi. Stała na progu lekko wystraszona. Pod tymi wytwornymi ciuszkami kryje się miłe, dobre dziecko. Spytała: „Pani jest matką Mike’a?” „Tak - odparłam. - A kim pani jest?” „Jego żoną - odpowiedziała. I dodała: - Przyjechałam panią odwiedzić. Powinnam poznać swoją teściową”. A ja: „Założę się, że on tego nie chciał”. Zawahała się. Powiedziałam jeszcze: „Może pani śmiało mówić. Znam swojego syna, wiem dobrze, czego chce, a czego nie chce”. A ona na to: „Może pani myśli, że on się wstydzi, że jesteście biedni, ale to nieprawda. Mike nie jest taki. Nie. Niech mi pani wierzy”. Powiedziałam: „Niech go pani nie tłumaczy, moje dziecko. Znam wady mojego syna. Tej akurat nie ma. Nie wstydzi się matki, nie wstydzi się swoich początków. Nie wstydzi się mnie - mówiłam - ale się mnie boi. Widzi pani, znam go jak zły szeląg”. To ją wyraźnie ubawiło. Powiedziała: „Chyba wszystkie matki uważają, że nikt nie zna lepiej ich synów. A synowie z kolei mają to matkom za złe”. Odparłam, że jest w tym pewno jakaś prawda, bo jak jest się młodym, zawsze coś się odgrywa przed ludźmi. Kiedy byłam mała, mieszkałam u ciotki. Nad moim łóżkiem wisiał obraz w poślacanej ramie: wielkie oko z napisem: „Bóg mnie widzi”. Pamiętam, że przebiegały mi ciarki po całym ciele, kiedy szłam spać.

- Ellie powinna mi była wszystko opowiedzieć! - zawołałem. - Nie wiem dlaczego zrobiła z tego tajemnicę. Co jej strzeliło do głowy?

Byłem zły. Bardzo zły. Nie przypuszczałem, że Ellie może mnie tak wykołować.

- Pewno się trochę bała. Niepotrzebnie. Kogo tu się bać?

- Chodźmy już. Zobaczą nasz dom.

Nie wiem, czy dom podobał się jej, czy nie. Chyba nie. Obchodziła pokoje unosząc brwi. Na koniec weszliśmy do bawialni, gdzie siedziały Ellie i Greta. Wróciły właśnie ze spaceru, Greta miała jeszcze narzucony na ramiona purpurowy wełniany płaszcz. Matka wodziła spojrzeniem od jednej do drugiej. Stała chwilę jak zamurowana. Ellie zerwała się i podbiegła do niej.

- Och, pani Rogers! - zawołała i zwróciła się do Grety: - Przyjechała matka Mike’a. Co za miła niespodzianka! Pozwól, Greto. To moja przyjaciółka Greta Andersen.

Wzięła matkę za obie ręce. Mama spojrzała na nią, po czym utkwiała twardy wzrok w Grecie.

- Więc to tak - mruknęła pod nosem. - Rozumiem.

- Słucham? - spytała Ellie.

- Byłam ciekawa, jak to wszystko wygląda. - Rozejrzała się. - Taki ładny dom. Piękne zasłony, meble, obrazy.

- Może herbaty? - zaproponowała Ellie.

- Piłyście już chyba herbatę.

- Herbatę można pić zawsze. - Po czym Ellie zwróciła się do Greta: - Nie będę dzwonić na służbę. Greto, czy mogłabyś pójść do kuchni po świeżą esencję?

- Oczywiście, kochanie. - I Greta wyszła z pokoju. Rzuciła matce przez ramię ostre, niemal bojaźliwe spojrzenie.

Mama usiadła.

- Gdzie pani rzeczy? - zapytała Ellie. - Mam nadzieję, że zostanie pani u nas?

- Nie, nie zostanę. Za pół godziny mam pociąg. Chciałam tylko zobaczyć, jak wam się żyje. - I szybko dodała, jakby chciała wyrzucić to z siebie, zanim zjawi się Greta: - Nie martw się, już mu powiedziałam, że byłaś u mnie.

- Przepraszam, Mike - rzekła mocnym głosem Ellie. - Ale pomyślałam sobie, że lepiej będzie nic ci nie mówić.

- Przyjechała z dobroci serca - wtrąciła matka. - Trafiła ci się dobra dziewczyna. I ładna. Nawet bardzo. - I dodała prawie szeptem: - Przykro mi.

- Przykro pani? - spytała Ellie zaskoczona.

- Tak. Bo różne rzeczy sobie myślałam. - W jej głosie drgało lekkie napięcie. - Cóż, sama mówiłaś, że matki już takie są. Nieufne wobec synowych. Ale kiedy cię zobaczyłam, od razu wiedziałam, że Mike ma szczęście. Wydawało mi się, że to za piękne, żeby było prawdziwe.

- Nie obrażaj mnie! - zawołałem, ale wreszcie się do niej uśmiechnąłem. - Zawsze miałem doskonały gust.

- Chciałeś powiedzieć, że miałeś zawsze kosztowny gust. - Matka spojrzała na brokatowe zasłony.

- Jak na kogoś, kto ma kosztowny gust, wybrał chyba nie najgorzej - zaśmiała się Ellie.

- Każ mu trochę oszczędzać od czasu do czasu. Niech ćwiczy charakter.

- Odmawiam. Nie zamierzam się zmieniać na lepsze. Posiadanie żony ma jeden wielki plus: żona uważa, że wszystko, co człowiek robi, jest doskonałe. Prawda, Ellie?

Ellie znowu wyglądała na szczęśliwą.

- Co za próżność! Przechodzisz sam siebie, Mike - powiedziała ze śmiechem.

Przyszła Greta z imbrykiem. Od razu wróciło napięcie, które pod jej nieobecność opadło. Matka opierała się namowom Ellie, żeby u nas zostać. Ellie koniec końców zrezygnowała. Odprowadziliśmy we dwójkę matkę do bramy krętą drogą wśród drzew.

- Jak nazywacie ten dom? - spytała nagle matka.

- Cygańskie Gniazdo - odparła Ellie.

- No tak, prawda, są tu przecież Cyganie.

- Skąd wiesz? - zaniepokoiłem się.

- Spotkałam po drodze Cygankę. Dziwnie mi się przyglądała.

- Jest nieszkodliwa - powiedziałem. - Tylko trochę stuknięta.

- Stuknięta? To nie było przyjemne, kiedy tak mi się przypatrywała. Ma z wami na pieńku, czy jak?

- Coś sobie uroiła - rzekła Ellie. - Uważa, że wtargnęliśmy na jej terytorium.

- Na pewno chce pieniędzy - stwierdziła matka. - To normalne u Cyganów. Najpierw śpiewy, tańce, wyrażające wielką krzywdę. Ale to chciwe plemię. Wystarczy, że poczują nosem pieniądze, natychmiast im przechodzą wszelkie urazy.

- Nie lubi pani Cyganów - zauważyła Ellie.

- Złodzieje i nieroby. Ręce ich świerzbują do cudzego.

- Och! Przestaliśmy się już tym przejmować - powiedziała Ellie.

Przy pożegnaniu matka spytała jeszcze:

- Kim jest ta dziewczyna, która z wami mieszka?

Ellie opowiedziała, jak to Greta mieszkała z nią przez cztery lata i jak uchroniła ją przed złamanym życiem.

- Zrobiła wszystko, żeby nam pomóc. To wspaniała osoba. Nie wyobrażam sobie, co... co bym bez niej zrobiła.

- Mieszka z wami czy jest u was z wizytą?

- Eee... - Ellie starała się uchylić od odpowiedzi. - Ona... mieszka na razie z nami... wie pani, skręciłam nogę, ktoś musiał się mną opiekować. Ale teraz już czuję się dobrze.

- Najlepiej, jeśli młodzi mieszkają sami - stwierdziła matka.

Staliśmy przy bramie patrząc, jak oddala się drogą w dół.

- Silna osobowość - rzekła Ellie w zadumie.

Byłem zły na Ellie, wręcz wściekły, że pojechała po kryjomu do mojej matki. Zmiękłem jednak, kiedy odwróciła się i popatrzyła na mnie, swoim zwyczajem unosząc lekko brew, z zabawnym, na poły nieśmiałym, na poły zadowolonym uśmiechem małej dziewczynki.

- Ależ z ciebie podstępne stworzenie!

- Nie ma rady, czasem muszę być podstępna.

- Jak w tej sztuce Szekspira. Grałem w niej w szkole. - I zacytowałem niepewnie:

Pilnuj jej, odkąd jest na twoim chlebie;

Bo zwiódłszy ojca, może zwieść i ciebie.

- Grałeś Otella?

- Nie. Ojca Desdemony. Dlatego pamiętam tę kwestię. Zresztą jedyną, jaką wypowiadałem.

- Bo zwiódłszy ojca, może zwieść i ciebie - powtórzyła Ellie w zadumie. - Nie zwiódłam ojca, o ile pamiętam. Gdyby jednak dożył...

- Podejrzewam, że nie byłby zachwycony, żeś za mnie wyszła. Wściekłyby się, jak twoja macocha.

- O, z pewnością. Był człowiekiem konwencjonalnym. - Uśmiechnęła się po swojemu, jak mała dziewczynka. - Więc jednak musiałabym zachować się jak Desdemona, zwieść ojca i uciec z tobą.

- Dlaczego tak bardzo chciałaś się zobaczyć z moją matką, Ellie?

- Nie o to chodzi, że chciałam. Ale czułam się okropnie, bo nie kiwnęłam nawet palcem. Nigdy nie mówiłaś mi wiele o matce, ale domyślałam się, że robiła dla ciebie wszystko, co w jej mocy. Śpieszyła ci zawsze z pomocą, ciężko pracowała, żebyś mógł się uczyć. Wydawało mi się, że gdybym jej nie odwiedziła, byłabym podła, wyglądałoby, że zadzieram nosa z powodu pieniędzy.

- Przecież to byłaby moja wina, nie twoja.

- Chyba rozumiem, dlaczego nie chciałaś, żebyśmy się spotkały.

- Pewno myślisz, że się wstydzę matki. To nieprawda, Ellie, przysięgam.

- Nie - rzekła Ellie w zamyśleniu. - Wiem teraz, że nie. Chciałeś uniknąć matczynego suszenia głowy.

- Suszenia głowy?

- Według mnie twoja matka należy do osób, które dobrze wiedzą, co należy robić w życiu. Chciałaby cię ustawić.

- Oczywiście. Stała praca. Ustabilizowany tryb życia.

- Nie ma to już teraz znaczenia. Zresztą, tak w ogóle, to słuszne rady. Tyle że nie dla ciebie. Nie należysz do ludzi, co to osiadają w jednym miejscu. Stabilizacja rodzi w tobie bunt. Ty chcesz zmieniać miejsca, widzieć nowe rzeczy, robić coś nowego, chcesz być na wierzchołku świata.

- Chcę być w tym domu, z tobą.

- Na razie tak... I na pewno zawsze tu chętnie wrócisz. Ja też. Będziemy wracać co roku i tu nam będzie najlepiej. Ale, zobaczysz, zachce ci się podróży, zwiedzania, kupowania. Choćby po to, żeby inaczej zaprojektować nasz ogród. Może pojedziemy zobaczyć włoskie i japońskie ogrody.

- Cóż za podniecające perspektywy. Przepraszam, Ellie, że byłem zły.

- Możesz sobie być zły. Nie boję się ciebie. - Nagle zmarszczyła brwi i zmieniła temat: - Twojej matce wyraźnie nie podobała się Greta.

- Wielu ludzi nie lubi Grety.

- Ty również.

- Stale to powtarzasz, Ellie. A to nieprawda. Na początku byłem o nią trochę zazdrosny, to wszystko. Teraz między nami układa się jak najlepiej. - I dodałem - myślę, że w obecności Grety ludzie przybierają postawę obronną.

- Lippincott też jej nie lubi - podjęła Ellie. - Uważa, że ma na mnie zbyt silny wpływ.

- A ma?

- Dziwne pytanie. Szczerze mówiąc, chyba tak. To zresztą naturalne. Greta lubi dominować, a ja potrzebuję oparcia. Kogoś, komu można zaufać, kto mnie obroni.

- A ty i tak zrobisz po swojemu? - zaśmiałem się.

Objąwszy się wpół, wracaliśmy do domu. Wydawało mi się, że zrobiło się jakoś ciemno. Może dlatego, że słońce zeszło z tarasu, co dawało wrażenie mroku.

- Co ci jest, Mike?

- Nie wiem. Poczulem się nagle jak w grobie.

- Och, proszę, tylko nie rób grobowej miny.

Grety nigdzie nie było. Służący powiedział, że poszła na spacer.

Teraz, kiedy matka dowiedziała się już wszystkiego o moim małżeństwie, kiedy poznała Ellie, mogłem wreszcie zrobić to, co umyśliłem sobie już od pewnego czasu. Posłałem jej hojną ręką czek. Kazałem jej się przeprowadzić do lepszego domu, kupić meble, i tak dalej. Oczywiście nie miałem pewności, czy przyjmie mój czek, czy nie. Nie mogłem z ręką na sercu powiedzieć, że zarobiłem te pieniądze własną pracą. Oczywiście odesłała czek, przedarty na pół, z nabazgranym dopiskiem: „Nie chcę mieć z tym wszystkim nic wspólnego. Nigdy się nie zmienisz. Teraz już wiem. Niech Bóg ma Cię w swojej opiece”. Rzuciłem papier Ellie.

- Widzisz, jaka jest moja matka. Ożeniłem się z bogatą dziewczyną, żyję z pieniędzy swojej bogatej żony, a starej to nie w smak.

- Nie przejmuj się, Mike. Wielu ludzi sądzi podobnie jak ona. Przejdzie jej. Ona cię bardzo

kocha.

- To dlaczego wiecznie chce mnie zmieniać? Urabiać na własną modłę? Jestem sobą. I nie dopasuję się do niczyjego wzorca. Nie jestem synkiem mamusi, którego można uformować, jak się chce. Jestem sobą. Dorosłym człowiekiem. Ja to ja!

- Ty to ty. I ja cię kocham.

Po czym, jakby chciała odwrócić moją uwagę, powiedziała coś, co mnie bardzo zaniepokoiło.

- Co myślisz o naszym nowym służącym?

Nic nie myślałem. Co tu było do myślenia? Jeśli już, to wolałem go od poprzedniego. Tamten jawnie dawał mi do zrozumienia, że razi go moje pochodzenie.

- W porządku facet. Dlaczego pytasz?

- Zastanawiałam się po prostu, czy to może być ktoś z ochrony.

- Z ochrony? Nie rozumiem.

- Detektyw. Mógł go wynająć wuj Andrew.

- Z jakiego powodu?

- Na przykład żeby zapobiec porwaniu. W Stanach ochrona to rzecz normalna, szczególnie na wsi.

Kolejny minus posiadania forsy. Coś takiego w ogóle mi nie przyszło do głowy.

- Co za piekielny pomysł!

- Sama nie wiem... Chyba po prostu dla mnie to rzecz zwykła. To przecież nie ma znaczenia. Tego się nie zauważa. - A co z jego żoną?

- Najprawdopodobniej też jest wynajęta, co nie przeszkadza, że wspaniale gotuje. Sprawa jest prosta. Wuj Andrew czy Stanford Lloyd, nie wiem, kto to obmyślił, opłacił poprzednią służbę, żeby złożyła wypowiedzenie. Tę parę miał w zanadrzu na miejsce tamtych.

- I nikt by cię nie powiadomił?

- Ani by im się śniło. Baliby się, że stanę okoniem. A zresztą... Mogę się przecież mylić. - Zamyśliła się i dodała: - Tylko widzisz, jeśli ktoś nawykł do tego rodzaju ludzi w swoim otoczeniu, to ma dobrego nosa.

- Bogate biedactwo! - powiedziałem, tym razem bez czułości.

Ellie nie miała mi za złe mojego tonu.

- Tak. Trafiłeś w sedno.

- Zdziwiasz mnie bezustannie, Ellie.

XVII

Sen to bardzo tajemnicza sprawa. Kładziesz się spać skołatany, kłębią ci się po głowie myśli o Cyganach, ukrytych wrogach, wtyczkach we własnym domu, porwaniach i innych rzeczach. Przychodzi sen i za jednym zamachem wyzwala cię od wszystkich kłopotów. Zabiera cię gdzieś daleko, nie wiesz dokąd, ale to nieważne. Po przebudzeniu jesteś w zupełnie innym świecie. Bez trosk, bez lęków. Jeśli o mnie chodzi, to rankiem siedemnastego września obudziłem się w nastroju gwałtownego podniecenia.

Cudowny dzień, stwierdziłem w duchu. To będzie cudowny dzień. Byłem o tym przekonany. Całkiem jak ci faceci z reklam, którzy zapewniają cię, że będzie cudownie, gdziekolwiek byś jechał i cokolwiek byś robił. Przypomniałem sobie, co miałem w planie. Umówiłem się z majorem Phillipotem, że wybierzemy się razem na wyprzedaż do pewnej posiadłości, piętnaście mil od nas. Mieli tam bardzo ładne rzeczy. Przystudiowałem katalog i pozaznaczałem sobie to i owo.

Phillpot był wielkim znawcą stylowych mebli, sreber i innych przedmiotów tego rodzaju. Nie dlatego, że miał artystyczną duszę, nie, powiedziałbym, że był raczej duszą towarzystwa. Po prostu się na tym znał i już. Cała rodzina zawsze się na tym znała.

Przy śniadaniu przeglądałem katalog. Ellie zeszła na dół w stroju do konnej jazdy. Jeździła teraz niemal co rano, albo sama, albo z Claudią. Jadła - czy raczej piła - amerykańskie śniadanie złożone tylko z kawy i soku pomarańczowego. Ja z kolei, skoro nie musiałem powściągać swojego apetytu, lubiłem na śniadanie, jak wiktoriański arystokrata, bogaty stół, z różnymi daniami na gorąco. Tego ranka jadłem cynaderki, parówki, bekon. Pycha!

- Co robisz dzisiaj, Greto? - zapytałem.

Greta umówiła się z Claudią Hardcastle na stacji Market Chadwell. Wybierały się do Londynu na białą wyprzedaż, powiedziała. Zapytałem, co to jest „biała wyprzedaż”.

- Czy rzeczywiście są tam białe rzeczy?

Greta rzuciła mi pogardliwe spojrzenie i wyjaśniła, że chodzi o wyprzedaż bielizny pościelowej, kołder, ręczników i tak dalej. Doskonała okazja, mówiła, wyprzedaż organizuje sklep na Bond Street, dostała katalog.

Powiedziałem do Ellie:

- Skoro Greta jedzie na cały dzień do Londynu, mogłabyś podjechać do Bartington. Będziemy z Phillpota w miejscowej restauracji U George'a, o pierwszej. Phillpot twierdzi, że mają tam dobrą kuchnię. Wspomniał, żebyś przyjechała. Skręcasz mniej więcej trzy mile za Market Chadwell. Chyba jest znak.

- Dobrze, przyjadę.

Podsadziłem ją na konia, odjechała i zniknęła za drzewami.

Ellie uwielbiała jeździć konno. Zazwyczaj wyruszała krętą drogą pod górę, potem wyjeżdżała na otwartą przestrzeń, gdzie puszczała się galopem, i wracała do domu. Zostawiłem Ellie małe auto, łatwiejsze do zaparkowania, a sam wzięłem dużego chryslera. Dotarłem do Bartington Manor na chwilę przed rozpoczęciem aukcji.

Phillpot już tam był i zajął dla mnie miejsce.

- Jest kilka ładnych rzeczy - oznajmił. - Dobre obrazy, Romney, Reynolds. Interesowałyby pana?

Pokręciłem głową. Zdecydowanie preferowałem malarzy współczesnych.

- Jest tu paru dealerów - podjął Phillpot. - Dwaj z Londynu. Widzi pan tego chudego mężczyznę z zaciśniętymi ustami? To Cressington. Znany facet. A gdzie pańska żona?

- Nie zabrałem jej. Nie przepada za aukcjami. Zresztą akurat dzisiaj wolałem, żeby została.

- O! A to dlaczego?

- Bo szykuję jej niespodziankę. Zwrócił pan uwagę na numer 42?

Zerknął w katalog, po czym powiódł wzrokiem po sali.

- Hm. Chodzi panu o to biurko? Tak. Piękny mebelek. Jeden z najpiękniejszych przykładów stylu papier mâché. Rarytas. Pełno tu ręcznych pulpitów do postawienia na stole. Ale to wczesny okaz. Nigdy podobnego nie widziałem.

Mebel był inkrustowany konturem zamku w Windsorze, po bokach miał bukiety róż, osty, koniczynę.

- W doskonałym stanie - stwierdził Phillpot. Spojrzał na mnie z ciekawością. - Nigdy bym nie przypuszczał, że jest w pańskim guście, jednak...

- Oczywiście że nie jest - przerwałem. - Zbyt babskie jak na mnie. Za dużo tych kwiatków. Ale

Ellie uwielbia takie rzeczy. W przyszłym tygodniu są jej urodziny, chciałbym kupić jej to biurczko w prezencie. To ma być niespodzianka. Dlatego nie chciałem, żeby zobaczyła, jak składam ofertę na nie. Trudno o lepszy upominek. Będzie miała prawdziwą niespodziankę.

Zajęliśmy miejsca, rozpoczęto aukcję. Moje biurczko uzyskało niespodziewanie wysoką cenę. Obaj dealerzy z Londynu wyraźnie mieli na nie ochotę; jeden z nich był starym wyjadaczem, zachowywał się z dużą rezerwą, ledwie poruszał swoim katalogiem, bacznie obserwowany przez aukcjonera. Nabyłem jeszcze rzeźbione krzesło chippendale, pasujące do naszego hallu, i wielkie brokatowe zasłony w dobrym stanie.

- No, chyba pan zadowolony - rzekł Phillpot wstając, kiedy ogłoszono zakończenie porannej aukcji. - Chce pan przyjść jeszcze raz po południu?

Pokręciłem głową.

- Nie, druga część mnie nie interesuje. Będą sprzedawać meble do sypialni, dywany...

- Tak, przypuszczałem, że to nie dla pana. No dobrze... - spojrzał na zegarek. - To chyba idziemy. Ellie przyjdzie do George'a?

- Tak, wybiera się.

- A... panna Andersen?

- Greta pojechała do Londynu. Na tak zwaną białą wyprzedaż. Razem z Claudią Hardcastle.

- A, tak. Claudia coś wczoraj wspominała. Ceny pościeli są w tej chwili astronomiczne. Wie pan, ile kosztuje Iniana powłoczka na poduszkę? Trzydzieści pięć szylingów! Jeszcze niedawno płaciłem sześć.

- Widzę, że zna się pan na domowych zakupach - zauważyłem.

- Słyszę, jak żona wiecznie narzeka - uśmiechnął się Phillpot. - Jest pan w szczytowej formie, Mike. Tryska pan humorem.

- Z powodu mojego biurczka. No, może nie tylko. Po prostu dziś rano obudziłem się wesóły jak ptaszek. Wie pan, są takie dni, kiedy wszystko wydaje się proste.

- Hm... Niech pan uważa. Czy to aby nie wisielczy humor?

- Co mi tam jakieś porzekadła!

- Tak bywa, kiedy ma nastąpić katastrofa, chłopcze. Lepiej nich pan powściągnie swoją radość.

- Och, nie wierzę w te głupstwa.

- Ani w przepowiednie Cyganów, co?

- Coś ostatnio nie widać starej Lee. Już dobry tydzień.

- Może wyjechała - zauważył Phillpot.

Spytał, czy go zabiorę do swego wozu, odparłem, że tak.

- Po co brać dwa samochody. Podrzucicie mnie tutaj w drodze powrotnej. Ellie przyjedzie drugim autem?

- Tak. Tym małym.

- Mam nadzieję, że dobrze nam dadzą jeść w restauracji George'a. Jestem głodny jak wilk - stwierdził Phillpot.

- Kupił pan coś na aukcji? - spytałem. - Byłem tak zaafierowany, że nie zwróciłem uwagi.

- Słusznie. Trzeba mieć oczy szeroko otwarte, kiedy się składa ofertę. Uważać, co robią dealerzy. Nie, skąd, nic nie kupiłem. Raz czy drugi nawet się przymierzałem, ale cena poszła za wysoko.

Mimo że Phillpot był właścicielem dużych włości, nie miał dużych dochodów. Można powiedzieć, że był ubogim, wielkim posiadaczem ziemskim. Gotówkę mógłby uzyskać, sprzedając

część gruntów. Ale nie chciał pozbywać się ziemi. Kochał ją.

Kiedy zajechaliśmy do restauracji, stało już tam wiele samochodów, należących pewno do uczestników aukcji. Ellie nigdzie nie było. Weszliśmy do środka, rozejrzałem się za nią. Widocznie jeszcze nie dotarła. W końcu było dopiero po pierwszej.

Zamówiliśmy drinka przy barze i czekaliśmy na Ellie. Było tłoczno. Zajrzałem do głównej sali i upewniłem się, że zarezerwowano dla nas stolik. Zauważyłem wiele znajomych twarzy. Stolik przy oknie zajmował mężczyzna, którego już gdzieś spotkałem. Byłem pewny, że go znam, ale nie mogłem sobie przypomnieć skąd. Chyba był nietutejszy, bo ubrany inaczej niż miejscowi. W końcu tylu ludzi przewinęło się w moim życiu, że nie mogłem wszystkich spamiętać. Na aukcji go nie było, chociaż mignęła mi tam jedna znajoma twarz, której nie potrafiłem z nikim konkretnym skojarzyć. Twarz, której nie można sobie przypomnieć, łatwo wprowadza w błąd.

Szefowa baru ubrana jak zwykle w szeleszczącą czarną jedwabną suknię w afektowanym stylu edwardiańskim, podeszła do mnie i zaproponowała:

- Czy nie zechciałby pan zająć swego stolika, panie Rogers? Kilka osób czeka na miejsce.

- Żona zjawi się lada chwila.

Wróciłem do Phillpota. A może Ellie złapała gumę?

- Lepiej usiadźmy - powiedziałem. - Zaczynają chyba na nas krzywo patrzeć. Mają dziś niezły tłok. Obawiam się, że Ellie nie należy do najpункtualniejszych kobiet.

Phillpot westchnął i rzekł na swój staroświecki sposób:

- Punktem honoru każdej damy jest trzymanie nas w niepewności. Zgoda, Mike. Zaczynamy.

Weszliśmy do jadalni. Zamówiliśmy steki z cynaderkami w cieście i rozpoczęliśmy lunch.

- Jak Ellie może się tak zachowywać? - denerwowałem się. - Wszystko przez to, że Greta jest w Londynie. Wie pan, Greta przypomina jej zazwyczaj o umówionych spotkaniach, pomaga jej wybrać się w porę, w ogóle czuwa.

- Ach, więc Ellie jest tak uzależniona od panny Andersen?

- W tym sensie owszem, jest.

Skończyliśmy stek z cynaderkami i zabraliśmy się do placka z jabłkami.

- Może po prostu zapomniała - odezwałem się nagle.

- Lepiej nich pan zatelefonuje.

- Tak, rzeczywiście.

Poszedłem zadzwonić. Odezwała się nasza kucharka, pani Carson.

- Ach, to pan. Pani Rogers jeszcze nie wróciła.

- Jak to nie wróciła? Skąd nie wróciła?

- Nie wróciła ze spaceru.

- Co takiego? Przecież wyruszyła zaraz po śniadaniu. Niemożliwe, żeby jeździła konno przez całe rano.

- Właśnie. Nic przecież nie mówiła. Spodziewam się jej od dawna.

- Dlaczego nie zadzwoniła pani do mnie, dlaczego mnie pani nie zawiadomiła?

- Ba, nie wiedziałam, gdzie pana szukać. Powiedziałem jej, że jestem w restauracji w Bartington, podałem numer telefonu. Miała zadzwonić, gdy tylko Ellie się zjawi albo jak coś będzie wiadomo.

Wróciłem do Phillpota. Od razu zorientował się, że coś jest nie w porządku.

- Ellie nie wróciła od rana do domu. Wyjechała konno, jak zwykle. Nigdy jednak nie jeździ dłużej niż pół godziny, góra godzinę.

- Niech się pan nie martwi na zapas, Mike - rzekł łagodnie Phillipot. - Mieszka pan w odosobnionym miejscu. Gdyby na przykład koń okulał i musiała wracać piechotą, nie mogłaby pana zawiadomić. Te wrzosowiska, otwarte przestrzenie, które rozciągają się za lasem, to prawdziwe odludzie.

- Jeśli zmieniła plany i chciała kogoś odwiedzić, zadzwoniłaby do George'a. Zostawiłaby nam wiadomość.

- Niech się pan nie gorączkuje - uspokajał mnie Phillipot. - Idziemy! Zobaczymy, co się da ustalić.

Kiedy wychodziliśmy na parking, odjeżdżał jakiś samochód. Siedział w nim facet, którego zauważyłem w jadalni. I nagle skojarzyłem! Stanford Lloyd albo ktoś bardzo do niego podobny! Co też on mógł tu robić? Przyjechał do nas? W takim razie dlaczego nas nie uprzedził? Obok niego siedziała kobieta przypominająca Claudię Hardcastle. Ale przecież Claudia była z Gretą na zakupach w Londynie. Wszystko to zupełnie mnie skołowało...

W samochodzie Phillipot przyglądał mi się z ukosa. Kiedy spotkaliśmy się wzrokiem, odezwałem się z goryczą:

- Więc jednak wisielczy humor. Miał pan rację.

- Niech pan nie myśli o najgorszym. Mogła spaść z konia, skrócić nogę. Co prawda jest doskonałą amazonką. Widziałem ją w siodle. Wypadek raczej nie wchodzi w grę.

- A jednak wypadki chodzą po ludziach.

Jechaliśmy szybko. Wkrótce znaleźliśmy się na drodze przecinającej otwartą przestrzeń, powyżej naszej posesji. Cały czas rozglądaliśmy się. Zatrzymywaliśmy napotykanym po drodze ludzi. Wreszcie jakiś mężczyzna wykopujący torf dał nam pewną wskazówkę.

- Widziałem samego konia - powiedział. - Może ze dwie godziny temu, może więcej. Złapałbym go, ale, bestia, puścił się galopem na mój widok. Żadnej pani nie widziałem.

- Jedziemy do domu - zdecydował Phillipot. - Może czekają tam na nas jakieś wieści.

Pojechaliśmy, ale żadnych wieści nie było. Posłaliśmy chłopaka stajennego na wrzosowiska, żeby wszczął poszukiwania. Phillipot zatelefonował do siebie i też wysłał człowieka. My dwaj ruszyliśmy ścieżką przez las, trasą Ellie, i wkrótce znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni. Szliśmy skrajem lasu, gdzie wychodziły inne leśne ścieżki. I nagle znaleźliśmy ją. Zobaczyliśmy coś, co wyglądało jak zmięta kupka łąchów. Obok stał koń, skubiąc trawę. Puściłem się biegiem. Phillipot pędził za mną, rozwijając tempo niezwykle jak na człowieka w tym wieku.

Była tam, leżała niczym ciśnieńta sterta łąszków, a jej maleńka biała twarz zwrócona była ku niebu.

- Nie mogę, nie mogę... - krzyknąłem i odwróciłem się. Phillipot uklęknął przy Ellie. Po chwili wstał.

- Wezwiemy lekarza. Doktora Shawa. On jest pod ręką. Ale... Mike, niewiele tu chyba po nim.

- Czy to znaczy, że ona... nie żyje?

- Tak. Nie ma sensu udawać, że jest inaczej.

- Och, Boże! - krzyknąłem i odwróciłem się. - Nie, nie mogę w to uwierzyć. Nie Ellie!

- Coś panu dam. - Phillipot wyjął z kieszeni flaszkę, odkręcił zakrętkę i podsunął mi alkohol.

Łyknąłem porządnie z gwinta.

- Dziękuję.

Zjawił się nasz chłopak stajenny i Phillipot kazał mu sprowadzić doktora Shawa.

Wkrótce nadjechał land-rover doktora. Shaw zapewne jeździł tym gruchotem z wizytami na samotne farmy, kiedy była brzydka pogoda. Wysiadł, ledwo na nas spojrział. Podszedł prosto do Ellie i przyklęknął. Potem zbliżył się do nas.

- Nie żyje co najmniej od trzech, czterech godzin - oświadczył. - Co się stało?

Opowiedziałem mu, jak Ellie pojechała konno po śniadaniu na swoją codzienną przejażdżkę.

- Miewała już jakieś upadki?

- Nie. Była świetną amazonką.

- Wiem o tym. Widziałem ją w siodle raz czy dwa. Znała konie od dziecka, prawda? Pomyślałem sobie, że wskutek jakiegoś wypadku w ostatnim czasie mogła stać się nerwowa. I gdyby koń poniósł...

- Dlaczego miałby ponieść? To spokojne stworzenie...

- Tak, ten koń nie jest ani trochę narowisty - wtrącił Phillpot. - Dobrze ułożony, nie nerwowy.

Czy Ellie ma połamane kości?

- Nie przeprowadziłem co prawda dokładnego badania, ale nie stwierdziłem na razie żadnych zewnętrznych obrażeń. Może być natomiast uszkodzony jakiś organ wewnętrzny. Na przykład na skutek szoku...

- Chyba nie można umrzeć z powodu doznania szoku? - spytałem.

- Owszem, zdarzały się takie wypadki. Jeżeli miała jakąś wadę serca...

- W Stanach stwierdzono, że Ellie miała coś z sercem.

- Hm. Nic nie stwierdziłem, kiedy ją badałem. Ale nie robiliśmy kardiogramu. Tak czy inaczej, nie ma sensu tego teraz roztrząsać. Okaże się później. Kiedy już śledztwo zostanie zakończone.

Spojrział na mnie uważnie, po czym poklepał mnie po ramieniu.

- Niech pan wraca do domu i położy się do łóżka. Pan na pewno doznał szoku.

Dziwne, ludzie na wsi wyrastają jak spod ziemi. Wokół nas zebrało się już kilka osób. Autostopowicz, który na widok naszej grupki zbiegł z głównej szosy. Rumiana kobiecina idąca pewnie na skróty do jakiegoś gospodarstwa. Stary robotnik drogowy. Wydawali okrzyki, komentowali.

- Biedaczka!

- Taka młodziutka! Koń ją zrzucił, czy co?

- To przecież pani Rogers, ta Amerykanka, co mieszka w Wieżach.

Wszyscy dawali głośno wyraz swoim uczuciom. Na końcu odezwał się stary robotnik i usłyszeliśmy coś konkretnego. Powtarzał kręcąc głową:

- Ja to chyba widziałem... Ja to chyba widziałem...

- Co pan widział?

- Jak koń pędził na złamanie karku.

- A jak pani Rogers spadła z konia, też pan widział?

- Nie, tego nie. Widziałem ją jeszcze w siodle, jechała skrajem lasu, potem zabrałem się do roboty, zacząłem obrabiać kamienie. Kiedy usłyszałem tętent kopyt, odwróciłem się znowu; koń, już sam, pędził galopem. Zaraz pomyślałem, że coś się stało. Może ta pani zsiadła z konia, pomyślałem, i koń jej uciekł. Nie leciał w moją stronę, ale w odwrotnym kierunku.

- Nie widział pan leżącej na ziemi kobiety?

- Nie, nie za dobrze widzę na odległość. Koń to co innego. Odcinał się na tle nieba.

- Kiedy pan ją zobaczył, była sama? Nikt jej nie towarzyszył, nie było nikogo w pobliżu?

- Nie, nikogusieńko. Sama była. Przejechała niedaleko stąd, minęła mnie i pogalopowała w tamtą stronę. Chyba do lasu. Nie, nikogo poza nią i koniem nie widziałem.

- A może wystraszyła ją Cyganka? - odezwała się rumiana kobieta.

Podskoczyłem.

- Jaka Cyganka? Kiedy?

- Och, to było... bo ja wiem... Ze trzy, cztery godziny temu. Szła drogą w dół. Dochodziła dziesiąta, jak zobaczyłam Cygankę. Tę, co to mieszka w naszym miasteczku. Tak mi się w każdym razie wydaje. Na pewno nie wiem, bo była za daleko. Ale tylko ona chodzi w takiej czerwonej kapocie. Szła pod górę ścieżką między drzewami. Słyszałam, co ta Cyganka wygadywała za obrzydlistwa o tej biednej, młodej pani z Ameryki. Groziła jej. Straszyla, że coś jej się stanie, jak się stąd nie wyniesie precz. Mówią, że prawdziwa wiedźma z tej kobiety.

- Cyganka! - zawołałem. I mruknąłem do siebie, chociaż wszyscy słyszeli moje gorzkie słowa:

- Cygańskie Gniazdo! Żałuję, że moja noga kiedykolwiek tu powstała!

Część trzecia

XIX

Niesamowite, jak myli mi się to, co potem nastąpiło. Chodzi o kolejność wydarzeń. Wszystko, co się działo przedtem, mam poukładane w głowie. Trochę się tylko wahałem, od czego zacząć, ale poza tym pełna jasność. Tego dnia jakby ktoś ciachnął moje życie nożem na pół. Wydaje mi się teraz, że nie byłem przygotowany na to, co przeszedłem od chwili śmierci Ellie. Natłok ludzi, rzeczy, wydarzeń, wszystko mi się mieszało, nad niczym już nie panowałem. Nic nie dotyczyło mnie, wszystko działo się poza mną. Tak to odczuwałem.

Ludzie byli dla mnie bardzo dobrzy. To pamiętam najlepiej. Potykałem się o własne nogi, półprzytomny, nie wiedziałem, do czego się zabrać. Greta stanęła na wysokości zadania. Zadziwiające, jak kobiety potrafią znaleźć w sobie siły, żeby sprostać sytuacji, wziąć ją w swoje ręce; krótko mówiąc, zająć się drobiazgami, które ktoś musi załatwić, bez tego ani rusz. Ja nie byłem w stanie.

Kiedy już zabrano Ellie, a ja wróciłem do domu, naszego domu, no, po prostu domu, zapamiętałem wyraźnie jedno: przyszedł do mnie doktor Shaw i rozmawiał ze mną. Nie wiem, kiedy to dokładnie było, jak długo trwało. Doktor mówił spokojnie, łagodnie, rozsądnie. Tłumaczył mi rozmaite rzeczy, jasno, otwarcie i delikatnie.

Załatwianie. Pamiętam, że użył tego słowa. Co za ohydne słowo. Kryją się za nim ohydne sprawy. To zaś, co określamy wielkimi słowami - miłość, seks, życie, śmierć, nienawiść - wcale nie rządzi naszymi losami. Rządzą inne sprawy, marne i poniżające. Takie, które trzeba przetrzymać, o których człowiek nie myśli, póki nie musi im stawić czoła. Przedsiębiorcy pogrzebowi, wszelkie sprawy związane z pogrzebem, śledztwo. Służba wkracza do pokoju, żeby spuścić żaluzje. Dlaczego żaluzje mają być opuszczone? Co to ma wspólnego ze śmiercią Ellie? Jedna wielka bzdura!

Dlatego błogosławiłem doktora Shawa. Zajmował się wszystkim z takim spokojem i rozwagą, wyjaśniał mi cierpliwie, dlaczego na przykład musi odbywać się śledztwo. Pamiętam, że mówił powoli, chciał się widać upewnić, że jego słowa do mnie trafiają.

Nie wiedziałem, jak wygląda śledztwo. Nigdy nie miałem z czymś takim do czynienia. Odnosiłem wrażenie, że nic nie trzyma się kupy, czysta amatorszczyzna. Koroner, mały człowieczek w pince-nez, robił strasznie dużo szumu. Musiałem dokonać identyfikacji, opowiedzieć, jak po raz ostatni widziałem Ellie przy śniadaniu, jak wyjechała na codzienną przejażdżkę i jak umówiliśmy się później na lunch. Stwierdziłem, że czuła się normalnie, była zdrowiuteńka.

Doktor Shaw zeznawał rzeczowo, ale nie stawiał kropek nad i. Brak poważnych obrażeń, twierdził. Zwichnięty obojczyk, stłuczenia, skutki upadku z konia. Nic nie wskazuje na to, że po wypadku Ellie dawała jeszcze oznaki życia. Jego zdaniem, śmierć nastąpiła błyskawicznie. Nie spowodowały jej obrażenia organów wewnętrznych. Nie widzi więc innego wytłumaczenia zgonu,

jak atak serca spowodowany szokiem. O ile dobrze rozumiałem terminologię lekarską, Ellie zmarła wskutek asfiksji, jak mówił doktor, czyli po prostu się udusiła. Wszystkie narządy miała zdrowe, zawartość żołądka nie budziła zastrzeżeń.

Greta także zeznawała. Położyła teraz większy niż przedtem, w rozmowie z doktorem, nacisk na to, że Ellie cierpiała na jakąś chorobę serca trzy, cztery lata temu. Nigdy nic konkretnego jej nie powiedziano, ale rodzina od czasu do czasu przypominała, że Ellie ma wadę serca i musi się oszczędzać. Greta zeznała, że nic więcej nie wie.

Przyszła następnie kolej na ludzi, którzy znajdowali się w pobliżu miejsca wypadku. Między innymi zeznawał stary wieśniak, który kopał torf. Młoda pani, mówił, przejeżdżała tamtędy, jakieś pięćdziesiąt jardów dalej. Wiedział, kim jest, chociaż nigdy z nią nie rozmawiał. To była ta pani z nowego domu.

- Znał ją pan z widzenia?

- Znać to jej nie znałem. Poznałem konia po białej nodze. Kiedyś należał do pana Careya z Shefflegroom. Wszyscy mówili, że to nienarowisty, dobrze ułożony koń. W sam raz dla damy.

- Czy koń zachowywał się niespokojnie, kiedy go pan widział? Rozbrykał się?

- Nie, nic takiego.

Pogoda była piękna, ciągnął chłop. Ludzie specjalnie się nie kręcili. Niewielu zauważył. Droga przez wrzosowiska nie była bardzo uczęszczana, co najwyżej szło się tamtędy na skróty. Drugi trakt przecinał wrzosowiska o milę dalej. Widział kilku ludzi, ale nie potrafił ich opisać: jakiś mężczyzna jechał na rowerze, inny szedł pieszo. Wszyscy byli za daleko, nie wie, co to za jedni, w ogóle mało zauważył. Przedtem, zanim jeszcze jechała ta pani, wydawało mu się, że dostrzegł starą Lee. Szła drogą w jego stronę, ale potem skręciła w las. Często szwendała się po wrzosowisku, wyłaniała się zza drzew, znikwała w lesie.

Koroner spytał, dlaczego stara Lee nie pojawiła się w sądzie, skoro otrzymała wezwanie. Powiedziano mu, że wyjechała kilka dni wcześniej, ale kiedy dokładnie, nie wiadomo. Nie zostawiła adresu. Zresztą, miała taki zwyczaj, że często wyjeżdżała i wracała bez uprzedzenia. Nie było w tym nic niezwykłego. Kilka osób twierdziło, że Cyganka zniknęła przed wypadkiem. Urzędnik znowu zwrócił się do starego chłopca:

- Panu się jednak wydaje, że pan ją widział?

- Nie mogę przysiąc. Pewności nie mam. Ale była wysoka, szła zamasyście i miała na sobie czerwoną kapotę, w jakiej widywałem starą. Tyle że nie przyjrzałem się dokładnie. Miałem robotę. Mogła być ona, mógł być kto inny. Bóg raczy wiedzieć.

Powtórzył jeszcze to, co opowiedział już nam. Młoda pani przejeżdżała obok niego konno. Często ją tu przedtem widywał. Toteż nie zwrócił na nią uwagi. Potem koń galopował z pustym siodłem. Zwierzę wyglądało, jakby się czegoś przestraszyło, mówił. W każdym razie takie odniósł wrażenie. O której to było, nie potrafił określić. Może o jedenastej, może wcześniej. Znacznie później znowu zobaczył konia. Biegł w oddali, w stronę lasu.

Ja też musiałem odpowiedzieć na parę pytań dotyczących starej Lee. Pani Esther Lee z Vine Cottage.

- Pan i pańska małżonka znaliście z widzenia panią Lee?

- Tak, nieraz widywaliśmy ją w okolicy.

- Rozmawialiście z nią?

- Kilka razy. O ile można to nazwać rozmową. Głównie ona mówiła.

- Czy groziła panu lub pana żonie? Chwilę milczałem.
- W pewnym sensie - rzekłem ociągając się. - Chociaż nigdy...
- Tak?
- Nigdy nie traktowałem tego poważnie.
- Czy wydawało się panu, że chowa do żony urazę?
- Ellie czuła, że Cyganka ma jej coś za złe, ale nie miała pojęcia, o co chodzi.
- Czy ktoś z państwa kiedyś wyprosił ją z posesji, groził jej, ostro ją potraktował?
- To ona była agresywna.
- Odniósł pan wrażenie, że to kobieta niezrównoważona?

Zastanowiłem się.

- Owszem. Miałem takie wrażenie. Wbiła sobie do głowy, że ziemia, na której postawiliśmy dom, należy do niej, do jej plemienia, czy jak tam ich zwać. Miała na tym punkcie fioła. Było z nią coraz gorzej, ta obsesja się pogłębiała.

- Rozumiem. Nie uciekała się nigdy do przemocy fizycznej wobec żony?

- Nie - odparłem z wolna. - Byłoby nieuczciwe twierdzić inaczej. Wszystko sprowadzało się do cygańskich wróżb. „Biada wam, jeśli zostaniecie. Wynoście się, bo spadnie na was przekleństwo”.

- Użyła kiedyś słowa śmierć?

- Chyba tak. Nie traktowaliśmy jej poważnie. Ja w każdym razie.

- A małżonka?

- Obawiam się, że czasami tak. Ta starucha mogła człowieka porządnie nastraszyć. Moim zdaniem, nie odpowiadała w pełni za to, co mówi i robi.

Śledztwo zostało odroczone na dwa tygodnie. Wszystko wskazywało na wypadek, nie było jednak oczywiste, co ten wypadek spowodowało. Koroner odroczył postępowanie do czasu uzyskania zeznań pani Esther Lee.

XX

Nazajutrz poszedłem do majora Phillpota i powiedziałem mu bez ogródek, że muszę zasięgnąć jego opinii. Jakaś osoba/ którą stary chłop od torfu wziął za Esther Lee, szła tamtego ranka w stronę lasu.

- Pan zna tę Cyganę. Myśli pan, że byłaby zdolna z rozmysłem, złośliwie spowodować wypadek?

- Trudno to sobie wyobrazić, Mike. Żeby zrobić taką rzecz, trzeba mieć bardzo silną motywację. Zemsta za doznaną krzywdę, coś takiego. A cóż jej Ellie złego zrobiła? Nic.

- Wiem, brzmi to zupełnie nieprawdopodobnie. Ale dlaczego zawsze zjawiała się w taki dziwny sposób, groziła Ellie, posyłała ją do diabła? Zachowywała się tak, jakby miała do Ellie złość, a przecież to niemożliwe. Nigdy przedtem nie widziała jej na oczy. Ellie była dla niej po prostu obcą Amerykanką. Nie miały ze sobą w przeszłości nic wspólnego.

- Tak, tak - rzekł Phillpot. - Na moje wyczucie jest tutaj coś, co nam umyka. Nie wiem, czy Ellie bywała w Anglii przed ślubem. Czy mieszkała tu przez dłuższy czas?

- Na pewno nie. Ach, jakie to wszystko skomplikowane. Ja osobiście nic nie wiem o Ellie. Kogo znała, dokąd jeździła. Poznałem ją pewnego dnia, i tyle. - Urwałem na chwilę i popatrzyłem na majora. - Wie pan, jak się poznaliśmy? W życiu by pan nie zgadł. - I nagle wybuchnąłem nie kontrolowanym śmiechem. Po chwili wziąłem się w garść. Zdawałem sobie sprawę, że jestem o krok od ataku hysterii.

Z cierpliwym, łagodnym wyrazem twarzy Phillipot czekał, aż się uspokoję. Był człowiekiem życzliwym. Nie ma dwóch zdań.

- Spotkaliśmy się po raz pierwszy tutaj. W Cygańskim Gnieździe. Przeczytałem ogłoszenie o przetargu Wież i poszedłem drogą pod górę. Byłem ciekawy, jak to miejsce wygląda. I zobaczyłem Ellie. Stała pod drzewem. Przestraszyłem ją, może zresztą to ona przestraszyła mnie. W każdym razie, tak się to wszystko zaczęło. Dlatego zamieszkaliśmy w tym cholernym, wyklętym, zgubnym miejscu.

- Miał pan od początku złe przeczucia?

- Nie... Tak... Sam nie wiem. Nigdy się do tego nie przyznałem. Nie chciałem się przyznać. Ale ona chyba czuła niebezpieczeństwo. Bała się. - I dodałem dobitnie: - ktoś rozmyślnie chciał ją przestraszyć.

Major zareagował ostro.

- Co pan chce przez to powiedzieć? Kto chciał ją przestraszyć?

- Przypuszczam, że ta Cyganka, chociaż nie jestem do końca pewien... Czatowała na Ellie, ostrzegała ją, że spadnie na nią nieszczęście, jeżeli nie wyjedzie.

- Do licha! - zawołał major ze złością. - Szkoda, że nie wiedziałem wszystkiego. Rozmawiałem z Esther, tłumaczyłem jej, że nie powinna robić takich rzeczy.

- Dlaczego to zrobiła? Co ją powodowało?

- Normalna potrzeba wielu z nas, chciała być ważna. W swoich wróżbach albo ostrzega ludzi, albo przepowiada szczęśliwe życie. Chce uchodzić za taką, co zna przyszłość.

- Przypuśćmy - odezwałem się w zamyśleniu - że ktoś ją opłacił. Podobno kocha pieniądze.

- Tak, nawet bardzo. Jeśli ktoś ją przekupił... hm... ale skąd to panu przyszło do głowy?

- Sierżant Keene rzucił taką sugestię. Sam nigdy bym na to nie wpadł.

- Hm. - Major pokręcił głową z powątpiewaniem. - Nie wydaje mi się, żeby rozmyślnie usiłowała wystraszyć pańską żonę, żeby dążyła do spowodowania wypadku.

- Może nie liczyła się z tym, że wypadek będzie tak tragiczny w skutkach. Mogła czymś spłoszyć konia. Na przykład wystrzeliła racę albo machnęła białą kartką papieru. Wie pan, czasami czułem, że ona nienawidzi Ellie, że jest coś, o czym nie wiem.

- Trudno w to uwierzyć.

- Czy to miejsce nigdy do niej nie należało? Mam na myśli ziemię.

- Nie. Owszem, mogło się zdarzyć, że usunięto stąd kiedyś Cyganów, pewno zresztą nie jeden raz. Cyganów często trzeba eksmitować, ale nie sądzę, żeby z tego powodu chowali zacieklą złość.

- No tak. Ta droga prowadzi donikąd. Ale zastanawiam się, czy z jakiegoś nie znanego nam bliżej powodu nie przekupiono jej...

- Nie znany nam bliżej powód... Co by to mogło być? Zastanowiłem się.

- To, co powiem, zabrzmiało fantastycznie. A jednak jest możliwe. Przypuśćmy, że sugestia Keene'a jest słuszna. Ktoś opłacił Cygankę i zrobiła to, co zrobiła. O co temu komuś chodziło? Powiedzmy, że chciał nas stąd wykurzyć, oboje. Skoncentrowano się na Ellie, bo mnie trudniej nastraszyć. Więc straszono ją, żeby się stąd wyniosła, a wraz z nią ja. Jeśli tak było, komuś z jakiegoś powodu zależało na tym, żeby posiadłość została ponownie wystawiona na sprzedaż. Ktoś z jakiegoś powodu chce mieć naszą ziemię - zakończyłem wywód.

- Bardzo logiczne. Ale dlaczego komuś miałoby tak bardzo na tym zależeć?

- Na przykład cenne złoża minerałów, o których nikt nie wie.

- Hm, bardzo wątpliwe.

- Albo zakopany skarb. Albo łupy z wielkiego skoku na bank. Och, wiem, to brzmi śmiesznie.

Phillpot dalej kręcił głową, może teraz trochę mniej stanowczo.

- Może trzeba wykonać krok wstecz - podjąłem - tak jak pan to przed chwilą zrobił. Cofnąć się do osoby, która opłacała starą Lee. Do nieznanego wroga Ellie.

- Przychodzi panu na myśl ktoś taki?

- Nie. Ellie nikogo w tych stronach nie znała. To pewne. Nie miała żadnych powiązań z tym miejscem. - Wstałem. - Cóż, dziękuję, że zechciał mnie pan wysłuchać.

- Żałuję, że nie na wiele się przydałem.

Wychodząc dotknąłem pewnego przedmiotu w kieszeni. Podjąłem nagłą decyzję, obróciłem się na pięcie i wszedłem z powrotem do pokoju.

- Chciałbym panu coś pokazać. Zamierzałem zanieść to sierżantowi i zobaczyć, jak zareaguje.

Włożyłem rękę do kieszeni i wyjąłem z niej kamień zawinięty w pogniecioną kartkę papieru, zapisaną dużymi literami.

- Dziś rano ktoś wrzucił to do jadalni. Usłyszałem brzęk szyby, kiedy schodziłem na dół. Raz już wrzucono nam kamień przez okno, tego dnia, gdy się wprowadziliśmy. Nie wiem, czy zrobiła to ta sama osoba.

Odwinąłem kamień z papieru i wręczyłem majorowi kartkę. Brudny, byle jaki świstek. Wyblakłe drukowane litery. Phillpot nałożył okulary, pochylił się nad papierem. Treść była krótka: „Pana żonę zabiła kobieta”.

Phillpot uniósł brwi.

- Niesamowite! - zawołał. - Czy pierwsza kartka też była pisana drukowanymi literami?

- Nie pamiętam. W tamtej nas ostrzegano, żebyśmy się wynosili. Nie pamiętam, jak sformułowano ostrzeżenie. To był na pewno chuligański wybryk. Ta sprawa wygląda nieco inaczej.

- Myśli pan, że kamień wrzucił ktoś, kto coś wie?

- Myślę, że to małpia złośliwość kogoś, kto pisuje anonimy. Sporo jest takich ludzi w małych miasteczkach.

Phillpot zwrócił mi kartkę.

- Ma pan rację. Trzeba to pokazać sierżantowi Keene. Lepiej się zna na anonimach niż ja.

Sierżanta zastałem na posterunku policji. Okazał wielkie zainteresowanie.

- Dziwne rzeczy się dzieją - stwierdził.

- Jak pan myśli, co to może znaczyć?

- Trudno powiedzieć. Może to być zwykła złośliwość, mająca na celu oskarżenie konkretnej osoby.

- Na przykład starej Lee.

- Nie sądzę. Może być tak, a chciałbym w to wierzyć, że ktoś coś widział lub słyszał. Usłyszał hałas, krzyk, zobaczył rozpędzonego konia, a zaraz potem jakąś kobietę. Chodzi chyba jednak nie o tę Cygankę, bo stara Lee jest w powszechnej opinii podejrzana. Wygląda więc na to, że idzie o zupełnie kogoś innego.

- A co z Cyganką? Mieliście o niej jakieś wiadomości, znaleźliście ją?

Wolno pokręcił głową.

- Znamy parę miejsc, gdzie się zazwyczaj wypuszczała. Norfolk, Suffolk, tamte strony. Ma też przyjaciół wśród Cyganów. Twierdzą, że jej nie było, co oczywiście o niczym nie świadczy. Prawdy

nie powiedzą. Owszem, znają ją, ale nikt jej ostatnio nie widział, zresztą nie wydaje mi się, żeby się tak daleko zapuściła.

Powiedział to w szczególny sposób.

- Nie bardzo rozumiem - odezwałem się.

- Niech pan sobie wyobrazi sytuację: ta kobieta się boi. Groziła pańskiej żonie, straszyla ją, a teraz powszechnie się sądzi, że to ona spowodowała wypadek, że przez nią pana żona zginęła. Policja będzie jej poszukiwać. Ona o tym wie i chętnie zaszylałaby się w mysią dziurę, jak najdalej od nas. Poza tym będzie unikać miejsc publicznych. Na przykład pociągu.

- Ale znajdziecie ją? Takiej jak ona niełatwo się ukryć.

- Na pewno. To nie potrwa długo. Oczywiście jeśli ta wersja jest prawdziwa.

- Pan uważa, że było inaczej?

- Zna pan moje zdanie. Myślę, że ktoś ją opłacał.

- Tym bardziej wolałaby się oddalić.

- Nie tylko ona. Jej zniknięcie byłoby bardzo na rękę jeszcze komuś. Niech się pan nad tym zastanowi.

- Chodzi panu o osobę, która ją przekupiła?

- Ni mniej, ni więcej.

- Przypuśćmy, że zrobiła to jakaś kobieta...

- Idźmy dalej. Załóżmy, że ktoś o tym wie. Stąd anonimy. Ta nieznana kobieta też jest w strachu.

Prawdopodobnie nie chciała, żeby wszystko potoczyło się tak, jak się potoczyło. Przestraszyć pańską żonę, tak, ale spowodować śmierć - nie.

- Jestem przekonany, że śmierć nie była zamierzona. Chodziło o wystraszenie nas, Ellie i mnie, żeby nam się odechciało tu mieszkać.

- Teraz przyszła kolej na Esther Lee. Teraz ona się boi. Zacznie śpiewać, mówię panu. Powie, że w gruncie rzeczy jest niewinna. Przyzna się, że brała pieniądze. Zobaczy pan, wskaże palcem, kto ją opłacał. I komuś będzie to nie w smak, panie Rogers.

- Komuś, czyli naszej nieznajomej, o której nawet nie wiemy, czy istnieje? Tak?

- Nieważne, czy ów ktoś to kobieta, czy mężczyzna. Ważne, że przekupił Cyganekę. I chciałby jej szybko zamknąć usta.

- Myśli pan, że ona nie żyje?

- Przyzna pan, że istnieje taka możliwość. - Keene zmienił nagle temat. - Na pana posesji znajduje się domek, wie pan, w tym zakątku na skraju lasu.

- Owszem. I co z tego? Żona i ja wysprzątailiśmy domek, trochę go urządziliśmy. Bywaliśmy tam czasem. Ale ostatnio nie. Dlaczego pan pyta?

- Rozglądaliśmy się po okolicy. Zajrzeliśmy też do tego zakątka. Domek był nie zamknięty.

- Oczywiście. Nawet do głowy nam nie przyszło go zamykać. Nie przechowywaliśmy tam nic wartościowego. Trzymaliśmy tylko niepotrzebne graty.

- Podejrzewaliśmy, że stara Lee mogła z tego domku korzystać, ale na żaden ślad nie trafiliśmy. Znaleźliśmy natomiast to. I tak zamierzałem to panu pokazać. - Otworzył szufladę i wyjął z niej maleńką, ozdobną, złotą zapalniczkę. Była to damska zapalniczka z wysadzonymi diamentami inicjałem. Literą C. - Chyba nie należała do pana żony?

- To nie jej inicjał. Zresztą nie miała nic takiego. I nie jest to własność panny Andersen. Ona ma na imię Greta.

- Ktoś ją tam upuścił. Cenny przedmiocik, kosztowny.

- C - powtórzyłem w zamyśleniu. - Przychodzi mi do głowy tylko Cora. To macocha żony. Cora van Stuyvesant. Ale nie wyobrażam sobie, żeby drapała się do naszego domku zarośniętą ścieżką. Zresztą dawno u nas nie była. Chyba z miesiąc. Nigdy nie widziałem u niej tej zapalniczki. Mogłem, co prawda, nie zauważyć. Trzeba zapytać Grete.

- Niech pan weźmie zapalniczkę i pokaże panie Andersen.

- Dobrze. Jeśli jednak należy do Cory, to dziwne, że sami jej nie znaleźliśmy w naszym Zakątku Fantazji. Nie ma tam dużo rzeczy. Trudno nie zauważyć czegoś takiego na podłodze. Znalazł ją pan na podłodze, prawda?

- Tak, obok tapczanu. Wie pan, mógł ją zgubić ktoś inny.

To wymarzone miejsce na miłosne schadzki. Tylko że nikt z miejscowych nie miałby takiej zapalniczki.

- Pomyślałem o Claudii Hardcastle. Co prawda, wątpię, żeby posiadała tak wyszukane cacko. Poza tym, co by robiła w domku?

- Przyjaźniła się z pańską żoną?

- Owszem, nawet bardzo. Wiedziała, że mogłaby bez problemu korzystać z naszego Zakątka.

- Ach, tak - mruknął sierżant Keene. Spojrzałem na niego twardym wzrokiem.

- Chyba pan nie podejrzewa, że Claudia Hardcastle była wrogiem Ellie? To niewiarygodne.

- Nie ma podstaw do takich przypuszczeń. Ale co to wiadomo z kobietami.

- Zdaje się... - zacząłem i urwałem, bo zamierzałem powiedzieć coś, co nieoczekiwanie przyszło mi do głowy.

- Słucham, panie Rogers.

- Zdaje się, że mąż Claudii Hardcastle był Amerykaninem. Nazywał się Lloyd. Tak się składa, że głównym doradcą Ellie w Stanach jest facet nazwiskiem Lloyd. Stanford Lloyd. Oczywiście są setki Lloydów na świecie i byłby to niesamowity zbieg okoliczności, gdyby chodziło o tego samego człowieka. Zresztą jaki by to miało związek z całą resztą?

- Rzeczywiście mało prawdopodobne. Ale w takim razie... - zawiesił głos.

- Wie pan, zabawna sprawa. Wydawało mi się, że widziałem tu Stanforda Lloyda, wtedy... tamtego dnia. Jadł lunch w barze w Bartington.

- I nie odwiedził pana?

- Nie. Był w towarzystwie kobiety przypominającej Claudię. Ale oczywiście mogło mi się wydawać. Słyszał pan, że brat Claudii projektował nasz dom?

- O! Interesowała się dziełem brata?

- Nie, chyba nie gustuje w jego projektach. - Wstałem. - Cóż, nie będę zajmował panu więcej czasu. Niech pan zrobi wszystko, żeby odnaleźć Cyganę.

- Nie spoczniemy, póki nie trafimy na jej ślad, może pan być spokojny. Koroner też na nią czeka.

Pożegnałem się i opuściłem posterunek. Jakże często sprawdza się powiedzonko: „O wilku mowa, a wilk tu”. I proszę, dziwnym trafem Claudia Hardcastle wychodziła z poczty akurat w momencie, kiedy ja mijałem budynek. Zatrzymaliśmy się. Ona odezwała się pierwsza, z lekkim zakłopotaniem, jakie się odczuwa spotykając osobę, którą świeżo dotknęło nieszczęście.

- Tak mi przykro, Mike, z powodu Ellie. Nie będę mnożyć słów. Okropne są te wszystkie kondolencje. Więc nie chcę nic więcej mówić.

- W porządku, Claudio. Byłaś bardzo dobra dla Ellie. Dzięki tobie poczuła się tu jak w domu.

Nie zapomnę o tym.

- Chciałabym cię jeszcze o coś spytać. Wolę zrobić to teraz, zanim pojedziesz do Ameryki.

Słyszałam, że niedługo wyjeżdżasz.

- Jak tylko będę mógł. Mam tam mnóstwo spraw do załatwienia.

- No więc... gdybyś wystawiał dom na sprzedaż... a pewno chciałbyś uruchomić tę sprawę przed wyjazdem... no więc gdyby tak było, to ja chciałabym mieć prawo pierwokupu.

Spojrzałem na nią szeroko otwartymi oczami. Aż dech mi zaparło. Ostatnia rzecz, jakiej się spodziewałem.

- Chcesz kupić nasz dom? Myślałem, że nie lubisz tego typu architektury.

- Rudolf powiedział mi, że to jego najlepsze dzieło. Chyba wiedział, co mówi. Wyobrażam sobie, że będziesz chciał za niego olbrzymią sumę, ale jestem gotowa zapłacić. Tak, chcę kupić ten dom.

Niesamowite. Nigdy nie wyraziła cienia uznania dla domu, kiedy nas odwiedzała. Zastanawiałem się, zresztą nie po raz pierwszy, jakie były naprawdę jej stosunki z przyrodnim bratem. Czy była do niego przywiązana? Czasem wydawało mi się, że go nie cierpi, wręcz nienawidzi. Zawsze mówiła o nim w dziwny sposób. Nie wiem, jak było naprawdę. Tak czy inaczej, Santonix coś dla niej znaczył. Coś ważnego. Pokręciłem głową.

- A więc przypuszczasz, że będę chciał stąd wyjechać i sprzedać dom, skoro nie ma Ellie. Tylko... widzisz... wcale tak nie jest. Żyliśmy tu razem, byliśmy tu szczęśliwi i tu będę ją pamiętał najlepiej. Nigdy nie sprzedam Cygańskiego Gniazda, za żadne skarby. Pamiętaj o tym.

Nasze spojrzenia spotkały się. Mierzyliśmy się wzrokiem. Ona pierwsza nie wytrzymała i spuściła oczy. Zdobyłem się na odwagę i zapytałem:

- To nie mój interes, ale powiedz, Claudio, czy twój były mąż nazywa się Stanford Lloyd?

Patrzyła na mnie przez chwilę bez słowa. Potem odparła sucho:

- Tak. - I zawróciła na pięcie.

XXI

Zamęt... Jedyne, co pamiętam. Natrętni, żądni wywiadów dziennikarze... Całe stosy listów i telegramów... Wszystko na barkach Grety...

Odkryłem straszną rzecz. Otóż ludzie z otoczenia Ellie wcale nie byli, jak sądziliśmy, w Ameryce. Dowiedziałem się z przerażeniem, że prawie wszyscy przebywają w Anglii. Może w wypadku Cory było to zrozumiałe: ta kobieta nie potrafiła usiedzieć na jednym miejscu, stale przemierzała wzdłuż i wszerz Europę, kręciła się pomiędzy Rzymem, Paryżem i Londynem, po czym wracała do Stanów i jechała do Palm Beach czy na ranczo. Była tu, tam i siam. W dzień śmierci Ellie przebywała jakieś pięćdziesiąt mil od nas. Nie straciła ochoty na dom w Anglii. Pojechała na kilka dni do Londynu, gdzie biegała po agencjach w poszukiwaniu nowych ofert. Tamtego dnia jeździła po okolicy od jednej posiadłości do drugiej.

Stanford Lloyd, jak się okazało, przyleciał do Londynu tym samym co Cora samolotem, jakoby w interesach. Zarówno on, jak i Cora dowiedzieli się o śmierci Ellie nie z telegramów, które wysłaliśmy do Stanów, lecz z gazet.

Powstał nieprzyjemny spór o to, gdzie pochować Ellie. Dla mnie było oczywiste, że powinna zostać pochowana tam, gdzie umarła. Czyli tu, gdzie mieszkaliśmy, ona i ja.

Rodzina Ellie przeciwstawiała się temu bardzo gwałtownie. Chcieli przetransportować zwłoki Ellie do Ameryki, żeby spoczywały obok prochów jej dziadka, ojca i matki. Cóż, właściwie trudno

się temu dziwić.

Andrew Lippincott przyjechał ze mną pomówić. Przedstawił sprawę spokojnie i rozsądnie.

- W ostatniej woli brak dyspozycji, gdzie ma zostać pochowana - zauważył.

- Dlaczego miałyby o tym myśleć? - zaperzyłem się. - Ile miała lat? Dwadzieścia jeden. Jak się ma dwadzieścia jeden lat, nie myśli się o śmierci. Ani o miejscu na cmentarzu. Gdybyśmy kiedykolwiek to wspólnie rozważali, nie wątpię, że chcielibyśmy leżeć obok siebie, bez względu na to, które z nas umrze pierwsze. Ale kto się nad tym zastanawia w samym środku życia?

- Słuszne spostrzeżenie - rzekł Lippincott. I dodał: - Obawiam się, że i tak będziesz musiał pojechać do Ameryki. Wejrzeć w interesy.

- Jakie interesy? Co ja mam wspólnego z interesami?

- Nawet wiele. Nie zdajesz sobie sprawy, że jesteś głównym spadkobiercą Ellie?

- Jako jej mąż?

- Zgodnie z jej testamentem.

- Nie wiedziałem, że zrobiła testament.

- Oczywiście. Ellie była kobietą interesu. Jakże mogło być inaczej w świecie, w którym żyła? Sporządziła testament, kiedy osiągnęła pełnoletność, zaraz po waszym ślubie. Złożyła go u swego adwokata w Londynie, a jeden egzemplarz dostałem ja. - Zawahał się na moment, po czym podjął: - Jeśli przyjedziesz do Stanów, co ci doradzam, powinieneś powierzyć swoje sprawy renomowanemu prawnikowi.

- Dlaczego?

- Bo przy tak wielkim majątku, nieruchomościach, akcjach, udziałach będziesz potrzebował fachowej opieki.

- Nie znam się na tym. To nie dla mnie.

- Wyobrażam sobie.

- Czy mógłbym wszystko powierzyć panu?

- Mógłbyś.

- No to załatwione.

- Mimo wszystko jednak jestem zdania, że powinieneś mieć swojego prawnika, który by cię reprezentował. Działam już w imieniu innych członków rodziny, nie mogę wykluczyć sprzeczności interesów. Mógłbym dopilnować, żeby twoje sprawy dostały się w ręce sumiennego prawnika.

- Dziękuję. Jestem panu bardzo wdzięczny.

- Pozwolę sobie na pewną poufałość... - Wyglądał na skrepowanego, a ja zaśmiałem się w duchu, widząc nową twarz Lippincotta.

- Słucham.

- Bądź bardzo ostrożny przy podpisywaniu dokumentów. Wszelkich dokumentów dotyczących twoich interesów. Najpierw sto razy wszystko przeczytaj.

- Czy taki dokument coś mi w ogóle powie? Choćbym czytał i sto razy?

- Jeśli nie będzie jasny, zasięgniesz rady swojego prawnika.

- Ostrzega mnie pan przed kimś? - zapytałem z rosnącą ciekawością.

- Nie odpowiem ci na to pytanie. Wiedz jedno, jeśli w grę wchodzi wielkie pieniądze, lepiej nikomu nie ufać.

A jednak mnie ostrzegał, tylko nie chciał wskazywać palcem. Jasna sprawa. Może podejrzewał Corę? Albo, i to już od dawna, Stanforda Lloyda, tego złotoustego bankiera, pozornie dobrodusznego,

na luzie, który ostatnio zjawiał się tu w „interesach”? Taki wuj Frank też mógł podsunąć mi do podpisu dogodny dokumencik. Ujrzałem nagle siebie, bezbronnego naiwniaka, jak pływam w jeziorze, otoczony zewsząd krokodylami, szczerzącymi kły w fałszywym uśmiechu.

- Wyjątkowo podły jest ten ziemski padół - westchnął Lippincott.

Potem zapytałem go jeszcze o coś, może trochę głupio, nie wiem.

- Czy ktoś skorzystał na śmierci Ellie? Spojrzał na mnie ostro.

- Bardzo dziwne pytanie. Dlaczego przyszło ci ono do głowy?

- Nie wiem. Tak sobie pomyślałem.

- Ty oczywiście.

- To jasne. Ale czy ktoś poza mną?

Lippincott milczał dobrą chwilę.

- Przypuszczam, że chodzi ci o to, czy Fenella w testamencie komuś coś zapisała. Otóż bardzo niewiele. Zapisała coś dla dawnej służby, coś dla swojej guwernantki, coś na cele dobroczynne, ale to wszystko nic wielkiego. Panna Andersen jest wśród spadkobierców, nie ma jednak znacznego udziału. Otrzymała już pokaźną sumę, wiesz chyba o tym?

Skinałem głowę.

- Fenella nie miała bliskiej rodziny - podjął. - Ale chyba nie o to ci chodziło?

- Sam nie wiem o co. W każdym razie udało się panu mnie postraszyć. Stałem się podejrzliwy. Nie w stosunku do konkretnej osoby. Bez powodu. Po prostu podejrzliwy. Na finansach się nie znam.

- To oczywiste. Wiedz zresztą, że i ja nie mam konkretnych podejrzeń. Kiedy ktoś umiera, zazwyczaj rozlicza się jego interesy. Może to nastąpić szybko, a może ciągnąć się latami.

- Myślę, że rozumiem pana. Pana zdaniem, ktoś będzie chciał namącić, wystawić mnie do wiatru. Na przykład skłonić do podpisania jakiś przelewów czy diabli wiedzą czego.

- Może ujmijmy to tak. Gdyby interesy Fenelli nie były uporządkowane, wtedy owszem, jej przedwczesna śmierć mogłaby być dla kogoś, oczywiście bez nazwisk, tak zwanym uśmiechem losu. Powiedzmy, że tej osobie łatwiej przyszłoby ukryć swoje zamiary, mając do czynienia z szarym człowiekiem, jeśli wolno mi użyć tego określenia, takim jak ty. Poprzestańmy na tym, nie chcę roztrząsać tej kwestii. Byłoby to niewłaściwe.

W kościółku odbyło się skromne nabożeństwo żałobne. Gdybym mógł, najchętniej zostałbym w domu. Ten tłumek przed kościołem, te świdrujące oczy, te wścibskie spojrzenia, okropność! Greta pomogła mi wziąć się w garść. Dopiero teraz dotarło do mnie, do jakiego stopnia można na niej polegać, jaka jest silna i zaradna. Zająła się wszystkim, łącznie z kwiatami. Zrozumiałem teraz lepiej uzależnienie Ellie. Nieczęsto zdarza się taka Greta.

W nabożeństwie uczestniczyli przeważnie nasi sąsiedzi, niektórych ledwo znałem. W tłumie zauważyłem mężczyznę, którego na pewno kiedyś spotkałem, ale nie mogłem skojarzyć gdzie i kiedy. Po powrocie do domu Carson oznajmił, że w salonie czeka na mnie gość.

- Nikogo dziś nie przyjmuję. Niech przyjdzie kiedy indziej. Po coś go wpuścił?

- Bardzo pana przepraszam, ale on twierdzi, że jest z rodziny.

- Z rodziny?

Przypomniałem sobie nagle mężczyznę z kościoła.

Carson wręczył mi wizytówkę.

W pierwszej chwili nazwisko nic mi nie powiedziało. William R. Pardoe. Poszukałem w pamięci, pokręciłem głowę i podałem wizytówkę Grecie.

- Nie wiesz przypadkiem, kto to jest? Widziałem tego człowieka w kościele, ale nie mogę go sobie z nikim skojarzyć. Może to jakiś znajomy Ellie?

Greta wzięła ode mnie wizytówkę, przeczytała i powiedziała szybko:

- Naturalnie że wiem.

- Kto to?

- Wuj Reuben. Wiesz, ten kuzyn Ellie. Na pewno ci o nim opowiadała.

Wreszcie zrozumiałem, dlaczego człowiek z kościoła wydał mi się znajomy. Ellie w swojej bawialni poustawiała tu i tam zdjęcia rodzinne. Stąd znałem tę twarz. Z fotografii.

- Zaraz przyjdę - powiedziałem.

Kiedy wszedłem do salonu, Pardoe wstał.

- Pan jest Michael Rogers? - spytał. - Moje nazwisko pewno nic panu nie mówi. Jestem kuzynem Ellie. Chyba wspominała panu o wuju Reubenie. To właśnie ja. Nie mieliśmy dotąd okazji się poznać, jestem tu po raz pierwszy od czasu waszego ślubu.

- Oczywiście że o panu słyszałem.

Jakby tu opisać Reubena Pardoe? Wielki całkiem niczego facet o szerokiej twarzy, trochę nieobecnej, jakby myślami bujał zupełnie gdzie indziej. Ale już po kilku minutach rozmowy można się było zorientować, że ten człowiek mocno stoi na ziemi.

- Nie muszę chyba pana zapewniać, z jakim zaskoczeniem i bólem przyjąłem wiadomość o śmierci Ellie.

- Dajmy temu spokój. Nie chcę o tym mówić.

- Tak, świetnie pana rozumiem.

Wyglądał mi na równego chłopca. Mimo to było w nim coś takiego, że czułem się nieswojo. Weszła Greta.

- Zna pan Gretę Andersen? - spytałem.

- Oczywiście. Co u pani, Greto?

- Jakoś się trzymam - odparła. - Pan od dawna w Anglii?

- Ze dwa tygodnie. Szwendalem się tu i tam.

Nagle doznałem olśnienia i pod wpływem impulsu wypaliłem:

- Widziałem już pana.

- Naprawdę? Gdzie?

- Na aukcji w Bartington Manor.

- Ach, rzeczywiście. Teraz przypominam sobie. Był pan w towarzystwie mężczyzny koło sześćdziesiątki, z ciemnym wąsikiem.

- Zgadza się. Z majorem Phillipotem.

- Humor wyraźnie wam dopisywał. Zwłaszcza panu.

- Jak nigdy. - I powtórzyłem, nie mogąc wyjść ze zdumienia: - jak nigdy.

- No tak. Wtedy jeszcze nie wiedzieliście. To było w dniu wypadku, prawda?

- Tak, Ellie miała dołączyć do nas na lunch.

- Cóż za tragedia! Prawdziwa tragedia - westchnął wuj Reuben.

- Nie miałem pojęcia, że jest pan w Anglii. Chyba Ellie też pan nie zawiadamiał? - zawiesiłem głos, ciekaw, jaka będzie odpowiedź.

- Nie pisałem do niej. Nie wiedziałem przecież, ile będę miał czasu. Załatwiłem jednak swoje sprawy dużo szybciej, niż się spodziewałem, i zamierzałem po aukcji złożyć wam wizytę.

- Przyjechał pan do Anglii w interesach? - dopytywałem się.

- I tak, i nie. Cora prosiła mnie o radę w pewnych sprawach. Między innymi domu, który chce kupić.

Wtedy to dowiedziałem się, że Cora była w Anglii.

- Nie mieliśmy o tym pojęcia - zauważyłem.

- Zresztą zatrzymała się tamtego dnia niedaleko stąd.

- Jak to? W hotelu?

- Nie, u znajomej.

- Ma tu znajomych?

- Och, jakże się ona nazywa? Hard coś tam. Hardcastle.

- Claudia Hardcastle? - spytałem z niedowierzaniem.

- Tak. To dobra znajoma Cory. Jeszcze ze Stanów. Nie słyszał pan?

- Nie słyszałem. Okazuje się, że o rodzinie wiem bardzo niewiele.

Spojrzałem na Gretę.

- A ty, Greto, wiedziałaś, że Cora zna się z Claudią?

- Nie przypominam sobie, żeby Cora coś o niej przy mnie wspominała. Więc dlatego Claudia się wtedy nie zjawiała.

- Jasne. Byłyście umówione na stacji w Market Chadwell. Miałyście jechać razem na zakupy do Londynu.

- Tak. I Claudia nie przyjechała. Zadzwoniła zaraz po moim wyjściu. Zostawiła wiadomość, że ma niespodziewanego gościa z Ameryki i nie może wyjść z domu.

- Ciekaw jestem - zastanawiałem się - czy tym gościem z Ameryki była Cora.

- Na pewno - wtrącił Reuben. Pokręcił głową. - Wszystko to bardzo zagmatwane. Śledztwo, jak rozumiem, odroczone.

- Tak - potwierdziłem. Dopił herbatę i wstał.

- No, nie będę dłużej się naprzykrzał. Gdybym mógł w czymś pomóc, znajdziecie mnie państwo w Majestic Hotel w Market Chadwell.

Powiedziałem, że niestety w niczym nie może mi pomóc, ale podziękowałem za dobre chęci. Kiedy wyszedł, Greta powiedziała:

- Ciekawa jestem, czego on chce. Po co przyjechał? - I dodała gwałtownie: - Och, żeby już się wynieśli tam, skąd przyszli!

- Wiesz, nie daje mi spokoju pytanie, czy ten facet wtedy u George'a to był Stanford Lloyd. Widziałem go przez mgnienie oka.

- Mówiłeś, że był z kimś podobnym do Claudii, więc to pewnie on. Może przyjechał do Claudii, a Reuben do Cory. Co za pomieszanie z poplątaniem!

- Nie podoba mi się to wszystko. Ilu ich się tu kręciło tamtego dnia!

Greta ze swą zwykłą pogodą i rozsądkiem stwierdziła, że tak to właśnie bywa.

XXII

Nie było już nic do roboty w Cygańskim Gnieździe. Zostawiłem dom pod opieką Grety, a sam popłynąłem do Nowego Jorku, żeby pozalać sprawy i wziąć udział w czymś dla mnie upiornym: pogrzebie Ellie. Miał się odbyć z wielką pompą.

- Pamiętaj, znajdziesz się w dżungli - ostrzegła mnie Greta. - Uważaj. Nie daj się żywcem obedrzeć ze skóry.

Racja! To była dżungla. Zorientowałem się od razu po przyjeździe. Nie znałem się na dżunglach, nie tego rodzaju. Czułem, że grunt usuwa mi się spod nóg. Nie byłem myśliwym, byłem zwierzyną. W zaroślach czaili się ludzie złożeni do strzału. Czasami instynkt mnie zawodził, ale czasami miałem dobrego nosa.

Pamiętam moje spotkanie z następczym mi przez Lippincotta prawnikiem (wielkim światowcem, który traktował mnie jak lekarz pacjenta). Poradzono mi, żebym pozbył się pewnych kopalni, których tytuł własności nie jest całkiem jasny.

Mój prawnik zapytał, kto mi tak doradził, a ja odparłem, że Stanford Lloyd.

- To trzeba sprawdzić. Pan Lloyd wie, co mówi.

Później powiedział mi:

- Pańskie tytuły własności są w najlepszym porządku. Nie ma powodu, żeby w pośpiechu sprzedawać kopalnie, jak panu doradzono. Niech pan się ich nie pozbywa.

Pogrzeb był wspianały i, moim zdaniem, okropny. Wielka pompa, tak jak przewidziałem. Tony kwiatów. Cmentarz niczym park publiczny. Monumentalny zdobiony marmur, z którego bił przepych. Ellie napawałoby to obrzydzeniem, to pewne. Ale w końcu jej rodzina miała swoje prawa.

W cztery dni po moim przyjeździe do Nowego Jorku otrzymałem wiadomość z Kingston Bishop.

Zwłoki Esther Lee znaleziono na zboczu opuszczonego kamieniołomu. Nie żyła od kilku dni. Zdarzały się tam wcześniej wypadki i wciąż się mówiło, zresztą bez skutku, że trzeba teren ogrodzić. Wydano orzeczenie, że śmierć nastąpiła przypadkowo i zalecono radzie gminnej, żeby postawiła ogrodzenie. W domku starej Lee odkryto pod listwą podłogi trzysta funtów w banknotach stufuntowych.

W postscriptum major Phillipot donosił: „I jeszcze tragiczna wiadomość: Claudia Hardcastle nie żyje. Spadła wczoraj z konia na polowaniu i zginęła na miejscu”.

Claudia? Zginęła? Nie mogłem w to uwierzyć. Wstrząsnęło to mną do głębi. W ciągu dwóch tygodni dwa śmiertelne upadki z konia. Zupełnie niewiarygodny zbieg okoliczności.

Nie będę się rozwodził nad moim pobytom w Stanach. Byłem jak obcy człowiek w obcym otoczeniu. Czułem, że muszę uważać na to, co mówię, co robię. Ellie, którą znałem, Ellie, która należała do mnie, gdzieś znikła. Teraz widziałem już tylko młodą Amerykankę, dziedziczkę olbrzymiej fortuny, otoczoną przyjaciółmi, dalekimi krewnymi i powinowatymi, przedstawicielkę rodziny żyjącej w Stanach od pięciu pokoleń. Ellie lotem komety przyleciała do mnie na krótką gościnę.

Teraz wróciła do siebie. Pochowana pośród swoich, w rodzinnych stronach. Byłem z tego zadowolony. Czułbym się nieswojo, gdyby leżała na skromnym cmentarzu na skraju miasteczka, pod sosnowym lasem. Tak, czułbym się nieswojo.

„Wracaj do tych, do których należysz, Ellie” - powiedziałem w duchu.

Prześladowała mnie natrętna melodia piosenki, którą Ellie nuciła grając na gitarze. Pamiętam, jak jej palce delikatnie dotykały strun.

Każdego ranka, każdej nocy

Dla szczęśliwości ktoś się rodzi.

Pomyślałem; „To dotyczy ciebie, Ellie. Ty urodziłaś się dla szczęśliwości. Miałaś swoją szczęśliwość tam, w Cygańskim Gnieździe. Tyle że nie na długo. I już po wszystkim. Wróciłaś tu, gdzie nie zaznałaś szczęśliwości. Ale przynajmniej jesteś u siebie. Wśród swoich”.

I nagle spróbowałem sobie wyobrazić, gdzie mnie pochowają, kiedy przyjdzie na mnie pora. W

Cygańskim Gnieździe? Bardzo możliwe. Przyjedzie matka, odprowadzi mnie do grobu, o ile będzie jeszcze żyła. Ale nie mogłem sobie wyobrazić, że matka nie żyje. Już prędeż własną śmierć. Tak, matka przyjdzie na mój pogrzeb. Może zniknie jej na chwilę z twarzy zwykła surowość. Przegnałem te myśli. Nie chciałem jej wspominać, być blisko niej. Nie chciałem jej widzieć.

Nie, to nie tak. Chodzi mi o to, że przy spotkaniach z moją matką nie ja widziałem ją, ale ona widziała mnie. Przeszywała mnie wzrokiem na wskroś, a jej niezdrowy niepokój przenikał mnie całego. Pomyślałem: „Matki są z piekła rodem! Dlaczego muszą trząść się nad dziećmi? Dlaczego uważają, że znają swoje dzieci na wylot? Nie znają! Nie! Powinna być ze mnie dumna, cieszyć się moim szczęściem, radować się, że tak mi się cudownie ułożyło w życiu. Powinna...” I znowu uciałem te rozmyślenia.

Jak długo byłem w Stanach? Nie pamiętam. Dla mnie trwało to wieki. Uważać na każdy krok, czuć na sobie wzrok ludzi, fałszywe uśmiechy i wrogie spojrzenia - to istna męka. Co dzień powtarzałem sobie w duchu: „Muszę przez to przejść. Muszę przez to przejść... a potem...” Te dwa słowa wciąż powracały. Oczywiście w myślach. Codziennie, wielokrotnie. „A potem...” Dwa słowa oznaczające przyszłość. Używałem ich tak, jak kiedyś słowa „chcę”.

Wszyscy byli dla mnie bardzo uprzejmi, po prostu wychodzili ze skóry, byłem przecież bogaty. Testament Ellie czynił mnie niezwykle bogatym człowiekiem. Czuję się bardzo dziwnie. Posiadałem lokaty, o których nie miałem bladego pojęcia, udziały, akcje, nieruchomości. I kompletnie nie wiedziałem, co z tym wszystkim zrobić.

W przeddzień wyjazdu do Anglii miałem dłuższą rozmowę z Lippincottem. W myślach zawsze pojawiał mi się jako Lippincott. Nigdy jako wuj Andrew. Powiedziałem mu, że zamierzam wycofać moje sprawy z rąk Stanforda Lloyd'a.

- Coś podobnego! - Uniósł siwe brwi. Patrzył na mnie swymi przenikliwymi oczami, z nieodgadnioną twarzą, a ja zastanawiałem się, co to jego „coś podobnego” mogło oznaczać.

- Uważa pan to za właściwe posunięcie? - spytałem niespokojnie.

- Masz chyba jakieś powody do takiego kroku?

- Nie, nie mam żadnych powodów. Przeczucie i tyle. Mogę chyba być z panem szczerzy?

- Zapewniam cię, że wszystko zostanie między nami.

- Dobrze, powiem panu. Mam przeczucie, że to oszust.

- O! - Lippincott spojrział na mnie z zainteresowaniem. - Powiedziałbym, że masz zdrowy instynkt.

Zrozumiałem wtedy, że mam rację. Stanford Lloyd wyprawiał rozmaite hocki-klocki z majątkiem Ellie. Podpisałem pełnomocnictwa i wręczyłem je Lippincottowi.

- Wyraża pan zgodę?

- Jeśli chodzi o kwestie finansowe, możesz na mnie całkowicie polegać. Zrobię wszystko, żebyś wyszedł jak najlepiej. Chyba nie będziesz miał powodu, by narzekać na mnie jako na pełnomocnika.

Zastanowiłem się, o co mu właściwie chodzi. O coś mu chodziło. Chyba o to, że mnie nie lubi, że nigdy mnie nie lubił, ale ponieważ byłem mężem Ellie, zobowiązuje się czuwać nad moimi finansami. Podpisałem dokumenty. Spytał mnie, czym wracam do Anglii. Samolotem? Odparłem, że nie, że wracam statkiem. „Muszę mieć trochę czasu dla siebie - powiedziałem. - Rejs statkiem dobrze mi zrobi”.

- I gdzie zamierzasz osiąść?

- W Cygańskim Gnieździe.

- Ach, tak. Naprawdę chcesz tam mieszkać?

- Oczywiście.

- Sądziłem, że wystawisz dom na sprzedaż.

- Nie - powiedziałem, i to „nie” zabrzmiało ostrzej, niż tego chciałem. Cygańskie Gniazdo było ucieleśnieniem moich marzeń, marzeń sięgających szczenięcych lat.

- Kto opiekuje się domem pod twoją nieobecność? Odparłem, że powierzyłem nad nim pieczę Grecie Anderson.

- Ach, tak, rozumiem. Greta.

Wydawało mi się, że coś chciał przez to powiedzieć, ale co? Miałem go zapytać? Jeżeli jej nie lubił, no to nie lubił i kropka. Zawsze tak pewno było. Nastąpiła chwila nieprzyjemnego milczenia. Wreszcie zdecydowałem się. Czuję, że coś muszę powiedzieć, cokolwiek.

- Greta była bardzo dobra dla Ellie. Opiekowała się nią w chorobie. Zamieszkała z nami, dbała o nią, nie wiem, jak jej się odwdzięczę. Chciałbym, żeby pan o tym wiedział. Nie ma pan pojęcia, jak mi pomogła, ile dla mnie zrobiła po śmierci Ellie. Nie wyobrażam sobie, jakbym sobie bez niej poradził.

- Tak, tak - rzekł Lippincott. Trudno o bardziej oschły ton.

- Widzi pan, wiele jej zawdzięczam.

- Tak, bardzo bystra dziewczyna. Wstałem, pożegnałem się i podziękowałem mu.

- Nie masz mi za co dziękować - jak zawsze sucho stwierdził Lippincott. - I dodał: - Napisałem do ciebie liścik. Wysłałem go drogą lotniczą do Cygańskiego Gniazda. Jeśli wracasz statkiem, list powinien na ciebie czekać w domu. Życzę miłej podróży.

Spytałem go jeszcze, z pewnym wahaniem, czy znał żonę Stanforda Lloyda, Claudię Hardcastle.

- A, jego pierwszą żonę. Nie, nigdy jej nie poznałem. Małżeństwo rozpadło się, o ile wiem, zaraz po ślubie. Po rozwodzie on ożenił się po raz drugi. I po raz drugi się rozwiódł.

A więc to takie buty, pomyślałem.

W hotelu czekał na mnie telegram. Wzywano mnie do szpitala w Kalifornii, gdzie leżał mój przyjaciel Rudolf Santonix. Był umierający i chciał mnie widzieć przed śmiercią.

Przesunąłem rezerwację biletu na statek do Anglii i poleciałem do San Francisco, do Santonixa. Zastałem go jeszcze przy życiu, choć gasł w oczach. Lekarze mieli wątpliwości, czy odzyska przytomność przed śmiercią, domagał się jednak, podobno bardzo gwałtownie, żebym przyjechał. Siedziałem w pokoju szpitalnym i patrzyłem na człowieka, który wyglądał jak szkielet dawnego Santonixa. Prawda, że zawsze sprawiał wrażenie chorego, że dostrzegało się w nim jakąś dziwną przezroczyść, delikatność, kruchość. Ale teraz był jak martwy, jak figura woskowa. Myślałem: „Żeby tylko przemówił. Powiedział coś. Cokolwiek powiedział przed śmiercią”.

Czuję się samotny, przeraźliwie samotny. Uciekłem od wrogich mi ludzi, znalazłem się u boku przyjaciela. Mojego jedyne przyjaciela. Jedyne człowieka, który mnie naprawdę znał, nie licząc oczywiście mamy. Ale nie chciałem myśleć o mamie.

Raz czy drugi zagadnąłem pielęgniarkę, dopytywałem się, czy można coś jeszcze zrobić, ale ona tylko pokręciła głową i powiedziała wymijająco:

- Może odzyska przytomność, a może nie.

Czekałem. Wreszcie poruszył się i westchnął. Pielęgniarka uniosła go ostrożnie. Patrzył na mnie, ale nie wiem, czy mnie poznał. Po prostu patrzył i miałem wrażenie, że patrzy gdzieś poza mną. Raptem w jego spojrzeniu dostrzegłem zmianę. Pomyślałem: „Poznaje mnie, widzi mnie”.

Powiedział coś, ledwo poruszając wargami. Pochyliłem się nad łóżkiem, żeby go zrozumieć. Dotarły do mnie jednak jakieś słowa bez związku. I nagle jego ciało chwycił gwałtowny skurcz, on zaś odrzucił głowę do tyłu i dobył z siebie krzyk:

- Ty cholerny głupcze! Dlaczego nie poszedłeś inną drogą?

Po czym opadł na łóżko i skonał.

Nie wiem, o co mu chodziło, może sam nie wiedział, co mówi.

Tak wyglądało moje ostatnie spotkanie z Santonixem. Zastanawiam się, czy usłyszałby, gdybym do niego przemówił. Chciałem mu przecież powiedzieć raz jeszcze, że dom, który zbudował, był dla mnie czymś wyjątkowym. Czymś najważniejszym.

Ciekawe, że dom może aż tyle dla człowieka znaczyć. To musi być coś symbolicznego. Coś, czego się pragnie. A pragnie się tego tak mocno, że już dokładnie nie wiadomo, co to jest. Ale on, Santonix, wiedział i ofiarował mi to. Otrzymałem to od niego. A teraz do tego wracałem. Jechałem do domu.

Do domu. O niczym innym nie mogłem myśleć, od chwili kiedy wsiałem na pokład. Z początku śmiertelne zmęczenie... Potem poczułem, jak wzbiera w mnie, gdzieś w głębi, fala szczęścia... Jadę do domu. Do domu.

Żeglarz do domu wrócił z mórz

I wrócił z górskich kniej myśliwy.

XXIII

I ja też wracałem. Wszystko już było za mną. Koniec zmagania, walki. Podróż dobiegła kresu.

Gdzie te czasy, kiedy coś mnie wiecznie gnało, czasy mojego „chcę”? A przecież jeszcze tak niedawno... Niecały rok temu...

Leżąc w koi, przypominałem sobie wszystko po kolei. Pierwsze spotkanie z Ellie, nasze randki w Regent's Park, ślub w urzędzie stanu cywilnego. Dom... jak wznosił się cegła po cegle pod okiem Santonixa... zakończenie budowy. Wszystko to moje, moje. I ja, taki, jaki zawsze chciałem być. Od zawsze. Miałem to, czego pragnąłem, i do tego wracałem.

Jeszcze przed wyjazdem z Nowego Jorku napisałem list i wysłałem go pocztą lotniczą, żeby dotarł na miejsce przede mną. Napisałem do Phillpota. Nie wiem dlaczego, czułem, że Phillpot, w przeciwieństwie do całej reszty, mnie rozumie. Łatwiej napisać niż powiedzieć. Zresztą i tak się dowie. Wszyscy się dowiedzą. Niektórzy nie rozumieją, on chyba tak. Widział na własne oczy, jak blisko były ze sobą Ellie i Greta, do jakiego stopnia Ellie zależała od Greta. Chyba zdawał sobie sprawę, że i ja koniec końców uzależniłem się, że nie byłem w stanie mieszkać bez Ellie sam w naszym domu. Musiałem mieć wsparcie. Staralem się jak najzręczniejszym wyłożyć mu kawę na ławę. Może mogłem to zrobić lepiej, nie wiem.

„Chciałbym - pisałem - żeby Pan się dowiedział pierwszy. Był Pan dla nas bardzo dobry, myślę, że Pan jeden rozumie. Nie czuję się na siłach, żeby mieszkać samotnie w Cygańskim Gnieździe. Przemyślałem wszystko w Ameryce i podjąłem decyzję. Kiedy tylko wrócę do domu, zapytam Gretę, czyby za mnie nie wyszła. To jedyna osoba na świecie, z którą mogę rozmawiać o Ellie. Ona rozumie. Może mi odmówi, ale przypuszczam, że raczej się zgodzi. To będzie tak, jakby cała nasza trójka wciąż była razem”.

Trzykrotnie pisałem ten list, zanim udało mi się wyrazić to, co chciałem. Phillpot powinien go otrzymać na dwa dni przed moim powrotem.

Kiedy dopływaliśmy do wybrzeży Anglii, wyszedłem na pokład. Obserwowałem zbliżający się

ład. Pomyślałem: „Chciałbym, żeby był ze mną Santonix”. Naprawdę tego chciałem. Chciałem, żeby zobaczył, jak wszystko się spełniło. Wszystkie moje plany, marzenia, pragnienia.

Strząsałem z siebie całą Amerykę, wszystkich oszustów, pochlebców, całą tę zgraję, której nienawidziłem i która, to pewne, nienawidziła mnie i patrzyła na mnie z góry, jak na kogoś gorszego, człowieka z gminu. Wracalem jako triumfator. Wracalem do swoich sosen, do krętej, niebezpiecznej drogi prowadzącej przez Cygańskie Gniazdo, do domu na wzgórzu. Do mojego domu! Wracalem do dwóch upragnionych rzeczy. Do domu, domu moich marzeń, którego przez całe życie pragnąłem ponad wszystko. I do wspaniałej kobiety... Zawsze wiedziałem, że spotkam kiedyś wspaniałą kobietę. I spotkałem ją. Dostrzegłem ją, ona dostrzegła mnie i zesłaliśmy się. Tak, moja wspaniała kobieta. W chwili, kiedy ją zobaczyłem, zrozumiałem, że do niej należę. Całkowicie i na zawsze. Byłem jej. I teraz, nareszcie, do niej jechałem.

Nikt nie widział, jak przyjeżdżam do Kingston Bishop. Było prawie ciemno, kiedy wysiadłem z pociągu. Szedłem piechotą ze stacji, okrężną, boczną drogą. Nie chciałem nikogo spotkać. Nie tego wieczoru...

Słońce już zaszło, gdy znalazłem się na drodze prowadzącej do Cygańskiego Gniazda. Zawiadomiłem Gretę, o której przyjeżdżam. Była w domu, czekała. Nareszcie! Koniec z wybiegami, z udawaniem, że jej nie cierpię. Śmiejąc się w duchu, myślałem o roli, którą odegrałem, którą grałem od samego początku. Moją niechęć do Grety, opór przed jej przyjazdem do nas i pozostaniem przy Ellie, całą tę komedię odegrałem po mistrzowsku. Albo ta kłótnia, na którą nabraliśmy Ellie! Wszystkich wystawiłem do wiatru.

Greta od pierwszej chwili wiedziała, jaki jestem. Nie mieliśmy żadnych złudzeń co do siebie. Podobnie myślała, miała te same pragnienia co ja. Naszym pragnieniem był świat, ni mniej, ni więcej! Chcieliśmy być na jego wierzchołku. Spełnić wszystkie ambicje, mieć wszystko, niczego sobie nie odmawiać. Pamiętam, jak obnażyłem się przed nią, kiedy ją poznałem w Hamburgu, jak zwierzyłem się jej z moich szaleńczych pragnień. Przed Gretą nie musiałem się ukrywać ze swoją łapczywością życia bez umiaru, ona była nie mniej łapczywa niż ja. Powiedziała:

- Chcę wyssać życie jak cytrynę, ale na to potrzebne są pieniądze.

- Wiem. I nie widzę sposobu, żeby je zdobyć.

- Na pewno nie zdobędziesz ich własną pracą. To nie dla ciebie.

- Praca! - zawołałem. - Musiałbym harować całymi latami. Nie zamierzam czekać, aż stuknie mi czterdziestka. Znasz tę historię o Schliemannie. Tyrał jak wół, żeby się dorobić, pojechać do Troi i odkopać trojańskie groby. Spełnić marzenie swojego życia. Zrealizował je, ale dopiero po czterdziestce. Ani mi się śni tak długo zwlekać. Aż będę stary. Jedną nogą w grobie. Chcę tego wszystkiego już teraz, kiedy jestem młody i silny. A ty?

- Ja też. I wiem, jak to zrobić. Nic łatwiejszego. Dziwne, że sam na to nie wpadłeś. Dziewczyny lecą na ciebie. Widzę to. Czuję.

- Myślisz, że zależy mi na dziewczynach? Że mi kiedykolwiek zależało? Pragnę tylko jednej. Ciebie. Wiesz o tym dobrze. Należę do ciebie. Zrozumiałem to w chwili, kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłem. Wiedziałem, zawsze wiedziałem, że spotkam kiedyś taką dziewczynę jak ty. No i spotkałem. I należę do ciebie.

- Chyba rzeczywiście - stwierdziła Greta.

- Pragniemy tego samego w życiu, ty i ja.

- Powtarzam, nic prostszego. Wystarczy, żebyś się ożenił z bogatą panną, jedną z najbogatszych

na świecie. Ja ci to ułatwię.

- Nie pleć.

- Wcale nie plotę. Mówiłam ci, nic łatwiejszego.

- Nie, nie dla mnie takie numery. Nie zamierzam być mężem bogatej żony, która mnie obsypie złotem i zamknie w złotej klatce. Mnie nie o to chodzi. Nie chcę być przez całe życie niewolnikiem.

- Wcale nie będziesz. To nie musi trwać wiecznie. Tylko jakiś czas. Żony umierają, prawda?

Szeroko otworzyłem oczy.

- Zażyłam cię, co? Wstrząśnięty?

- Skądże.

- Tak myślałam. A może to dla ciebie nie nowina? - Spojrzała na mnie badawczo, ale ja nie zamierzałem jej odpowiedzieć.

Resztki instynktu samozachowawczego. Człowiek ma pewne tajemnice, z którymi przed nikim nie chce się zdradzić. Moje były dość nietypowe i nie lubiłem o nich myśleć. Na przykład pierwsza. Och, zawsze niechętnie do niej wracałem. Zresztą głupia sprawa. Dziecinada. Drobnostka. Kiedy byłem jeszcze szczeniakiem, marzył mi się elegancki zegarek na rękę, dokładnie taki, jaki dostał w prezencie mój szkolny kolega. Chciałem go mieć. Okropnie chciałem. Kosztował furę pieniędzy. Kolega dostał go od bogatego chrzestnego. Cóż z tego, że pragnąłem tego zegarka, nie miałem przecież żadnych szans na taki prezent. Poszliśmy kiedyś z kolegą na łyżwy. Lód był cienki. Zresztą nic sobie nie zaplanowałem. Przypadek. Lód zaczął pod chłopakiem trzeszczeć. Podjechałem do niego. Był już w wodzie. Wpadł do przerębla i czepiał się lodu, który mu ranił rękę. Zamierzałem go wyciągnąć, rzecz jasna, ale w chwili gdy podjechałem, błysnął mi przed oczami zegarek. Pomyślałem: „A gdyby tak poszedł pod wodę i się utopił...” To takie proste. Prawie automatycznie odpiąłem pasek, ściągnąłem mu zegarek z ręki i wepchnąłem chłopaka pod lód zamiast wyciągnąć go z przerębla... Przytrzymałem mu głowę. Nie miał ze mną szans, był pod lodem. Ludzie zobaczyli nas z brzegu i pośpieszyli na pomoc. Myśleli, że próbuję ratować tonącego. Wyciągnęli go z trudem po jakimś czasie. Zastosowano sztuczne oddychanie, za późno! Ukryłem swój skarb w schowku, gdzie trzymałem rozmaite rzeczy, których nie chciałem pokazywać mamie. Zaraz by pytała, skąd je wziąłem. W końcu znalazła zegarek, kiedy szukała moich skarpetek. Spytała, czy to nie własność Pete’a. Powiedziałem, że skąd, że wymieniałem się na coś tam z jakimś kolegą.

Przy mamie zawsze byłem napięty. Stanowczo za dużo o mnie wiedziała. Zdenerwowałem się, kiedy znalazła zegarek. Coś chyba podejrzewała. Oczywiście nie mogła wiedzieć. Nikt nie wiedział. Ale patrzyła na mnie w dziwny sposób. Wszyscy byli przekonani, że próbowałem ratować Pete’a. Ona nie. Chyba jednak wiedziała. Nie chciała wiedzieć, ale na swoje nieszczęście za dobrze mnie znała. Czasami czułem wyrzuty sumienia, ale to szybko mijało.

Potem była ta sprawa na obozie. Na szkoleniu wojskowym. Mój kumpel i ja wybraliśmy się do domu gry. Mnie nie szło, przegrałem prawie wszystko, ale Ed wygrał niezłych parę groszy. Wymienił żetony na banknoty i wyruszyliśmy z powrotem do domu. Kieszenie pękały mu w szwach od forsy. Nagle zza rogu wyskoczyły na nas jakieś typki ze sprężynowymi nożami w garści. Poszło im nieźle. Mnie ciachnęli przez ramię, ale Ed otrzymał poważniejszy cios, który zwałił go z nóg. Rozległy się kroki, ktoś nadchodził. Kolesie dali nogę. Pomyślałem, że jeśli się uwinę... Uwinąłem się! Mam dobry refleks. Owinałem rękę chustką, wyciągnąłem nóż z rany Eda i pchnąłem go jeszcze kilka razy w lepsze miejsce. Wciągnął tylko powietrze i już było po nim. Bałem się, oczywiście, ale trwało to zaledwie kilka sekund. Po chwili wiedziałem już, że sobie poradzę. Czułem się, no, jakby to

powiedzieć... dumny. Dumny z szybkiego refleksu i szybkiego działania. Pomyślałem: „Biedny, poczciwy Ed. Głupi, bo głupi”. W mgnieniu oka przełożyłem banknoty z jego kieszeni do mojej. Błyskawiczny refleks, wykorzystanie okazji, to jest to. Sęk w tym, że okazje nie trafiają się często. Wielu ludzi trzęsie portkami, kiedy kogoś zabije. Nie ja. Nie wtedy.

Oczywiście nie można tego robić zbyt często. Gra musi być warta świeczki. Trudno powiedzieć, co tam Greta sobie pomyślała. Ale swoje wiedziała. Nie że zabiłem już paru ludzi. To jasne. Wiedziała chyba jednak, że na myśl o zabijaniu nie ogarnia mnie groza i wstręt.

- Co to za bajeczka, Greto? - spytałem.

- Mogę ci pomóc. Poznam cię z jedną z najbogatszych dziewczyn w Stanach. Powiedzmy, że jestem jej opiekunką. Mieszkam z nią. Mam na nią wielki wpływ.

- Myślisz, że w ogóle spojrzysz na kogoś takiego jak ja? - Trudno mi było w to uwierzyć. Dlaczego bogata dziewczyna, która mogłaby wybierać i przebierać w atrakcyjnych przystojniaczkach, miałaby polecieć akurat na mnie?

- Jesteś chłopak z seksem - zauważyła Greta. - Czy kobiety za tobą nie szaleją?

Uśmiechnąłem się szeroko i powiedziałem, że nie narzekam na brak powodzenia.

- Ona niczego podobnego nie przeżyła. Strzegą jej jak oka w głowie. Owszem, wolno jej spotykać się z młodymi ludźmi, ale wyłącznie z synami bankierów czy potentatów finansowych, konwencjonalnymi młodzieńcami. Szykują dla niej solidny mariaż z kimś z jej własnej sfery. Drżą na myśl, że pozna jakiegoś przystojnego cudzoziemca, który poleci na jej forszę. A ona, naturalnie, miałaby słabość do takich facetów. To dla niej coś zupełnie nowego, nigdy się z takimi mężczyznami nie zetknęła. Musiałbyś odegrać przed nią wielką komedię. Miłość od pierwszego wejrzenia, oczywiście odwzajemniona. To nietrudne. Nikt nigdy nie podrywał jej na seks. Ty to zrobisz.

- Spróbuję - powiedziałem z powątpiewaniem.

- Możemy to zaaranżować.

- Jej rodzina do tego nie dopuści.

- Nic nie będą wiedzieć. Dowiedzą się, jak już będzie za późno. Jak weźmiecie potajemnie ślub.

- Ach, więc tak to obmyśliłaś?

Rozmawialiśmy, snuliśmy plany. Rzecz jasna, nie omawialiśmy szczegółów. Greta wróciła do Stanów. Byliśmy w kontakcie. Ja podejmowałem coraz to inną pracę. Opowiedziałem Grecie o Cygańskim Gnieździe, o tym, że mnie to miejsce urzekło. Greta stwierdziła, że stanowi idealną scenerię dla romantycznej historii. Ustaliliśmy, że moje spotkanie z Ellie odbędzie się właśnie tam. Greta miała urobić Ellie, nakłonić ją, żeby kupiła sobie dom w Anglii i wyniosła się od rodziny po dośnięciu do pełnoletności.

Tak, wszystko zaaranżowaliśmy. Greta była bez wątplenia doskonałym reżyserem. Sam bym chyba tak tego nie wymyślił. Wiedziałem natomiast, że doskonale odegram swoją rolę. To mi zawsze wychodziło. No i dalej już wiecie. Spotkałem Ellie.

W sumie była to niezła zabawa. Trochę szalona, bo zawsze istniało ryzyko, że wszystko się wyda. Powiem wam, że najgorsze były chwile, kiedy widywałem Gretę. Musiałem się pilnować, żeby się nie zdradzić jakimś spojrzeniem. Starłem się na nią w ogóle nie patrzeć. Ustaliliśmy, że najbezpieczniej będzie, jak udam niechęć i zazdrość. Wyszło mi to niezłe, nie powiem. Pamiętam dzień, kiedy do nas przyjechała. Odstawiliśmy kłótnię pod nosem Ellie. Może nawet trochę przedobrzyliśmy. Chociaż chyba nie. Czasem się bałem, że Ellie nas przejrzy. Ale raczej niczego nie podejrzewała. Zresztą nie jestem pewny. Nie wiem. Nigdy nie wiedziałem wszystkiego o Ellie.

Kochać się z Ellie przychodziło mi bez trudu. Była naprawdę przeurocza. Czasami, przyznam, bałem się jej, bo potrafiła zrobić coś bez mojej wiedzy. I wiedziała rzeczy, o które bym jej nigdy nie posądzał. Ale kochała mnie. O tak, kochała mnie. Niekiedy myślę, że i ja ją kochałem...

To było zupełnie co innego niż z Gretą. Greta była kobietą, do której należałem duszą i ciałem. Uosobienie seksu. Doprowadzała mnie do szaleństwa, z trudem panowałem nad sobą. Z Ellie było inaczej. Wiecie co? Było mi z nią dobrze. Tak, to bardzo dziwne, ale było mi z nią naprawdę dobrze.

Myślałem o tym wszystkim tamtego wieczora po powrocie z Ameryki, dlatego o tym piszę. Znalazłem się na szczycie, zdobyłem to, o czym marzyłem, ale przecież nie za darmo: ponosiłem ryzyko, narażałem się na niebezpieczeństwa, musiałem popełnić, nie chwaląc się, bardzo przemyślaną zbrodnię.

Sprawa była cieniutka, przychodziło mi to nieraz do głowy, ale nikt się niczego nie mógł domyślić, załatwiliśmy to bezbłędnie. Wszystko już za mną, ryzyko, niebezpieczeństwo, idę drogą do Cygańskiego Gniazda, tak jak wtedy, kiedy zobaczyłem ogłoszenie na murze i poszedłem obejrzeć starą ruderę. Idę pod górę, staję na zakręcie...

I nagle... nagle zobaczyłem ją. Zobaczyłem Ellie. Dokładnie w miejscu, gdzie droga gwałtownie skręca i gdzie zdarza się tyle wypadków. Stała w tym samym miejscu co kiedyś, w cieniu jodły. Jak wtedy, kiedy wystraszyła się na mój widok, a ja na jej. W tym miejscu po raz pierwszy popatrzyliśmy na siebie, podszedłem do niej, powiedziałem do niej pierwsze słowa. Tu odegrałem rolę zakochanego od pierwszego wejrzenia. Odegrałem ją bardzo dobrze. Mówię wam, aktor ze mnie na medal!

Ale tego nie spodziewałem się zupełnie... Przecież nie mogłem jej tu spotkać. Jak to możliwe? A jednak widziałem ją... Patrzyła... patrzyła prościutko na mnie. Tylko że było w tym coś, co mnie przeraziło. Bardzo mnie przeraziło. Bo to było tak, jakby ona mnie nie wdziała. Przecież wiedziałem, że tak naprawdę jej tam nie ma. Wiedziałem, że nie żyje, a mimo to widziałem ją. Nie żyła. Jej ciało leżało na amerykańskim cmentarzu. A jednocześnie stała pod jodłą, patrząc na mnie. Nie, nie na mnie. Wyglądała tak, jakby miała nadzieję mnie zobaczyć, a jej twarz wyrażała miłość. Tę samą miłość, którą ujrzałem, kiedy brzdąkała na gitarze. Wtedy spytała mnie: „O czym myślisz?”, a ja odpowiedziałem: „Dlaczego pytasz?”, a ona: „Patrzysz na mnie, jakbyś mnie kochał”. I ja jeszcze powiedziałem jakąś głupotę w rodzaju: „Oczywiście że cię kocham”.

Stanąłem jak wryty. Pośrodku drogi. Drżałem cały. Zawołałem:

- Ellie!

Nie poruszyła się, stała dalej, patrząc... Patrzyła poprzez mnie. I to właśnie mnie przeraziło, bo zdawałem sobie sprawę, że jeśli się chwilę zastanowię, będę wiedział, dlaczego ona mnie nie widzi, a ja tego nie chciałem wiedzieć. Nie, tego nie chciałem wiedzieć. Byłem tego całkiem pewny. Patrzyła w miejsce, gdzie stałem, nie widząc mnie. Wtedy puściłem się biegiem. Uciekałem jak tchórz, pędziłem drogą, mając przed sobą światła mojego domu. Wreszcie wyzwoliłem się z bezsensownej paniki. To był dzień triumfu. Wracałem do domu. Jak myśliwy, który wraca z gór. Czekał na mnie mój dom. I jeszcze coś, czego pragnąłem najbardziej na świecie. Wspaniała kobieta, do której należałem duszą i ciałem.

Pobierzemy się. Zamieszkamy w naszym domu. Będziemy mieć to, o co walczyliśmy. Wygraliśmy... wygraliśmy gładko!

Drzwi nie były zamknięte. Wszedłem do środka i głośno tupiąc ruszyłem przez otwarte drzwi do biblioteki. Greta stała przy oknie. Czekwała na mnie. Była olśniewająco piękna. Nigdy nie widziałem

kogoś równie olśniewającego i pięknego. Wyglądała jak Brunhilda, jak wspaniała walkiria z lśniącymi złotymi włosami. Pachniała, promieniała kobiecością, czułem smak seksu. Musieliśmy się powściągać tyle czasu, nie licząc rzadkich, krótkich chwil w Zakątku Fantazji.

Rzuciłem się w jej ramiona jak żeglarz po powrocie z morza do domu. Tak, to była jedna z najpiękniejszych chwil w moim życiu.

Wróciliśmy na ziemię. Usiadłem, Greta podała mi mały plik listów. Wyciągnąłem niemal automatycznie kopertę z amerykańskim znaczkiem. List Lippincotta. Ciekaw byłem, co tam jest, dlaczego musiał do mnie napisać.

- Bitwa wygrana - rzekła Greta z głębokim westchnieniem zadowolenia.

- Świętujemy dzień zwycięstwa - dodałem. Zaśmiewaliśmy się oboje. Śmialiśmy się szaleńczo.

Na stole stała butelka szampana. Otworzyłem ją. Stuknęliśmy się kieliszkami.

- Co za cudowne miejsce - powiedziałem rozglądając się. - Piękniejsze niż myślałem. Santonix...

Właśnie, przecież nic nie wiesz. Santonix nie żyje.

- O Boże! - zawołała Greta. - To okropne. Więc jednak był chory?

- Niestety. Nigdy nie chciałem w to uwierzyć. Byłem zresztą przy jego śmierci.

Greta zadrżała.

- Ja bym chyba tego nie wytrzymała. Mówił coś? - Właśnie nie. Powiedział tylko, że jestem cholernym głupcem, że powinienem być pójść inną drogą.

- O co mu chodziło? Jaką drogą?

- Nie wiem. Bredził w malignie. Nie mam pojęcia, o czym mówił.

- Ten dom jest wspaniałym pomnikiem jego pamięci.

Chyba zatrzymamy go, jak myślisz? Spojrzałem na nią zdumiony.

- Oczywiście. Co ty sobie wyobrażasz? Ja miałbym mieszkać gdzie indziej?

- Mamy tu siedzieć na okrągło? W takiej dziurze?

- Ależ ja chcę tu mieszkać, zawsze tego chciałem.

- Dobrze, Mike, ale w końcu mamy kupę forsy. Możemy pojechać, gdzie nam się żywnie podoba. Europa, safari w Afryce, Angkor Wat. Same przygody. Pojedziemy w świat, zobaczymy świat... jakie to podniecające! Nie chcesz mieć podniecającego życia, Mike?

- Tak... chyba tak... Ale zawsze tu będziemy wracać, prawda?

Ogarnęło mnie dziwne uczucie. Uczucie, że coś poszło nie tak. Ja miałem tylko dwie sprawy w głowie. Dom i Gretę. To wszystko, czego pragnąłem. Grecie to jednak nie wystarczało. Ona właśnie zaczynała. Zaczynała chcieć. Wiedziała, że teraz będzie mogła zaspokoić swoje „chcę”.

Zadrzałem, ogarnięty jakimś złym przeczuciem.

- Co ci jest, Mike? Cały drżysz. Zaziębiłeś się?

- Widziałem Ellie.

- Jak to widziałeś Ellie?

- Szedłem drogą i zobaczyłem ją za zakrętem. Stała pod jodłą i patrzyła na mnie... to znaczy w moim kierunku.

Greta spojrzała na mnie ubawiona.

- Nie wygłupiaj się. Przywidziało ci się.

- Może i bywają przywidzenia. Tym bardziej w takim miejscu jak Cygańskie Gniazdo. W każdym razie Ellie tam była. I wyglądała na szczęśliwą. Zupełnie... zupełnie jakby zawsze tam była i zawsze tam miała być.

- Mike! - Greta potrząsnęła mnie za ramię. - Nie plec! Piłeś czy co?

- Nie wypilem ani kropli. Czekalem, aż razem wychylimy kielich szampana.

- Zapomnijmy o Ellie. Wypijmy za nas.

- To była Ellie - powtórzyłem z uporem.

- Bzdura! Po prostu gra świateł, coś takiego.

- Ellie. Stała tam. I patrzyła. Patrzyła na mnie, szukała mnie wzrokiem. Ale nie mogła mnie zobaczyć. Greto, ona nie mogła mnie zobaczyć. - Podniosłem głos. - I wiem dlaczego. Wiem, dlaczego nie mogła mnie zobaczyć.

- Nie rozumiem.

I wtedy wreszcie wypowiedziałem to, wyszeptalem:

- Bo to nie byłem ja. Mnie tam nie było. Mogła zobaczyć tylko noc i ciemność. - Zaczęłem krzyczeć w panice: - „Jedni się rodzą dla radości, inni dla nocy i ciemności”. Jak ja, Greto, właśnie ja. - Po chwili podjąłem: - Czy pamiętasz, jak Ellie siadywała na tej kanapie? Grywała tę piosenkę na gitarze, śpiewała tym swoim miękkim głosem. Musisz to pamiętać. - I zanuciłem: - „Każdego ranka, każdej nocy, dla mężczyzny ktoś na świat przychodzi. Każdego ranka, każdej nocy dla szczęśliwości ktoś się rodzi”. To Ellie, Greto. Ona urodziła się dla szczęśliwości. Mama wiedziała. Wiedziała, że ja urodziłem się dla nocy i ciemności. Wtedy jeszcze nie dotarłem do kresu. Ale ona wiedziała. Santonix też wiedział. Wiedział, dokąd zmierzam. A przecież nie musiało tak być. Była taka chwila, jedna, jedyna chwila, kiedy Ellie śpiewała tę piosenkę. Mogłem być szczęśliwy, naprawdę być mężem Ellie. I żyć dalej z Ellie.

- Nie mogłeś - rzekła Greta chłodno. - Nigdy nie przypuszczałam, Mike, że się rozkleisz. - Znowu potrząsnęła mną gwałtownie. - Dalej, oprzytomniej.

Spojrzałem na nią.

- Przepraszam. Co ja właściwie mówiłem?

- Widzę, że cię zupełnie wykończyli w tych Stanach. Ale załatwiłeś wszystko? Interesy w porządku?

- Wszystko gra. Pracuje na naszą przyszłość. Naszą wielką, wspaniałą przyszłość.

- Jesteś jakiś dziwny. Zobacz, co pisze Lippincott. Wziąłem list i otworzyłem kopertę. W środku był tylko wycinek z gazety. Stary, wyblakły już trochę wycinek. Przyjrzałem mu się uważnie. Fotografia ulicy. Poznałem tę ulicę, z tyłu wielki budynek. Ulica w Hamburgu, a na niej jacyś ludzie. Na pierwszym planie kobieta i mężczyzna, idący pod ramię, Greta i ja. A więc Lippincott wiedział. Wiedział przez cały czas, że znałem Gretę. Ktoś musiał mu kiedyś przysłać ten wycinek, zapewne zresztą bez złośliwych intencji. Po prostu zabawny zbieg okoliczności: migawka z Hamburga, na której znalazła się panna Greta Andersen. Pamiętam, jak się dopytywałem, czy spotkałem już kiedyś Gretę. Oczywiście zaprzeczyłem, a on wiedział, że kłamię. Wtedy pewno zaczął mnie podejrzewać.

Poczułem nagle strach. Lippincott nie mógł co prawda podejrzewać, że zabiłem Ellie. Ale coś podejrzewał. Może nawet posunął się w swych podejrzeniach tak daleko.

- Popatrz, Greto. Wiedział, że się znaliśmy. Wiedział przez cały czas. Zawsze nienawidziłem tego starego lisa, a on nienawidził ciebie. Jak się dowie, że się pobieramy, zacznie coś knuć.

Przyszło mi do głowy, że Lippincott na pewno przecież przewidywał, że się pobierzemy z Gretą, wiedział, że się znamy, może domyślał się, że jesteśmy kochankami.

- Przestań, Mike. Zachowujesz się jak wystraszony królik. Tak, dokładnie tak jak wystraszony królik. Podziwiałam cię, zawsze cię podziwiałam. Ale teraz zupełnie się rozlatujesz. Boisz się

wszystkiego.

- Przestań!

- Kiedy to prawda.

- Noc i ciemność.

I znowu ta piosenka. Zastanawiałem się, co te słowa właściwie znaczą. Noc i ciemność. Czyli nie widać mnie. Ja mogę widzieć osobę zmarłą, ale osoba zmarła nie może widzieć mnie, chociaż żyję. Nie widzi mnie, bo mnie tam nie ma. Człowieka, który kochał Ellie, tam nie ma. Z własnej woli wstąpił w noc i ciemność. Pochyliłem głowę...

- Noc i ciemność - powtórzyłem.

- Dość! - krzyknęła Greta. - Wstań. Bądź mężczyzną, Mike. Nie poddawaj się bzdurnym, zabobonnym fantazjom.

- Co mogę na to poradzić? Sprzedałem duszę Cygańskiemu Gniazdu. Cygańskie Gniazdo nigdy nie było bezpieczne. Dla nikogo. Dla Ellie, dla mnie, kto wie, może i dla ciebie.

- Co masz na myśli?

Wstałem. Szedłem ku niej. Kochałem ją. Tak, wciąż ją kochałem, pragnąłem jej, z napięciem, ostatecznie. Miłość, nienawiść, pożądanie... czy to w końcu niejedno i to samo? Trzy rzeczy w jednej, jedna w trzech. Nie mógłbym nienawidzić Ellie, ale nienawidziłem Greta. Upajałem się swoją nienawiścią. Nienawidziłem jej całą duszą. Nienawiść pełna rozkoszy... Nie, nie będę czekał, aż nadejdą spokojne dni, nie chcę czekać... Zbliżyłem się do niej.

- Ty wredna suko! - wrzasnąłem. - Nienawistna, wspaniała, złotowłosa suko! Nie jesteś bezpieczna, Greto. Nie ze mną. Rozumiesz? Znalazłem rozkosz w zabijaniu. Pamiętasz moje podniecenie, kiedy wiedziałem, że Ellie pojechała konno po własną śmierć? Przez cały tamten ranek czułem się wspaniale. Właśnie dlatego. Ale dopiero teraz naprawdę dojrzałem do zabijania. Teraz jest inaczej. Już mi nie wystarcza sama myśl, że ktoś umrze, bo zażył kapsułkę przy śniadaniu. Chcę czegoś więcej. Nie wystarcza mi, że zepchnę starą babę z kamieniołomu. Chcę zabić własnymi rękami.

Greta bała się. Ta Greta, do której należałem od dnia naszego spotkania w Hamburgu, dla której udałem chorobę, dla której rzuciłem pracę, byle tylko z nią być. Tak, wtedy do niej należałem duszą i ciałem. Ale już nie należę. Byłem sobą. Wkraczałem do innego królestwa niż to, o jakim marzyłem.

Bała się. Rozkoszowałem się tym widokiem. Zacisnąłem ręce na jej szyi. Tak, nawet teraz, kiedy to piszę o sobie - a powiem wam, że to coś wspaniałego tak sobie siedzieć i pisać o sobie, o tym, co człowiek przeszedł, co myślał, co czuł, jak wyprowadził wszystkich w pole, tak, to coś wspaniałego - więc nawet teraz przyznaję: byłem cudownie szczęśliwy, kiedy zabijałem Gretę...

XXIV

Dalej nie ma już wiele do powiedzenia. To był ten szczyt. Człowiek chyba zapomina, że nie może go już spotkać nic lepszego, że osiągnął wszystko. Siedziałem bez ruchu przez dłuższy czas. Nie wiem, kiedy oni nadeszli. Nie wiem, czy oni przyszli od razu... Nie mogli być od początku, bo nie pozwoliliby mi zabić Greta. Najpierw zobaczyłem boga. Oczywiście nie prawdziwego Boga... mam zamęt w głowie... chodzi mi o majora Phillipota. Zawsze go lubiłem, to był równy chłop i bardzo dla mnie miły. Miał jednak w sobie coś z prawdziwego Boga. Tak bym sobie Boga wyobrażał, gdyby Bóg był człowiekiem, a nie nadziemską istotą ukrytą w niebie. Phillipot był porządnym facetem, uczciwym i dobrym. Myślał o ludziach, starał się im pomóc.

Nie wiem, ile wiedział o mnie. Pamiętam, jak dziwnie mi się przypatrywał na aukcji. Powiedział,

że wyglądam jak człowiek skazany na stracenie. Użył określenia „wisielczy humor”. Dlaczego?

Albo wtedy, kiedy pochyłaliśmy się nad leżącą na ziemi Ellie w stroju do konnej jazdy, przypominającą ciśnień kupkę łaszków... Czy wówczas przypuszczał, że maczałem w tym wszystkim palce?

Po śmierci Greta, jak mówiłem, siedziałem i gapiłem się w swój kieliszek szampana. Był pusty. Wszystko było puste, dotkliwie puste. Zapaliliśmy z Gretą tylko jedną lampę, tę w rogu. Nie dawała wiele światła, a słońce... ale słońce chyba już dawno zaszło. Siedziałem i myślałem, co się teraz stanie, w tępych oczekiwaniu.

Potem zaczęli nadchodzić. Może zjawili się wszyscy jednocześnie? W każdym razie przyszli po cichutku, bo nikogo nie słyszałem, nikogo nie zauważyłem.

Gdyby tak Santonix był przy mnie, powiedziałby mi, co mam zrobić. Santonix jednak nie żył. Zresztą poszedł inną drogą niż ja, nie pomógłby mi. Nikt mi nie mógł pomóc.

Po chwili zobaczyłem doktora Shawa. Siedział cicho, wcale nie zauważyłem, że jest obok. Na coś czekał. Pomyślałem, że czeka na to, żebym się odezwał. Powiedziałem:

- Przyjechałem do domu.

Jacyś ludzie kręcili się z tyłu. Też wyraźnie czekali, czekali na to, co zrobi doktor.

- Greta nie żyje - powiedziałem. - Zabiłem ją. Chyba powinniście zabrać ciało.

Gdzieś błysnął flesz. Pewno policja fotografuje zwłoki, pomyślałem. Doktor Shaw odwrócił się i rzekł ostro:

- Jeszcze za wcześnie.

Znowu obrócił się w moją stronę. Pochyliłem się ku niemu.

- Widziałem dzisiaj Ellie.

- Naprawdę? Gdzie?

- Na dworze, stała pod jodłą, w tym samym miejscu, gdzie po raz pierwszy ją zobaczyłem. -

Urwałem, a po chwili podjąłem: - Nie widziała mnie... Nie mogła mnie widzieć, bo mnie tam nie było. - Znowu zamilkłem. Po czym dodałem: - To mnie przygnębiło. Bardzo mnie przygnębiło.

Doktor Shaw zapytał:

- To było w kapsułce? Cyjanek w kapsułce? Podaliście to Ellie tamtego dnia rano?

- W kapsułce na katar sienny. Zawsze brała jedną zapobiegawczo, kiedy wyjeżdżała konno na spacer. Greta i ja napełniliśmy jedną czy dwie kapsułki środkiem na osy, który jest w szopie. Zrobiliśmy to w naszym Zakątku. Sprytnie, prawda? - Zaśmiałem się. Dziwaczny śmiech, dźwięczał mi w uszach. Taki rozedrgany, osobliwy chichot. Odezwałem się znowu: - Obejrzał pan lekarstwa, kiedy jej pan badał skręconą nogę. Tabletki nasenne, kapsułki antyalergiczne, wszystko w porządku, prawda? Niewinne leki.

- Owszem, zupełnie nieszkodliwe.

- Sprytnie to obmyśliliśmy, nie uważa pan?

- Sprytnie, choć nie do końca.

- Jak to odkryliście?

- Kiedy wydarzył się drugi wypadek, nie zamierzony.

- Z Claudią Hardcastle?

- Tak. Zmarła tak samo jak Ellie. Spadła z konia na polowaniu. Claudią była zdrową dziewczyną, a jednak po upadku z konia zmarła. Tym razem znaleziono ciało niemal natychmiast, jeszcze było czuć cyjanek. Gdyby, tak jak Ellie, leżała na powietrzu kilka godzin, nie byłoby nic, żadnego zapachu,

po prostu nic. Nie wiem tylko, skąd Claudia miała kapsułkę. Może zostawiliście jedną w zakątku. Claudia tam niekiedy zaglądała. Znaleźliśmy jej odciski i zapalniczkę.

- Widocznie zagapiliśmy się. Napełnianie kapsulek to precyzyjna robota. - Po chwili spytałem: - Podejrzał pan, że mam coś wspólnego ze śmiercią Ellie? Wszyscy podejrzewaliście? - I rozejrzałem się po zacienionych postaciach. - Tak, może i wszyscy.

- Takie rzeczy się wie. To jednak za mało, żeby zacząć działać.

- Dlaczego pan mnie nie ostrzegł? - zapytałem z wyrzutem.

- Nie jestem policjantem.

- Kim pan jest?

- Lekarzem.

- Niepotrzebny mi lekarz.

- To się okaże.

Spojrzałem wtedy na niego i powiedziałem:

- Co pan tu robi? Przyszedł pan mnie sądzić, przewodniczyć w moim procesie?

- Jestem tylko sędzią pokoju. Przyszedłem tu jako przyjaciel.

- Mój przyjaciel? - przeraziłem się.

- Przyjaciel Ellie.

Nie rozumiałem. Nic z tego nie rozumiałem, czułem się jednak ważny. Oni wszyscy! Tutaj! Policja, lekarze, Shaw, Phillipot, który na swój sposób był ważnym facetem. Bardzo to wszystko skomplikowane. Gubiłem się. Powiem wam, że byłem bardzo zmęczony. Potrafiłem nagle zasnąć ze zmęczenia...

Te wszystkie korowody. Przychodzili do mnie najróżniejsi ludzie. Tłumy ludzi. Prawnicy, adwokaci, lekarze. Kilku lekarzy. Dręczyli mnie pytaniami, na które nie chciałem odpowiadać.

Jeden z nich pytał mnie w kółko, czy czegoś nie potrzebuję. Powiedziałem, że tak. Że jest coś, czego potrzebuję. Potrzebuję długopisu i ryzy papieru. Zapragnąłem spisać to wszystko, opowiedzieć, jak do tego doszło. Opowiedzieć im, co czułem, co myślałem. Im dłużej myślałem o sobie, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że moja historia będzie interesująca dla każdego. Nie da się zaprzeczyć, że jestem interesujący. Jestem naprawdę interesujący. Robiłem interesujące rzeczy.

Jeden z lekarzy uznał to za dobry pomysł. - Zawsze pozwalacie złożyć oświadczenie, dlaczego ja miałbym nie napisać swojego? Może kiedyś wszyscy to przeczytają.

Zgodzono się. Nie mogłem długo pisać bez przerwy. Męczyłem się. Ktoś użył określenia: „ograniczona poczytalność”, ktoś inny zaprzeczył. Czasami można się nasłuchać najróżniejszych rzeczy. Nikt nie przypuszcza, że masz uszy otwarte. Musiałem wreszcie stawić się w sądzie. Poprosiłem o przysłanie mi najlepszego garnituru, chciałem dobrze wypaść. Chyba nasłali na mnie szpicli, byłem śledzony. Ta nowa para służących, którą zaangażował Lippincott. Wywęszyli stanowczo za dużo o mnie i o Grecie. Zabawne, że odkąd Greta nie żyje, prawie o niej nie myślę... Od momentu kiedy ją zabiłem, przestała dla mnie cokolwiek znaczyć.

Usiłowałem przypomnieć sobie to cudowne, zwycięskie uczucie, którego doznawałem, kiedy ją dusiłem. Ale nawet ono gdzieś się ulotniło...

Pewnego dnia przyprowadzono na widzenie matkę. Stała w drzwiach i patrzyła na mnie. Jej dawny niepokój gdzieś zniknął. Teraz była już tylko smutna. Nie mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Rzekła:

- Staralam się, Mike. Staralam się, jak moglam, żeby cię uchronić. Nie udało mi się, zawsze się bałam, że mi się nie uda.

- W porządku, mamó - odparłem. - To nie twoja wina. Wybrałem taką drogę, jaką chciałem.

Nagle pomyślałem: tak mówił Santonix. Też się o mnie bał. I też nic nie mógł zrobić. Nikt nic nie mógł zrobić, z wyjątkiem może mnie samego... Nie wiem. Nie jestem pewien. Od czasu do czasu przypominam sobie dzień, kiedy Ellie spytała: „O czym myślisz, kiedy tak na mnie patrzysz?”, a ja spytałem: „Jak?”, a ona odparła: „Jakbyś mnie kochał.” Myślę, że na swój sposób ją kochałem. Mogłem ją pokochać. Ellie była taka słodka. Urodzona dla szczęśliwości...

Mój problem polegał chyba na tym, że chciałem za dużo, zawsze. Na dodatek chciałem w sposób łatwy, łapczywy.

Ten pierwszy raz, pierwszy dzień w Cygańskim Gnieździe, kiedy spotkałem Ellie. Schodząc drogą w dół, natknęliśmy się na Cyganke. Kiedy usłyszałem ostrzeżenie rzucone Ellie, przyszło mi do głowy, że przekupię starą. Wiedziałem, że taka baba robi wszystko dla pieniędzy. Postanowiłem, że ją opłacę, a ona będzie straszyć Ellie tak długo, aż Ellie poczuje się zagrożona. A wszystko po to, żeby ludziom łatwiej przyszło uwierzyć, że Ellie zmarła na skutek szoku. Wtedy jednak, tego pierwszego dnia, stara Lee wyczytała coś naprawdę z ręki Ellie. Teraz jestem tego całkiem pewien, na sto procent. Przeraziła się i ostrzegła Ellie, kazała jej uciekać, zapomnieć o Cygańskim Gnieździe. Ostrzegła ją oczywiście przede mną. Wtedy tego nie rozumiałem. I Ellie nie rozumiała.

Czy Ellie bała się mnie? Chyba tak, chociaż sama nie zdawała sobie z tego sprawy. Czowała, że coś jej zagraża., że znajduje się w niebezpieczeństwie. Santonix wiedział, że jest we mnie zło, podobnie jak matka. A może Ellie też wiedziała? Tak, wiedziała, ale to jej nie przeszkadzało. Jakie to wszystko dziwne, jakie strasznie dziwne. Teraz zrozumiałem. Byliśmy ze sobą bardzo szczęśliwi. Tak, bardzo szczęśliwi. Gdybym to wtedy wiedział... Miałem szansę... Może każdy ma w życiu szansę... Ja... odwróciłem się do niej plecami.

Dziwne, że Greta w ogóle się nie liczy, prawda?

I nawet mój piękny dom się nie liczy.

Liczy się tylko Ellie... A Ellie już nigdy mnie nie odnajdzie... Noc i ciemność... Taki jest koniec mojej historii...

„U mojego początku jest mój kres...” - tak mówią.

Ale co to właściwie znaczy?

I gdzie się zaczyna moja historia? Muszę nad tym pomyśleć.